



Bonsai w
Toskanii

ISABEL KEATS



Przekład Patrycja Zarawska

*Bonsai w
Toskanii*
ISABEL KEATS

Przekład Patrycja Zarawska



Rozdział 1

Paryż, dwadzieścia dwa lata wcześniej

Karuzela obracała się nieprzerwanie przy wesołej hałaśliwej melodii. Mała Léa, z oczami błyszczącymi od emocji, mocno trzymając się grubego drążka z lakierowanego drewna, siedziała wyprostowana jak struna na żwawym żółtym rumaku, którego sobie wybrała, i wraz z nim raz za razem unosiła się i opadała.

Kiedy muzyka ucichła i karuzela przestała się kręcić, Léa nie czekała, aż niania podejdzie, żeby ją zdjąć z siodła. Dziewczynka niedawno skończyła cztery lata i była bardzo dumna z tego, że nie jest już malutka i nie potrzebuje do wszystkiego pomocy zręczliwej Marie. Gorzej, że z poziomu ziemi nie miała takiego widoku jak z grzbietu konika. Choć dzień był zimny, słońce świeciło jasno na bladym listopadowym niebie i w parku roiło się od ludzi. Dokoła biegały rozkrzyczane dzieci z sąsiedztwa, tak samo dobrze ubrane jak ona, a miała na sobie elegancki angielski płaszcz z kołnierzem i mankietami z welwetu, który tak lubiła.

Léa wspięła się na palce i próbowała wypatrzeć opiekunkę w tłumie, lecz na próżno – jasną główką nie sięgała otaczającym ją dorosłym nawet do pasa. Pomyślała, że jeśli trochę się oddali od cizby kłębiącej się przy karuzeli, to łatwiej dostrzeże Marie, dlatego zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę ławki, na której jej starsza opiekunka siadywała z innymi nianiami, żeby wspólnie obmawiać chlebobawców i przechwalać się dobrym wychowaniem powierzonych sobie dzieci. Gdy jednak Léa podeszła do ławki, nie było tam ani śladu Marie. „Pewnie poszła już po mnie do karuzeli”, przyszło jej do głowy. Lepiej byłoby tam zostać i poczekać. W tym momencie obok dziewczynki usiadła kobieta w eleganckim beżowym płaszczu i apasce na szyi, bardzo podobnej do tych, które nosiła jej ciocia.

– Witaj, maleńka, jesteś sama? – zagadnęła z przyjaznym uśmiechem.

Stara Marie do znudzenia powtarzała Léi, że nie powinna rozmawiać z obcymi, ale ta miła ciemnowłosa kobieta wydała się dziewczynce jakby znajoma. Często widywała ją w parku. Uprzejma pani w niczym nie przypominała mężczyzn z opowieści, którymi lubiła ją straszyć stara Marie – ubranych w łachmany potworów z wielkim workiem na plecach, do którego pakowali porwane dzieci.

– Zaraz przyjdzie Marie. – Léa odwzajemniła uśmiech.

– Marie... Ach, przypominam sobie! Mówisz o tej starszej pani z koszem pełnym warzyw?

Dziewczynka kiwnęła głową. W drodze do parku mijały mały warzywniak z owocami, który zawsze cudownie pachniał, i niania kupowała tam mnóstwo rzeczy.

– Jasne, w takim razie ty musisz być Léa. Marie powiedziała mi, że jej trochę zimno i że pójdzie na gorącą kawę do baru naprzeciwko. Prosiła, żebym cię przyprowadziła, gdy zejdiesz z karuzeli. Zdaje się, że dziś mocno dokuczały jej stawy. Chodź ze mną. Marie powiedziała, że zamówi dla ciebie lody. Lepiej się pośpieszmy, żeby się nie roztopiły.

Léi to nie zdziwiło. Marie nieraz uskarżała się na paryski ziąb. Niania oba małe palce u rąk miała powykręcane niczym latorośle, które dziewczynka setki razy widziała w winnicach wokół zameczku swego ojca. Staruszka często je sobie masowała, bardzo powoli – najwyraźniej przynosiło jej to ulgę. Kobieta w beżowym płaszczu wstała z ławki i Léa zrobiła to samo. Kilka sekund później szły, trzymając się za ręce i wesoło paplając, w stronę okazałego, pomalowanego na czarno żelaznego ogrodzenia, którym był otoczony park.

Waszyngton, 2013

Drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie i Robert Gaddi, nie racząc prosić o pozwolenie, wparował do środka. Wsparty na swej nieodłącznej drewnianej lasce, pokuśtykał do stołu i opadł ciężko na jedno z krzeseł, wyciągając przed sobą chorą nogę.

– Już wiesz?

Nie przywitał się ani słowem, jak to miał w zwyczaju. Doktorowi Gaddiemu towarzyskie konwenanse i dobre maniere wydawały się stratą czasu i nawet nie próbował tego ukrywać.

Ian Doolan, kierownik projektów, pożegnał się ze swoim rozmówcą i odłożył telefon.

– Dzień dobry, Robercie. Nie, wcale mi nie przeszkadzasz, i tak, sam miałem do ciebie zadzwonić – odrzekł sarkastycznie. – A nawiasem mówiąc, wyglądasz okropnie.

– Gównu mnie obchodzi, jak wyglądam!

Przesunął sobie dłonią po szorstkim podbródku, domagającym się porządnego golenia. Tak naprawdę nie tylko tego potrzebował. Elegancka biała koszula, którą miał na sobie, była wygnieciona, poplamiona i brakowało jej kilku guzików; w nogawce ciemnych spodni świeciła dziura. W dodatku zapewne niewiele widział na jedno oko – opuchnięte powieki zrobiły się trzy razy większe niż normalnie.

Robert wieczorem był w Kennedy Center na operze Manon Lescaut, a po zakończeniu spektaklu postanowił wstąpić do swojej pracowni, żeby wziąć kilka potrzebnych mu dokumentów, i przyłapał tam na gorącym uczynku dwóch zakapturzonych osobników z zapalem przetrząsających zakamarki jego gabinetu. Jego obecny wygląd aż nadto wyraźnie świadczył o tym, jak się rozwinęło spotkanie.

– Tak, już wiem. Dzwonił do mnie Charles, przyjechałem najszybciej, jak się dało.

Doolan odpowiedział wreszcie na jego pytanie. Pod pozornym spokojem niewątpliwie ukrywał nerwowość. Robert znał go jeszcze z czasów, gdy obaj studiowali na Harvardzie, i bardzo dobrze wiedział, co oznacza bezwiedne bębnienie palcami po szklanym blacie.

– Nie miałem jeszcze czasu wstąpić do mieszkania i doprowadzić się do porządku. Widzisz, drogi Ianie... – Doskonale wiedział, że Doolan nie cierpi, gdy ktoś zwraca się do niego jak do tępawego dziecka, dlatego korzystał z każdej okazji, by to właśnie robić. – Musiałem poczekać, aż ci z FBI skończą szperać i wszystko przewracać tymi swoimi łapskami. Chciałem się upewnić, że pracownia i mój gabinet wyjdą z tego możliwie bez szwanku.

– Czegoś brakuje?

– Oprócz guzików przy mojej koszuli i widzenia na lewe oko? Nie. Te palanty nie zabrały niczego ważnego. Od jakiegoś czasu czułem, że coś takiego może się zdarzyć, i zachowałem ostrożność.

Doolan odetchnął z ulgą.

– Charles tutaj jedzie. Chce z tobą pomówić.

Jak gdyby wywołany po imieniu tylko na to czekał, w tym dokładnie momencie rozległo się pukanie do drewnianych drzwi. Otworzyły się i do gabinetu wszedł korpulentny mężczyzna w średnim wieku, ubrany w czarny garnitur, białą koszulę i ciemny krawat.

– Zaczęliście beze mnie? – Charles Cassidy, szef operacyjny FBI, uniósł jedną z krzaczastych brwi, ciemnych, lecz przyprószonych siwizną.

– Nie. Przyszedłeś akurat na tańce – odrzekł Robert, bawiąc się rzeźbioną drewnianą laską, która wydawała się przedłużeniem jego ciała. Z tego, co opowiedział kiedyś Doolanowi, wynikało, że jest to bardzo cenny przedmiot z epoki wiktoriańskiej, a mimo to właściciel podczas mówienia machał laską na prawo i lewo, nie przejmując się, że raz po raz obija ją o stołowe nogi. – Jak właśnie wyjaśniałem Ianowi, drogi Charlesie, tamci intruzi nie zdążyli wprawdzie doszczętnie zniszczyć pracowni, ale twoje chłopaki dokończyły dzieła z zapalem. Wystawię ci rachunek.

– Wiem. Jadę prosto stamtąd i mam już raport. Nie znaleziono ani jednego śladu, który zasługiwałby na uwagę. Powiedziałbym, że to profesjonaliści. Czy coś zginęło? Wydaje się, że zależało im raczej na wywróceniu biura do góry nogami.

Robert i Charles też znali się od lat i mimo tak różnych zawodów byli dobrymi przyjaciółmi. Możliwe, że doktor Gaddi nie był najsympatyczniejszym facetem na świecie, ale Cassidy doskonale wiedział, że to jeden z jego najlojalniejszych znajomych i przy kilku okazjach, gdy potrzebował pomocy, tamten z miejsca mu ją zaoferował, nie zadając zbędnych pytań.

– Zrabowano kilka komputerów, ale nie było w nich żadnych istotnych danych. Odkąd zaczęły

napływać pierwsze groźby, stałem się bardzo ostrożny. Nawet obecny tutaj mój szef – ruchem brody wskazał Doolana – nie ma pojęcia, gdzie trzymam upragnione ciasteczko. Jeżeli tych dwóch cymbałów szukało badań nad szczepionką, powinni byli przyjść po nie kiedy indziej.

– Właśnie dokładnie to mnie martwi, Robercie – rzekł Ian Doolan, nie przestając bębnić palcami w szklany blat. – Co by się stało z badaniami, gdyby coś ci się przydarzyło? Gra idzie o wielką stawkę. Dzisiejsza bójka mogła się dla ciebie skończyć śmiercią albo śpiączką.

– Może i jestem kulawy, Ianie, ale jeszcze umiem wywijać pięściami, więc nie bój się o mnie. Chociaż odnoszę wrażenie, że tak naprawdę nie o mnie się boisz, co? – Robert mrugnął do niego żartobliwie tym ze swoich niezwykłych złocistych oczu, które było sprawne. Jednak natychmiast odzyskał powagę. – Protokół badań znajduje się w bezpiecznym miejscu. Wiesz, że działamy jak oddziały Al-Kaidy: moi asystenci są hermetycznymi komórkami odpowiedzialnymi tylko przede mną. Jeśli coś mi się przydarzy, w ciągu niespełna doby będziesz miał całą dokumentację na stole.

W gabinecie urosła bańka ciszy, którą postanowił przekłuć oficer FBI.

– Opowiedz mi coś o tych badaniach, Robercie. Wyobrażam sobie, że dzisiejszy rabunek nie jest odpowiedzią na wszystkie te odciski, które nadeptywałeś ludziom w ostatnich latach...

Robert Gaddi strzepnął sobie ręką pyłek z koszuli, co w niczym nie poprawiło jego nieświeżego wyglądu.

– Dobrze, Charlesie. Chyba nie muszę ci przypominać, że wszystko, co powiem, jest ściśle tajne, prawda? – Poczekał, aż rozmówca skinie głową, po czym kontynuował: – Jak wiesz, od lat prowadzimy badania nad szczepionką na raka... – Mówiąc, przesuwając opuszkami palców po wyrzeźbionych w drewnie swojej laski groteskowych maskach. – Cóż, myślę, że tym razem nam się udało. W zasadzie, ściśle mówiąc, nie jest to szczepionka, tylko pospolity wirus, tak zmodyfikowany genetycznie, że potrafi wyeliminować nawet komórki nowotworowe odporne na leczenie chemio- czy radioterapią. Działa precyzyjnie, jest tani i pozbawiony skutków ubocznych gorszych niż te, które występują przy łagodnej grypie.

Charles Cassidy zagwizdał z podziwem.

– I mówisz, że to skuteczne?

– Na myszach i przy pewnego rodzaju nowotworach bardzo skuteczne. – Kocie oczy zaiskrzyły się entuzjazmem. – Rozpoczęliśmy właśnie testy kliniczne na ludziach i wygląda na to, że jesteśmy na dobrej drodze. Dlatego podejrzewam, że w tym tkwi sedno sprawy.

– Ktoś chce ukraść formułę, żeby ją opatentować i zgarnąć kasę, tak? – stwierdził jego przyjaciel, jakby rozmawiali o scenariuszu filmu, który oglądali już mnóstwo razy.

– Myślę, że to trochę bardziej pokręcone. – Ta odpowiedź sprawiła, że rozmówca spojrzał na niego zaskoczony.

– Bardziej pokręcone? Co masz na myśli?

Robert jeszcze raz walnął laską w stołową nogę.

– Chcę powiedzieć, że moim zdaniem pewnym ludziom zależy nie tyle na szczepionce, ile na tym, żeby rak był nieuleczalny. Chcą zniszczyć szczepionkę, zanim ujrzy światło dzienne.

Teraz mina funkcjonariusza FBI wyrażała kompletne zdumienie.

– Dlaczego komuś miałyby zależeć na czymś takim? To nie ma żadnego sensu. Rak jest głównym powodem zgonów na świecie, prawda?

– Ósmym pod względem liczebności ofiar, choć owszem, cierpi na niego co trzecia osoba. – Robert przesunął dłonią przez swoje zmierzwiłone czarne włosy. Nie spał tej nocy, był zmęczony i bolało go całe ciało.

– A więc?

– Pomyśl, Charles. Leczenie jest drogie i długotrwałe, szpitale mają całe oddziały onkologiczne, są potrzebne rezonanse magnetyczne, tomografy... nawet peruki dla pacjentów. Cóż, to kwitnący biznes, w którym obroty wynoszą miliardy dolarów rocznie. Kto chciałby ukręcić łeb kurze znoszącej złote jaja?

Jego przyjaciel potrząsnął głową.

– Na Boga, Robert! Wiem, że jesteś zgorzkniały, ale nie miałem pojęcia, że do tego stopnia. To,

co mówisz, jest okropne.

Naukowiec ściągnął usta w sardonicznym grymasie.

– Witaj w realnym życiu, drogi Charlesie: świat, w którym żyjemy, jest okropny. Możliwe, że czasami malowniczy krajobraz, poruszający utwór muzyczny czy urodziwa kobieta pozwalają nam na chwilę o tym zapomnieć, ale pod całą tę piękną powierzchnią zazwyczaj kryją się śmierć, degradacja i największa zgroza.

Oficer FBI wolał nie odpowiadać. Znał niektóre powody zgorzknienia swego przyjaciela i choć go rozumiał, ani trochę nie podzielał jego punktu widzenia. Charles Cassidy nie zamierzał zaprzeczać, że życie potrafi być nieraz okrutne. Niemniej akurat on od dwudziestu lat miał tę samą żonę, matkę ich trojga dzieci, i patrząc na nią, wciąż czuł ogień. Zawsze gdy wracał do domu po dniu ciężkiej pracy, ogarniało go poczucie błogości i dziękował Bogu za otrzymane łaski.

– Cóż, odbiegamy od tematu, który nas tu przywiódł. – Spokojny głos Doolana wyrwał ich z zamyślenia i Cassidy skierował całą uwagę na człowieka, który do tej pory prawie wcale się nie odzywał. – Pytanie brzmi: co teraz robimy? Jakie środki ostrożności powinniśmy przedsięwziąć, żeby to się nie powtórzyło? Gramy tu o wysoką stawkę; rząd w ostatnich latach zainwestował w te badania wiele milionów dolarów.

– To przecież jasne, co mamy robić. – Głos funkcjonariusza FBI zabrzmiał donośnie wśród pomalowanych na biało ścian gabinetu. – Przede wszystkim w tej chwili trzeba chronić Roberta. Oczywiście jest, że niedługo po niego przyjdą.



Trzy dni później Robert Gaddi stawił się w gmachu J. Edgara Hoovera, mieszczącym główną centralę FBI. Tym razem zadał sobie trud i porządnie zaparkował swoje maserati grancabrio; kolekcja mandatów zalegających w jednej z szuflad jego biurka biła już wszelkie rekordy, a ostatnia zażarta dyskusja z funkcjonariuszem drogówki o mało nie skończyła się dla niego aresztem.

Chociaż wyraźnie kulał, wspiął się szybko po kamiennych schodach do wejścia, wspierając się na nieodłącznej lasce.

– Nie może pan wejść! Pan Cassidy ma spotkanie!

Nie zwracając najmniejszej uwagi na protesty udręczonej sekretarki, która próbowała go zatrzymać, otworzył drzwi gabinetu z typowym dla siebie impetem.

– Co takiego ważnego chciałeś mi powiedzieć?

Jak to miał w zwyczaju, walnął prosto z mostu, nie tracąc czasu na powitalne grzeczności, i jakby był u siebie w domu, od razu opadł na jeden z wygodnych czarnych skórzanych foteli rozstawionych przed obszernym drewnianym stołem w gabinecie przyjaciela. Wyciągnawszy przed siebie nogę, spostrzegł parę małych stóp obutych w jedne z tych okropnych płaskich pantofli. Bez większego zainteresowania jego wzrok powędrował w górę po nogawkach ciemnobrązowych spodni i pasującego do nich żakietu, a kiedy dotarł do młodzieńczej twarzy, zatrzymał się zaledwie na kilka sekund. Nie poświęcając więcej uwagi osobie siedzącej obok, wrócił spojrzeniem do swego korpulentnego przyjaciela, który również rozpierał się w ogromnym ergonomicznym fotelu.

– Dalej, Charles, czas to pieniądz!

Cassidy z dezaprobatą pokręcił głową.

– Na Boga, Robercie! Chciałbym wiedzieć, gdzie są twoje maniery. Panno Zhao, proszę wybaczyć doktorowi Gaddiemu. Robercie, przedstawiam ci Lian Zhao, twoją nową agentkę ochrony.

Naukowiec wbił wzrok w przyjaciela, po czym ponownie zwrócił się ku kobiecie, której przed chwilą nie zaszczylił większym zainteresowaniem. Nie mogąc ukryć zdumienia, z mocą utkwili złociste oczy – chociaż otwierał już oboje i nie stracił wzroku, skóra po lewej stronie twarzy wciąż miała żółtawo-fioletowy odcień siniaków – w jej niemal dziecięcej twarzy.

Zniosła to badawcze spojrzenie ze spokojem. Wielkie oczy w kolorze promiennego wiosennego nieba obserwowały go z uwagą.

– Żartujesz, co? Mam ją też rano odprowadzać do szkoły?

Spostrzegł, że jego opryskliwy komentarz w najmniejszym stopniu nie wpłynął na spokój tych

zadziwiających niebieskich oczu, i poczuł się urażony.

– Robercie, Robercie. Panna Zhao nie jest żadną dziewczynką. Pracuje w jednej z najlepszych firm ochroniarskich na świecie i jest specjalistką od sztuk walki. To ona ochraniała Samanthę Knowles.

Mimo że naukowiec większą część dnia spędzał w laboratorium i jedynie czasami wysłuchiwał wiadomości z internetu, wiedział, że Charles mówi o sławnej prezenterce ze świata mody, której jakiś szaleniec regularnie groził śmiercią. Gaddi czytał, że agresor był o krok od spełnienia groźby, ale ochrona udaremniła jego atak.

Charles może sobie mówić, co chce, pomyślał doktor, jemu samemu trudno było jednak uwierzyć, że ta skromnie wyglądająca, ubrana w nudne brązowe spodnium dziewczyna o twarzy bez śladu makijażu, bardzo jasnych włosach zebranych w prosty koński ogon, małych dłoniach, długich palcach i krótkich, niepomalowanych paznokciach, trzymająca ręce na kolanach, a nogi zbyt blisko siebie, byłaby w stanie sama przejść przez jezdnię po pasach, nie mówiąc już o odparciu ataku szaleńca.

– Lian Zhao – powtórzył z pogardą i dodał uszczypliwie: – Chciałbym wiedzieć, po kiego diabła posługuje się pani chińskim imieniem i nazwiskiem. Założę się, o co pani zechce, że nie ma pani w żyłach ani krzty krwi żółtej rasy. Czy po to, żeby dodać wiarygodności tej nieprawdopodobnej historii o królowej kung-fu?

Dziewczyna po raz pierwszy otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, a słysząc jej głos, poważny i słodki zarazem, Robert poczuł, jak jeża mu się włosy na karku.

– Moje imię oznacza „wysmukłą wierzbę”, a noszę nazwisko czcigodnego mistrza Szaolin.

– Wysmukła wierzba. Na Boga! – Przewrócił oczami. – Charles, to jakiś żart, prawda?

Widząc minę przyjaciela, pełną niechęci i niedowierzania, Cassidy powstrzymał się od uśmiechu i odrzekł śmiertelnie serio:

– Nie jest to rzecz, z której można by sobie żartować, Robercie. Lian zostaje twoim ochroniarzem. Od tej chwili stajecie się nierozłączni. Będzie mieszkała w twoim domu, wszędzie z tobą jeździła, a nawet towarzyszyła ci w jebanym kiblu, jeśli to będzie konieczne. Pani wybacz, panno Zhao – przeprosił, nagle zdając sobie sprawę ze swojego słownictwa.

Agentka popatrzyła na niego, nie tracąc ani odrobiny spokoju.

– Najlepiej, żebyś natychmiast opuścił Waszyngton i schronił się w La Fortezzy – kontynuował Cassidy. – Znajdziesz tam wszystko, czego ci potrzeba do prowadzenia badań, a będziesz lepiej chroniony. Dodatkowo przydzielę ci paru ludzi; w ten sposób twój włoski zameczek stanie się praktycznie nie do zdobycia.

– Nie ma mowy! – odparł naukowiec tonem źle wychowanego dziecka, a jednocześnie dłonią o dużych, eleganckich palcach przesunął sobie po niesfornej czarnej czuprynie.

– Przykro mi, Robercie, nie masz innego wyjścia. Ian Doolan postawił sprawę jasno: albo zgodzisz się na ochronę, albo fundusze przeznaczone na twoje badania zostaną drastycznie zredukowane.

Ultimatum sprawiło, że w dwojgu niespotykanych bursztynowych oczach zapłonęły rozżarzone ogniki. Doktor, rozdrażniony, pochwyił gałkę laski i zakręcił nią. Walnął przy tym dziewczynę w nogę, ale nie przeprosił. Nawet nie mrugnęła i ten brak jej reakcji rozzłościł go jeszcze bardziej. Wściekły, zerwał się z miejsca i bez pożegnania pośpiesznie wymaszerował z gabinetu, zupełnie nie dbając o to, czy ta dziwna kobieta pójdzie za nim czy zostanie.

A jednak gdy wszedł do windy, guzik parteru został wciśnięty palcem kobiecej ręki. W środku znajdowało się jeszcze kilka osób, dlatego Robert milczał ze zmarszczonym czołem i ignorował swojego anioła stróża. Był tak wściekły, że po wyjściu na ulicę przez nieuwagę wetknął metalową końcówkę laski w kratkę wentylacyjną metra i stracił równowagę. Próbował ją odzyskać, opierając ciężar ciała na niesprawnej nodze bardziej, niż powinien, i udo przeszła mu na wylot ostra igła bólu. Zanim jednak noga ugięła się zupełnie, drobna kobieta, cały czas idąca u jego boku, bez słowa wzięła go pod ramię i mocno podtrzymała, nie pozwalając, by upokorzony zwałił się na chodnik.

Rozwścieczony własną niezdarnością, Robert nie mógł nie zauważyć, jak pewnie kruche kości wsunięte pod jego ramię wytrzymały ten dodatkowy ciężar. Mimo że dla postronnych wyglądała

zapewne na dziewczynkę podtrzymującą dorosłego, stwierdził w duchu, że wrażenie to jest mylące, ponieważ jego palce niechcący musnęły przez brzydki brązowy żakiet małą kształtną pierś.

– W porządku?

Znowu ten głos, spokojny i słodki, wywołujący wir sprzecznych emocji w jego wnętrzu. Robert zauważył, że jego własna pierś wznosi się i opada w zwiększonym tempie, podczas gdy jej oddech pozostał tak lekki, jakby kobieta miała uwieszony na ramieniu nie prawie dziewięćdziesięciokilogramowy ciężar, tylko zwiewny szal.

Nie siląc się na podziękowanie, odsunął się od niej szorstko i stanął pewniej na zdrowej nodze, żeby uwolnić laskę z metalowej kratki. Następnie wcisnął guzik na pilocie od wozu, na co ten odpowiedział mrugnięciem migaczy, po czym kulejąc wyraźniej niż zwykle, obszedł samochód i siadł za kierownicą. Zanim skończył zapinać pas bezpieczeństwa, otworzyły się drzwi od strony pasażera i Lian Zhao siadła obok niego.

Robert prowadził w milczeniu, zmierzając do luksusowego hotelu, w którym zajmował apartament, ilekroć zatrzymywał się w Waszyngtonie. Nie zniósłby, gdyby ta dziwna młódka zaczęła paplać bez ładu i składu, jak miały w zwyczaju kobiety, z którymi czasem się umawiał. A jednak nie wiedzieć czemu cichość towarzyszącej jeszcze bardziej doprowadzała go do szału.

– Co z tobą? Jesteś taka głupia, że nie masz o czym rozmawiać?

Myślał, że mu nie odpowie, ale po chwili odezwała się spokojnie:

– „Jeśli nie masz nic ważnego do powiedzenia, zachowaj godne milczenie”.

Zwrócił ku niej twarz i wlepił w nią wzrok ze zdziwieniem, lecz najwyraźniej nie poczuła się dotknięta i nadal z widocznym zainteresowaniem przyglądała się ulicom Waszyngtonu, ruchliwym w ten roboczy poranek. Robert nie był przyzwyczajony do tego, by go ignorowano. Jego agresywna postawa zawsze wywoływała jakąś reakcję – na ogół negatywną. Każda inna kobieta na jej miejscu wybuchnęłaby w tym momencie łzami, ale to nijakie dziewczętko pozostawało niewzruszone, jakby był zaledwie naprzykrzającą się muchą, na którą lepiej nie zwracać uwagi.

Wkrótce przyszło mu na ratunek własne poczucie humoru i zaczął dostrzegać komizm sytuacji.

– Skoro mój nowy ochroniarz jest kimś w rodzaju Kwai Changa, a ja jestem małym konikiem polnym... – Niebieskie oczy znów na nim spoczęły, tak samo obojętne jak poprzednio. – Nie oglądałaś Kung Fu? Pewnie, że nie, jesteś na to za młoda. Bardziej pasuje ci SpongeBob. Co, nie oglądasz telewizji?

– Nie.

Nagle Roberta naszła chęć dowiedzenia się czegoś więcej o tej dziwnej istocie wyglądającej na dziewczynkę, lecz opanowaniem dorównującej staruszkom.

– Umiesz odpowiadać pełnymi zdaniami czy znasz jedynie kilka monosylab?

Nic. Jego milcząca towarzysząca patrzyła przed siebie, zaabsorbowana imponującym białym obeliskiem pomnika Waszyngtona.

Chociaż Robert przez całą drogę zadawał pytania, nie dostał żadnej odpowiedzi i kiedy w końcu zaparkował maserati w hotelowym garażu, jego wybuchowy temperament znów doprowadził go na skraj eksplozji. Rozzłoszczony, wysiadł z wozu i gwałtownie zatrzęsął drzwiami, po czym pokuśtykał do windy i dziabnął przycisk końcem laski.

Ani się obejrzał, jak został znienacka unieruchomiony przy ścianie. Z zaskoczenia nie zdołał zareagować. Spuścił wzrok na drobną kobietę, która lewym przedramieniem napierała na jego pierś i przyglądała mu się chłodno. Ze zdumieniem patrzył, jak dziewczyna unosi drugą rękę i przykłada opuszki palców na wysokości jego serca. Delikatny kontakt, który jednak okazał się znacznie skuteczniejszy, niż gdyby przyszpiliła go do ściany setką żelaznych szpikulców.

– „Lepiej jest pokonać siebie, niż wygrać tysiąc *bitew*”. Masz serce pełne gniewu, Robercie Gaddi. Nie możesz pozwalać, by gniew przez ciebie przemawiał, ponieważ w końcu zostawi cię głuchego na wszystko inne niż jego żądania.

Była to najdłuższa wypowiedź, jaką od niej usłyszał, odkąd się poznali. Zdziwił go tajemniczy akcent pobrzmiwający w jej słowach. Choć doskonale mówiła po angielsku, nie była ani Angielką, ani Amerykanką. Uważnie przyjrzał się skierowanej ku górze twarzy i z zaskoczeniem odkrył, że w jej

rysach nie ma nic pospolitego. Lian Zhao nie tylko miała wielkie oczy, mały zgrabny nos i zmysłowe usta; bardziej niż to jego uwagę przyciągnęły blada skóra, kremowa i aksamitna, pozbawiona jakichkolwiek niedoskonałości. Czując się niezręcznie, poruszył głową, by przerwać oczarowanie, w którym się pogrążył, i rzekł opryskliwie:

– Musisz gadać jak w porąbanym filmie z Jackiem Chanem, pokręcony dębnie, czy jak się tam zwiesz?

Znów jedno z tych zbijających z tropu niebieskich spojrzeń i milczenie jako jedyna odpowiedź. Nagle jednak kąciki jej ust powoli się uniosły w niespodziewanym uśmiechu, który zapałł mu dech w piersi.

– Lian, mam na imię Lian.

Cofnęła się o krok i odsunęła od niego. Robert poczuł, że znów może oddychać normalnie. Nerwowo poluznił palcem wskazującym kołnierzyk koszuli, jakby krawat go dusił, po czym już bez słowa wszedł do windy, a kiedy Lian do niego dołączyła, wcisnął guzik. W drodze do apartamentu nie odrywał od niej złocistych oczu, lecz jeśli się spodziewał, że dziewczynę to zdenerwuje, to się przeliczył.

Gdy przybyli na miejsce, otworzył drzwi i zaprosił ją do środka.

– Tam jest twoja sypialnia. – Wskazał nieduży pokój. – Niestety, to bardzo mały apartament, będziemy zmuszeni korzystać z jednej łazienki, a ja nie jestem przyzwyczajony dzielić z kimś mieszkania. Nie chcę widzieć majtek suszących się na wieszaku od ręczników ani szminek na umywalce, zrozumiano?

Zobaczył, że dziewczyna kładzie na łóżku sfatygowany czarny plecak, który nosiła przez cały ranek. Bez zastanowienia zadał kolejne pytanie:

– To cały twój bagaż?

Potwierdziła niemal niedostrzegalnym ruchem głowy, po czym usiadła na materacu wąskiego łóżka stojącego pod oknem i rozejrzała się z ciekawością.

– Mam nadzieję, że zapakowałaś coś nie aż tak paskudnego jak ten garnitur i buty, które masz na sobie. Dla takiego wrażliwego faceta jak ja brak piękna jest straszliwą obrazą. Jeśli więc zamierzasz na służbie przy mnie ubierać się jak dziwoląg, z góry zaznaczam, że na to nie pozwolę.

– Ubranie nie jest ważne.

Sarkastycznie uniósł brew.

– Zastanawiam się, z jakiej choinki się urwałaś. Pierwszy raz słyszę, żeby kobieta mówiła coś takiego. Ale okej, może raczej powinienem się zastanawiać, czy faktycznie jesteś kobietą. Ile masz lat?

Lian wydawała się odporna na jego humory i tym razem nie wstrzymywała się z odpowiedzią.

– Dwadzieścia sześć, chyba.

– Chyba? – Nie wyglądała nawet na pełnoletnią i ta enigmatyczna odpowiedź ponownie wzbudziła w Robertcie ciekawość.

– Mistrz Cheng obliczył mój wiek na podstawie mojego wzrostu i wielkości kości nadgarstka.

U człowieka o tak dociekliwym umyśle jak on tego rodzaju odpowiedź mogła wzbudzić tylko jeszcze większą chęć dotarcia do sedna sprawy.

– A twoi rodzice?

Uniosła ręce dłońmi skierowanymi w górę. No oczywiście, pomyślał Robert, znużony. Gdyby tej kobiecie płacili za każde wypowiedziane słowo, byłaby biedna jak mysz kościelna. Było jasne, że nie będzie współpracowała, wobec czego postanowił dać jej spokój. Na razie.

– Lepiej przenieś swoje precjoza do mojej szafy – rzekł sarkastycznie. – Popracuję chwilę na laptopie. Potem pójdziemy coś zjeść.

Odwrócił się i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Lian wstała i zaczęła opróżniać plecak, swoje nieliczne rzeczy umieszczając w szafie. Jako ostatni z jednej z bocznych kieszeni wyjęła najcenniejszy przedmiot – mala, czyli buddyjski sznur modlitewny o stu ośmiu drewnianych paciorkach, подарowany jej przez mistrza, kiedy się z nią zegnał przed sześcioma laty – i położyła go z czcią na nocnym stoliku.

Potem usiadła na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i plecami wyprostowanymi jak struna.

Oparła grzbiety dłoni na kolanach i próbowała medytować, lecz obraz pełnych złości niezwykle złocistych oczu nie pozwalał jej się skupić. Wobec tego skierowała myśli na poznanego dzisiaj mężczyznę: Roberta Gaddiego, człowieka, którego miała ochraniać z poświęceniem życia, a który najwyraźniej darzył ją nienawiścią. Zastanawiała się, czy gorycz wrząca w jego wnętrzu bierze się z tego, że jest kulawy. Coś jej jednak podpowiadało, że nie to jest przyczyną.

Gdyby tu była poprzednia chroniona przez nią osoba, Samantha Knowles, na pewno z chorobliwą ciekawością zapytałaby, czy Lian uważa go za przystojnego. Pytanie to zadawała za każdym razem, kiedy pokazywała jej kolejnego przedstawiciela płci męskiej, i Lian wiedziała, że jej nieodmienna wymijająca odpowiedź: „Piękno kryje się w największej głębi człowieka”, doprowadzi Samanthę do szału.

Próbowała pomyśleć o pierwszym wrażeniu, jakie zrobił na niej Robert Gaddi, gdy go poznała przed kilkoma godzinami. Był wysoki i dobrze zbudowany. Chociaż kulawy, Lian zauważyła pod jego koszulą twarde mięśnie, więc zapewne uprawiał jakiś sport, żeby nie stracić formy. Na tle ciemnych włosów i śniadej skóry wyraźnie się odznaczały te niezwykle tęczówki w kolorze bursztynu. Lian nigdy dotąd nie widziała takich oczu. Gdy się odwrócił, żeby na nią popatrzeć w siedzibie FBI, odniosła niesamowite wrażenie, jakiego nigdy wcześniej nie doznała, bardzo podobne do jednego z tych alarmujących sygnałów, które mistrz Cheng nauczył ją wykrywać i które z miejsca wzbudzały jej czujność. Po latach nieustannych ćwiczeń Lian całkowicie ufała swej intuicji, a ta w tej chwili ostrzegała, że człowiek, dla którego zaczęła pracować, stanowi dla niej jakiegoś rodzaju zagrożenie. Lepiej nie tracić czujności, pomyślała. Istniało słowo, które doskonale definiowało Roberta Gaddiego: niebezpieczeństwo.



Kilka godzin później, siedząc z nią twarzą w twarz w uroczej francuskiej restauracji usytuowanej kilka przecznic od hotelu, Robert bezceremonialnie przyglądał się Lian z taką uwagą, jakby to było DNA jednego z wirusów, które badał pod mikroskopem. Właśnie zamówił chablis vaudésir i miał nalać trochę do jej kieliszka, gdy szybkim ruchem zakryła dłonią szkło.

– Nie piję alkoholu.

Złociste oczy zaiskrzyły się pod zmarszczonymi czarnymi brwiami z groźnym błyskiem, kiedy Robert napełniał własny kieliszek.

– Nie pijesz alkoholu, nie mówisz, koszmarne się ubierasz. Jak jakaś cholerna mniszka! – rzucił opryskliwie, głośno stawiając butelkę na stole.

Lian z niezmałonym spokojem wbiła w niego wielkie niebieskie oczy, przekrzywiła głowę delikatnym ruchem, który przypominał mu ptaszka czekającego na okruchy, i powiedziała bardzo poważnie:

– Mniszka i cholerna... te słowa do siebie nie pasują. Czy tak się mówi?

Nagle jej rozmówca odchylił się w krzesło i wybuchnął śmiechem, ukazując białe uzębienie i Lian przypomniała sobie te pełne blasku promienie słoneczne, które umiały się przebić przez najgęstsze chmury w szary dzień.

W tym momencie do ich stolika podszedł szef kuchni. Znał Roberta od kilku lat i polecając mu dania spoza karty, rozgadał się po francusku, na co naukowiec odpowiedział swobodnie w tym samym języku. Potem zwrócił się do swej młodej towarzyszkii, żeby jej przetłumaczyć, ale ku jego zaskoczeniu odparła płynną francuszczyzną, że nie trzeba, ponieważ wszystko doskonale zrozumiała. Zachwycony kucharz porozmawiał z nią jeszcze przez chwilę, po czym zanotował zamówienie i oddalił się w podskokach.

– Ile znasz języków?

Lian westchnęła. Nie lubiła mówić o sobie. Niemniej było jasne, że ten człowiek nie przestanie jej wypytywać, więc zrezygnowana, postanowiła odpowiedzieć.

– Znam standardowy język chiński, to jest mandaryński, hanyu, a także język wu i kantoński. Pewien Amerykanin, który składał śluby w naszej świątyni, uczył nas swojego języka, jeśli ktoś był zainteresowany. A pewnego dnia odkryłam, że mówię też po francusku.

Zaintrygowała Roberta tak, że nie posiadał się ze zdumienia. Odczekał niecierpliwie, aż kelner położy na stole talerze z zamówionymi daniami, po czym zaraz wrócił do wypytywania.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Jak to: pewnego dnia odkryłaś, że mówisz po francusku? Nikt nie uczy się języka ot tak, z powietrza.

Lian wzruszyła ramionami i zaczęła jeść sałatkę – jedyne, co zamówiła. Rzucił jej gniewne spojrzenie.

– Mogłabyś tak łaskawie przestać otaczać się aurą tajemniczości i mówić bardziej konkretnie? – Wbił widelec w ślimaka i podsunął go jej pod nos. – Chcesz spróbować?

Odwróciła twarz.

– Nie jadam mięsa.

Robert znowu przewrócił oczami.

– O co chodzi? Religia ci zabrania?

– To jedno z dziesięciu przykazań kodeksu moralnego szkoły Szaolin: nie jeść mięsa ani nie pić wina.

– A ten twój francuski? – Robert umiał być naprawdę uparty, jeśli tego chciał.

Lian fuknęła ze zniecierpliwieniem.

– Nie wiem, skąd znam ten język, naprawdę. Kilka lat temu ochraniałam w Kanadzie śpiewaka francuskiego pochodzenia i uświadomiłam sobie, że doskonale rozumiem, co mówi, i mogę z nim rozmawiać, ale nie umiem czytać. A teraz, Robercie Gaddi, może byłbyś łaskaw darować sobie na chwilę pytania, żebym mogła zjeść w spokoju?

– Pamiętaj, że jestem twoim szefem, nie pozwalaj sobie na impertynencję, bo cię zwolnię!

Na jego groźbę odpowiedziała tylko jednym z tych niebieskich nieprzeniknionych spojrzeń i dalej spokojnie żuła kęs. Przez kilka minut naukowiec zajmował się swoim talerzem ze ślimakami, lecz zaraz znowu wrócił do ataku. Od dawna nikt go tak nie zaintrygował. Normalnie jego zainteresowanie wzbudzały tylko sprawy związane z pracą, a jednak Lian Zhao, ta mądra i zarazem odpychająca staruszka o twarzy dziewczynki, okazała się wyjątkowo zagadkowa.

– Niech będzie, że urodziłaś się w Chinach. Tylko co do tego ustąpię, ponieważ nie uważam, żeby ktorekolwiek z twoich rodziców było rasy żółtej. Wystarczająco znam się na genetyce, wierz mi – dodał w zadufaniu, rozpierając się na krześle i nie spuszczać z niej wzroku.

– Nie wiem, czy się tam urodziłam.

– Cholera jasna! Możesz choć raz udzielić mi odpowiedzi jak pan Bóg przykazał? – Zirytowany, wałnął w stół obiema dłońmi, lecz jego rozmówczyni patrzyła na niego niewzruszona.

– Nie wiem, gdzie się urodziłam – rzekła w końcu. – Nie mam wspomnień z pierwszych lat życia. Mistrz Cheng znalazł mnie, kiedy jadłam zepsute owoce, które zbierałam z ziemi na targu w Luoyangu. Wyglądało na to, że od paru dni włóczyłam się po ulicach i spałam skulona w jakimś brudnym zaułku. Od tamtego czasu moją rodziną byli mnisi i uczniowie z klasztoru Szaolin. Przynajmniej tyle mi wiadomo. Zadowolony, Robercie Gaddi?

Nie odpowiedział. Po raz pierwszy w życiu zabrakło mu słów. Akurat w tym momencie pojawił się kelner, by zabrać naczynia z pierwszego dania, i Robert uparł się, żeby Lian zamówiła deser, podczas gdy on będzie jadł drugie danie. Choć protestowała, kazał przynieść dla niej naleśniki z czekoladą i śmietanką. Rozbawiła go jej mina, zaskoczona wysmienitym smakiem, kiedy dziewczyna podniosła widelec do ust.

– Smaczne, co?

Za całą odpowiedź niebieskie tęczówki rozpromieniły się szczęściem i przez kilka sekund naukowiec widział zarys osoby kryjącej się za tą prawie nieprzeniknioną zasłoną samokontroli.

„No, no – powiedział sobie w duchu. – Panna Zhao to jedna wielka zagadka”.

A jeśli istniało na tym świecie coś, czemu Robert Gaddi nie potrafił się oprzeć, było to porządne wyzwanie.

Rozdział 2

Macedonia, blisko granicy z Albanią

We wnętrzu ciężarówki było bardzo ciemno, a gwałtowne podskoki spowodowane przez niezliczone wyrwy w drogach o kiepskiej nawierzchni sprawiały, że Léi coraz bardziej przewracało się w żołądku. Od kilku dni podróżowała tym pojazdem, który śmierdział gnojem i zatrzymywał się od czasu do czasu, by pasażerowie wyszli za potrzebą. Jedno z dzieci cisnących się wokół niej, tak samo bladych i wystraszonych jak ona, nie wytrzymało i narobiło w majtki, przez co w środku panował smród nie do zniesienia.

Początkowo Léa rozpaczliwie wołała tatę i Marie, ale wymierzono jej siarczasty policzek i od tamtej pory już tylko cicho łkała, żeby ci źli ludzie jej nie słyszeli. Nikt się nie odzywał, jedynie od czasu do czasu przez hałas silnika ciężarówki przebijał się jakiś krzyk, natychmiast gwałtownie tłumiony. Léa drżała, sama nie wiedząc, czy ze strachu czy z zimna, i nie umiała nad tym zapanować. Płaszcz, niedawno elegancki, a teraz brudny i cuchnący, prawie wcale nie chronił jej przed niskimi temperaturami. Mimo że była noc, przez dziurki, które ktoś zrobił w metalowych ścianach kontenera, żeby wpuszczały choć odrobinę powietrza, widać było śnieg skąpany w nierzeczywistym, lodowatym blasku księżyca.

Dziewczyńce po raz enty zaburczało w brzuchu. W ciągu ostatnich kilku dni dostali do jedzenia jedynie kilka skibek twardego chleba z plasterkami zeschniętej wędliny. Najbardziej jednak chciało jej się pić. Tylko raz na jednym z tych rzadkich postojów ci ludzie dali im bidon, który przechodził z rąk do rąk, ale kiedy dotarł do Léi, okazało się, że w środku zostało zaledwie parę kropli.

Przemarznięta, głodna i umierająca z pragnienia, zwinęła się w kłębek na podłodze i próbowała spać mimo wstrząsów. Śniło jej się, że Marie przyniosła jej do łóżka szklankę ciepłego mleka i biszkopty, gdy nagle ciężarówka zatrzymała się ostro. Ciało Léi podskoczyło i uderzyła się boleśnie o nogę innego dziecka, a ono wyrzuciło z siebie coś, co zabrzmiało jak przekleństwo w nieznanym jej języku. Silnik zgasł i zapanowała przytłaczająca cisza. Wtem o metalowe ściany kontenera głośno walnęło coś ciężkiego, wywołując nieprzyjemne wibracje. Dzieci pozasłaniały sobie uszy i rozglądały się dookoła przerażone.

Wstrząsy i hałasy ciągnęły się przez kilka minut, po czym nagle kontener przechylił się gwałtownie i zaczął się unosić w górę. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na spanikowane krzyki zamkniętych w nim maluchów.

Waszyngton, obecnie

Minęło kilka dni konfliktowego wspólnego mieszkania w małym apartamencie. Doktor Gaddi przez większą część dorosłego życia mieszkał sam, a Lian upierała się, by wszędzie mu towarzyszyć. Zgodziła się spuszczać go z oczu, jedynie gdy szedł do łazienki, a nawet wówczas, jeśli byli poza apartamentem, odprowadzała go pod drzwi. Naukowca, który nigdy nie grzeszył cierpliwością, diabli brali z tego powodu; obelgi i groźby, którymi ją obrzucał, nie miały końca. Lian jednak w najmniejszym stopniu nie przejmowała się jego wybuchami złości. Rozumiała, że ludziom nie jest łatwo wyrzec się swobody, gdy ktoś chodzi za nimi jak cień, a humory obecnego klienta czasami wydawały jej się wręcz komiczne. Ta jej niewzruszona postawa doprowadzała z kolei Roberta do szału, przez co stawał się dla niej jeszcze bardziej nieznośny niż dla pozostałych osób ze swojego otoczenia.

Wiele godzin spędzali w laboratorium. Ogarnięcie pracowni po napadzie i najściu funkcjonariuszy zajęło kilka dni, ale w końcu wyglądało na to, że wszystko znów jest pod kontrolą. Robert starał się sprawiać wrażenie całkowicie skupionego na pracy, lecz raz po raz zerkał na swojego ochroniarza. Lian nie nosiła z sobą książek ani czasopism, by zabić nudę, podczas gdy on co chwila

sprawdzał dane w komputerze. Trwała w jakimś kącie pomieszczenia w całkowitym bezruchu, nie wydając najcichszych dźwięków. Robert nie uskarżał się na to. Gdyby przez cały czas nie był do bólu świadomy jej obecności, w ogóle nie zdawałby sobie sprawy, że ktoś mu towarzyszy.

Musiał przyznać, że Lian Zhao emanuje spokojem. Jej ruchy zawsze były dokładne i zadziwiająco eleganckie. Jakby delikatnie płynęła. Odkąd ją poznał, nie zauważył w jej języku ciała żadnej gwałtowności.

Obiady i kolacje jadali poza domem, choć kilka razy zamówił jedzenie na wynos i spożyli je w milczeniu przy stole przestronnej kuchni apartamentu. Lian parokrotnie proponowała, że zrobi zakupy w supermarkecie za rogiem, by przyrządzić coś do jedzenia, ale on zawsze sprzeciwiał się z burknięciem. Dlatego pewnego popołudnia, korzystając z tego, że naukowiec był pochłonięty jakimiś dokumentami, które przyniósł z pracy, Lian bez pytania wyszła, żeby kupić świeże owoce i warzywa. Najwyraźniej Robert nie zauważył jej nieobecności, bo kiedy z kłaśnięciem w dłonie obwieściła, że kolacja na stole, spojrzął na nią zaskoczony.

– Co to jest? – Ze zmarszczonym czołem przyjrzał się rozstawionym na obrusie półmiskom z warzywami i ryżem. – Nie lubię zielska, nie jestem cholernym przeżuwaczem.

Nie przejmując się jego dąsami, Lian usiadła naprzeciwko niego, wzięła drewniane pałeczki, które też kupiła, napełniła sobie miseczkę i zaczęła jeść ze smakiem. Robert, widząc, że Lian nie zwraca na niego najmniejszej uwagi, nałożył sobie porcję i ignorując pałeczki, które położyła koło jego miski, zabrał się do jedzenia widelcem. Nagle uświadomił sobie, jaki jest głodny i że wszystko smakuje wyśmienicie.

– Było bardzo dobre – przyznał niechętnie, kiedy kolacja do ostatniego ziarenka ryżu zniknęła z półmisków, a Lian wstała, by przynieść deser. – Nie lubię owoców – dodał, patrząc na trzy plastry ananasa, które nałożyła mu na talerzyk.

– Twoje ciało jest święte, Robercie Gaddi. Powinieneś o nie dbać i zdrowo je odżywiać. Jedz.

Z niedowierzaniem wbił wzrok w tę drobną kobietę, która pozwalała sobie dawać mu rozkazy, jakby był upartym dzieciakiem. Ona jednak odpowiedziała spokojnym spojrzeniem, a on, ku własnemu zdziwieniu, wziął widelec i zaczął jeść. Kiedy skończył, wstał bez pomocy łaski, szorstkim gestem pobierał naczynia i kulejąc, zaniósł je do zmywarki.

– Jutro idziemy do opery – oznajmił burkliwie. – Mam nadzieję, że nie zamierzasz się przebierać za dziwoląga, jak masz w zwyczaju.

Wzruszyła ramionami.

– Jestem twoją ochroną. Nieważne, jak się ubieram.

– Dla mnie to ważne – mruknął nieprzyjemnie. – Nie mam ochoty pokazywać się z kobietą ubraną w ciuchy od Armii Zbawienia. Jutro zrobimy zakupy.

Lian spuściła wzrok i zmieszana, przyjrzała się swojemu ciemnobrązowemu spodniom – temu samemu, które miała na sobie w dniu, gdy się poznali.

– Co jest nie tak z moim ubraniem? Mam je od lat i jeszcze długo może mi dobrze służyć.

Robert, rozdrażniony, wznosił oczy do nieba.

– Można wiedzieć, skąd się wzięłaś na ziemi? Jak to możliwe, że kobieta nie skacze z radości, kiedy ma okazję dostać w prezencie nową sukienkę?

– Nie potrzebuję sukienki – upierała się. – Spodnie są bardziej praktyczne w mojej pracy. Poza tym wcale nie jest konieczne, żebyś ty mi coś kupował. – Pobiegła do kuchni i po chwili wróciła z lśniąca kartą kredytową, którą pokazała mu, jakby to był skarb. – Mam swój rachunek w banku i mnóstwo pieniędzy. Mało wydaję, a w ciągu ostatnich sześciu lat miałam bardzo hojne wynagrodzenia.

Rozbawiła go jej wyrażająca dumę mina, a jednocześnie zauważył u siebie nieoczekiwany przyptyk czułości. Niemniej dalej mówił z nachmurzonym czołem:

– Może nadeszła pora, żebyś wydała nieco z tych pieniędzy na poprawienie swojego wyglądu. Po co mają leżeć w banku?

Znów wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Nie potrzebuję ich. Francis uparł się, że mam sobie otworzyć rachunek w banku,

z powiązaną kartą kredytową, i pokazał, jak to zrobić.

Robert, pochylony z talerzami nad zmywarką, odwrócił się do niej gwałtownie, nagle czujny, niczym pies myśliwski, który trafił na trop królika.

– Kim jest Francis?

– Francis Kane to mój szef. – Na myśl o tym miłym, postawnym mężczyźnie, który ją tak dobrze traktuje, na jej ustach rozkwitł delikatny uśmiech.

Robertowi znowu zaparło dech w piersi.

– Twój szef? – Przyłapał się na dogłębnym rozdrażnieniu i nie miał pojęcia, skąd się wzięło. – Wnioskując po twojej minie, można by powiedzieć, że jest kimś znacznie więcej.

Lian w zamyśleniu przechyliła głowę gestem, który stawał się dla niego znajomy, i po kilku minutach zastanowienia odpowiedziała wreszcie z całkowitą powagą:

– Francis Kane jest też moim przyjacielem.

– Jesteście kochankami? – Pytanie wymknęło mu się z zaciśniętej szczęki i zaskoczeniem zauważył, że z zainteresowaniem czeka na odpowiedź.

Spojrzała na niego, jakby nie rozumiała pytania, wobec czego niecierpliwie zadał je ponownie innymi słowami:

– Sypiasz z nim?

Choć miał już świadomość, że ta kobieta nigdy nie reaguje tak, jak by się spodziewał, zdziwił się, że jego obcesowość najwyraźniej jej nie obraziła. Lian Zhao była bardzo dziwną młodą osobą, a usłyszawszy jej odpowiedź, uznał ją za jeszcze większą dziwaczkę.

– Nie sypiam z nikim – odrzekła po prostu.

Robert zastygł osłupiały, patrząc w te szczere niebieskie oczy. Wreszcie pokręcił głową.

– Jak to: nie sypiasz? Chcesz powiedzieć, że nie lubisz spać z mężczyznami? Wolisz kobiety?

– Nie wiem.

– Jak to: nie wiesz? – Był coraz bardziej skonsternowany. Nagle przyszło mu do głowy coś prawie nie do pomyślenia. – Nie chcesz chyba, żebym uwierzył, że nigdy z nikim nie spałaś, co? Próbujesz mi wmówić, że jesteś dziewicą?

Lian wzruszyła ramionami, jakby w najmniejszym stopniu nie interesowało jej to, w co on uwierzy albo nie. Zdjęła ze stołu obrus, strząsnęła go i złożyła, by schować z powrotem do szuflady. Po czym wyszła z kuchni, w ogóle nie zwracając uwagi na mężczyznę, który niemal deptał jej po piętach, oparty na lasce.

– Uważasz mnie za idiotę? Powiedziałaś mi, że masz dwadzieścia sześć lat. Żadna kobieta nie jest dziewicą w tym wieku!

Zatrzymała się w pół kroku, tak że o mało na nią nie wpadł, i odwróciła się, patrząc mu w twarz.

– Dlaczego mówisz o tym w taki sposób, jakby to było coś strasznego?

Spojrzał z podziwem w te niebieskie oczy, które choć raz zdawały się ciskać gromy z oburzenia, i rzucił drwiąco:

– Zaraz zadzwonię do Księgi rekordów Guinnessa: to prawdziwe osiągnięcie. Powiedz: o co chodzi? Postanowiłaś wstąpić do klasztoru?

Próbował tylko zażartować sobie jej kosztem, dlatego zatkało go, kiedy odpowiedziała krótko:

– Tak.

Oszołomiony spojrzał na nią w zdumieniu. Przesunął wzrokiem po tej ładnej młodzieńczej twarzy bez śladu makijażu, co jeszcze bardziej podkreślało nieskazitelną satynową skórę, i znów z niedowierzaniem pokręcił głową.

– „Tak” co?

– Chcę wstąpić do klasztoru – odpowiedziała ze spokojem, jakby mówiła coś najnormalniejszego w świecie.

Bez większej delikatności złapał ją za ramię i pociągnął na przepastną sofę w salonie. Posadził ją niemal siłą, a sam opadł na siedzenie obok, wysunął przed siebie nogę, która znów go zaczęła boleć, i nie odrywając wzroku od twarzy Lian, zażądał:

– Opowiedz mi wszystko.

– Nie ma wiele więcej do opowiedzenia. Już ci mówiłam, że dorastałam w klasztorze Szaolin. Chciałam zostać mniszką, ale mistrz Cheng mi nie pozwolił.

Zrobiła ruch, żeby wstać, lecz Robert położył ciężko rękę na jej ramieniu i zatrzymał ją na sofie.

– Posłuchaj, wysmukła topolo, tym razem nie uciekniesz, dopóki nie odpowiesz na kilka pytań. Po pierwsze, chciałbym się dowiedzieć, co robiła kobieta w klasztorze Szaolin. O ile mi wiadomo, żyją tam tylko mężczyźni.

Lian wyprostowała się na siedzeniu jak struna, nie dotykając plecami oparcia. Złączyła ręce w spokojnym geście, jakby się szykowała do snucia opowieści, i zaczęła mówić słodkim, melodyjnym głosem:

– Mistrz Cheng zrobił dla mnie wyjątek. Początkowo prawie nie widać, czy dziecko jest chłopcem czy dziewczynką, i nie ma to znaczenia. Ale kiedy podrosłam, okazało się, że mam wielkie zdolności w zakresie wushu, co na Zachodzie nazywacie kung-fu. Znałam też dobrze zasady buddyzmu zen i mistrz pomyślał, że byłoby szkoda oddalić mnie z klasztoru. Sama chciałam zostać. Gdy skończyłam dwadzieścia lat, poprosiłam, by pozwolił mi złożyć śluby. Pomyślałam, że kiedy mistrza Chenga zabraknie i komuś przeszkadzałaby moja obecność, zawsze mogłabym się przenieść do klasztoru Yongtai, przeznaczonego dla kobiet, ale mistrz Cheng był innego zdania... – Oczy Lian pociemniały, na twarzy pojawiło się napięcie. – Powiedział, że jeszcze nie jestem gotowa, że muszę pójść w świat i znaleźć własną ścieżkę. Błagałam go, żeby pozwolił mi zostać, ale mnie nie posłuchał. Porozmawiał z Francisem Kane'em, którego znał od lat, i tak zaczęłam pracować w firmie ochroniarskiej. Mistrz mi obiecał, że dostanę jakiś znak, ale minęło już sześć lat, jak mieszkam na Zachodzie, i wciąż nie wiem, jaką ścieżką mam podążać. Pod koniec każdego roku wysyłam do mistrza list z prośbą, żeby mi pozwolił wrócić i złożyć śluby, ale zawsze dostaję taką samą odpowiedź: „Jeszcze za wcześnie”.

Naukowcowi cała ta opowieść wydawała się zupełnie niewiarygodna, ale prostota i szczerść, z jakimi Lian ją snuła, przemawiały za tym, że dziewczyna mówi prawdę.

– I przez wszystkie te lata w nikim się nie zakochałaś? Żaden mężczyzna nie sprawił, że zmieniłaś zdanie?

Lian odpowiedziała, nie wahając się ani sekundy:

– Nie.

I niczym królowa, która uznała audiencję swoich pokornych poddanych za zakończoną, wstała i wyszła z pokoju.

Robert pozostał tam, gdzie siedział, z głową odchyłoną na oparcie sofy, rozmyślając o tym, co właśnie usłyszał. W głowie mu się nie mieściło, że ta kobieta, wyglądająca jeszcze prawie jak dziewczynka, tak zdecydowanie wyrzekła się miłości. Choć osobiście nie wierzył w miłość – dla niego słowo to było zaledwie pretekstem, którym wiele osób próbuje usprawiedliwiać relacje seksualne – owszem, wierzył w starą dobrą żądzę. W zasadzie jedynym, czego szukał w zbliżeniach z kobietami, było zaspokojenie żądz, i idea wyrzeczenia się tej ekscytującej satysfakcji na zawsze wydawała mu się niepojęta. I nie tylko to: owszem, jeśli się wysilił, umiał sobie wyobrazić życie buddyjskiej mniszki; żadnych restauracji, drogich samochodów, modnych ubrań, wyjść do teatru, opery czy kina; spokój, cisza, modlitwy... Robert pokręcił głową; na samą myśl o tym dostawał dreszczy.

W końcu wstał z sofy i włączył nowoczesny sprzęt audio, kryjący się wśród licznych książek, od których ugiwały się półki biblioteczeki. Natychmiast pokój wypełniły dźwięki Cyganerii i Robert zamknął oczy, by bez zakłóceń smakować cudowny sopran solistki. Nagle szósty zmysł podpowiedział mu, że nie jest sam. Rozejrzał się i zobaczył, że na podłodze siedzi Lian w pozycji lotosu, z zamkniętymi oczami i wyrazem uniesienia na twarzy, który go zafascynował. Kiedy wybrzmiały ostatnie akordy, powoli otworzyła oczy, jakby wybudzona z transu.

– Podoba ci się opera?

– Nigdy dokąd nie słyszałam niczego podobnego. – Ożywiona twarz jeszcze odzwierciedlała

zachwyt, jaki w młodej kobiecie wzbudziła muzyka.

– To aria *Quando m'en vo'* z *Cyganerii* Pucciniego. Na tę operę idziemy jutro do John F. Kennedy Center.

– Jest przepiękna. Szkoda, że nie rozumiem, o czym śpiewa ta kobieta.

– To bardzo zmysłowa aria. Musetta śpiewa, żeby przyciągnąć uwagę Marcella, swojego dawnego narzeczonego. Udaje, że śpiewa dla swojego starego kochanka, i sprawia, że Marcello pała zazdrością. Jednak bohaterami opery są hafciarka Mimí i poeta Rodolfo. Zakochują się w sobie od pierwszego wejrzenia, ale przez jej nieustanne kokieteryjne zachowanie on ją porzuca. Nie wie, że Mimí jest bardzo chora, a gdy się dowiaduje, czuje się winny, ponieważ uważa, że w czasie kiedy mieszkali razem, ona jeszcze bardziej podupadła na zdrowiu. W końcu schodzą się ponownie, lecz nie na długo, bo Mimí krótko potem umiera.

Lian z uwagą słuchała jego wyjaśnień. Robertowi jej pochłonięta opowieścią mina przywiodła na myśl zafascynowane baśnią dzieci. Doszedł do wniosku, że przy tym dziwnym dzieciństwie, jakie mała, najprawdopodobniej nie poznała wielu bajek.

– Chcesz posłuchać jeszcze raz?

Skinęła głową w milczeniu, nacisnął więc guzik pilota i pokój znów wypełniła muzyka. Gdy się skończyła, Lian wstała z podłogi i zanim wyszła, powiedziała tylko:

– Dziękuję.



Następnego dnia, po poranku spędzonym w pracowni, zjedli parę kanapek, siedząc w słońcu na kamiennych schodach budynku w otoczeniu dziesiątek urzędników, którzy też korzystali ze słabych promieni słonecznych. Kiedy skończyli, zamiast wracać do pracy, Robert zabrał Lian na zakupy, tak jak zapowiedział.

Sam nie miał obsesji na punkcie swojego wyglądu, ale lubił się dobrze ubierać i zawsze wybierał rzeczy dobrej jakości. Brązowe spodnie, które upodobała sobie Lian, o nieokreślonym kształcie i uszyte z taniego materiału, ostro kontrastowało z jego eleganckim, skrojonym na miarę grafitowym garniturem, nienaganną bladoniebieską koszulą i wąskim jedwabnym krawatem. Robert Gaddi, esteta przyznający, że kocha piękno w każdym jego aspekcie, był świadomy różnicy w wyglądzie ich dwojga; a już szczególnie działały mu na nerwy okropne czarne buty, które nosiła Lian, i nie był w stanie dłużej znieść takiego udręczenia.

Zaparkował samochód przed małym eleganckim butikiem w dzielnicy Georgetown, wysiadł, przytrzymał drzwi sklepu i niecierpliwym gestem dał znać Lian, że ma wejść do środka.

Rozejrzała się po wnętrzu szeroko otwartymi oczami. Francis Kane, kiedy wziął Lian pod opiekę, zabrał ją do kilku wielkich sklepów w Szanghaju. Tam kupiła sobie wszystko, co on uznał dla niej za niezbędne. Nigdy więcej nie chodziła na zakupy odzieżowe, a już tym bardziej do tak luksusowego miejsca jak to.

Podeszła do nich z szerokim sztucznym uśmiechem bardzo ładna kobieta ubrana według ostatniej mody.

– W czym mogę państwu pomóc?

– Ta młoda dama potrzebuje nowego ubrania, zwłaszcza kilku par butów.

Kobieta spojrzała na brzydkie pantofle Lian i nie zdołała ukryć przerażenia na twarzy.

– Niewątpliwie!

Przekonana, że dobrze zarobi na tych klientach, zaczęła pokazywać ubrania jedno po drugim, aż Lian zaprotestowała:

– Nie potrzeba mi aż tylu rzeczy!

Robert lekceważąco uniósł brew.

– Uwierz mi, córko, że właśnie potrzeba.

Nie zraziła się jednak i oświadczyła stanowczo:

– Nie chcę sukienek ani butów na obcasie. Jestem tu, żeby wykonywać swoją pracę, a te rzeczy nie będą do niej odpowiednie.

Sprzedawczyni, zauważywszy, jak opryskliwe ten elegancki i atrakcyjny brunet traktuje tę niepozorną młodą kobietę, wykluczyła założenie, że tych dwoje łączy jakaś miłosna relacja, i jej uśmiechy – kierowane niemal wyłącznie do Roberta – stały się jeszcze bardziej przymilne, a on odpowiadał, przesuając lubieżnym wzrokiem po jej zmysłowym, pełnym sztucznych krągłości ciele, wywołując u niej rozkoszne łaskotanie. Niemniej kilka sekund później upór Lian zgasił w ekspedientce wszelką chęć do flirtowania.

Po zażartej dyskusji, z której Lian wyszła zwycięsko, a która jeszcze bardziej skwasiła Robertowi humor, uparta młoda klientka zgodziła się kupić jedynie kilka par spodni i parę pasujących do nich bluzek, dyskretnych i eleganckich. Niechętnie przystała na dwie pary butów, na których kupno Robert nalegał nieustępliwie, i już mieli płacić, gdy zauważył tęskne spojrzenie, jakim Lian obrzuciła wiszące na pobliskim wieszaku dzinsy. Bez słowa wziął je i również położył na ladzie, wraz z kilkoma koszulkami o wygodnym fasonie.

– Proszę. – Lian podała mu swoją kartę kredytową.

Robert spojrzął na obrażający go kawałek plastiku, jakby to był karaluch, po czym odsunął go tak szorstkim gestem, że karta poleciała na podłogę.

– Nie prowokuj mnie więcej, Lian – burknął, ciskając gromy złocistymi oczami. – Przyjmij, że jest to część twojego wynagrodzenia. Nie zniósłbym ani dnia dłużej, patrząc na ciebie w tych okropnych ciuchach i straszliwych butach. Jesteś obrazą dla dobrego smaku.

Lian w milczeniu schyliła się po kartę. Gdy się wyprostowana, stanęła przed nim, prężąc całą swoją drobną figurę i jedwabistym głosem, od którego Robertowi włos się zjeżył na karku, ostrzegła:

– Następnym razem, gdy będziesz dla mnie nieuprzejmy, obronię się.

– Umieram ze strachu! – odparł sarkastycznie.

Coś w tych spokojnych niebieskich oczach powiedziało mu jednak, że lepiej mieć się na baczności i z panną Zhao obchodzić się ostrożnie.



Stojąc w salonie, elegancko ubrany w ciemny garnitur i białą koszulę, która uwydatniała opaleniznę twarzy, Robert czekał niecierpliwie na swoją ochronę osobistą. Nagle szósty zmysł kazał mu się odwrócić i oto Lian była już w pokoju. Jak zwykle weszła zupełnie bezgłośnie. Utkwił w niej wzrok. Miała na sobie obcisłe czarne spodnie od smokingu i perłową jedwabną bluzkę, którą doradziła jej kupić ekspedientka w butik. I włożyła jedno z tych nowych butów, mających zaledwie niewielki obcasik. Robert wiedział, że większość kobiet, które spotkają tego wieczoru w John F. Kennedy Center, będzie ubrana znacznie szykowniej, w suknie i niemożliwie wysokie szpilki, mimo to pomyślał, że Lian Zhao wygląda bardzo atrakcyjnie i elegancko.

Zamiast końskiego ogona, w który zazwyczaj wiązała sobie niedługie jasne włosy, upięła je w mały koczek na karku i jak się okazało, ta skromna fryzura idealnie pasowała do jej wieku. Lian nie miała na twarzy ani śladu makijażu, ale zupełnie wystarczały lekko zarumienione policzki i piękne niebieskie oczy błyszczące z podekscytowania. Kiedy Robert tak jej się nieskrępowanie przyglądał, przyszła mu na myśl uduchowiona uroda Wenus Botticellego i nagle zapragnął wyciągnąć rękę i pogłodzić Lian po policzku. Zirytowany tą głupią zachcianką, rzekł opryskliwe:

– Przynajmniej tego wieczoru nie będę się za ciebie wstydzić. – Złapał energicznie swoją drewnianą laskę i wykuśtykał z pokoju, nie czekając na Lian.



Zostawili samochód pod opieką jednego z licznych parkingowych czekających przed gmachem opery i wraz z resztą wytwornej publiczności, na którą w dużej mierze składała się waszyngtońska śmietanka towarzyska, skierowali się do wnętrza.

Lian nie odstępowała go ani na pół kroku i Robert zauważył, że dziewczyna ledwie zwraca uwagę na imponujący wystrój budynku czy na zwieszające się z sufitu ogromne kryształowe żyrandole. Wyraźnie było widać, że jest profesjonalistką i jedyne, co ją zajmuje w tej chwili, to możliwość ataku. W pewnym momencie Robert spostrzegł, że ktoś zbliża się do nich szybciej, niż to było przyjęte,

a Lian natychmiast wsunęła się między niego a tamtego człowieka. Był to fałszywy alarm, niemniej naukowiec doznał niezwykłego dla niego uczucia na myśl o tym, że ta krucha z wyglądu panna Zhao była bardziej niż gotowa przyjąć każdy wymierzony w niego cios.

Robert lekkim skinieniem głowy przywitał się z kilkoma znajomymi, ale nie zatrzymał się na rozmowę z żadnym z nich, prowadząc Lian prosto do dwóch miejsc na parterze, pośrodku rzędu, na które rok po roku opłacał stałą rezerwację na swoje nazwisko. Z nieokreślonym burknięciem zajął miejsce i wyciągnął przed siebie lewą nogę najdalej, jak się dało.

Uwadze Lian nie uszedł grymas bólu, który przemknął przez jego twarz przy siadaniu.

– Boli cię noga, Robercie Gaddi?

– Zaraz się okaże, że jesteś również lekarką, dociekliwy krzewie?

Ból nogi sprawił, że Robert wyładował się na niej, lecz Lian, co dla niej typowe, nie tylko nie dała się sprowokować, a nawet nie raczyła mu odpowiedzieć. Na szczęście zanim naukowiec poczynił jakąś kolejną zjadliwą uwagę, zaczął się pierwszy akt.

Muzyka należała do tych nielicznych rzeczy, które pozwalały Robertowi pogodzić się z ludzkością, dlatego nie pozwalał, aby ktoś lub coś przeszkadzało mu w słuchaniu. Jednakże tym razem, mimo że Cyganeria zaliczała się do jego ulubionych oper, sam się rozpraszał i od czasu do czasu rzucał ukradkowe spojrzenie na swą towarzyszkę, obserwując jej reakcje. Lian siedziała obok niego bardzo spokojnie, z małymi dłońmi złożonymi na podolku, jak przystało na grzeczną dziewczynkę, ale Roberta znowu zafascynowała jej urzeczona mina. Lian zdawała się słuchać całym ciałem, jakby chciała chłonąć muzykę do ostatniego dźwięku. W pewnym momencie po gładkiej skórze jej policzka niczym szklany paciorek ześliznęła się samotna łza, ona zaś nie zrobiła nic, by ją zatrzymać. Wbrew sobie Robert czuł się poruszony do głębi. Nigdy nie spotkał nikogo o tak wielkiej wrażliwości muzycznej; było jasne, że zadziwiającej Lian Zhao daleko jest do zwyczajnej młodej kobiety.

Gdy skończył się trzeci akt, poszli coś przekąsić w barze. Kelner zbierał już talerze, kiedy za ich plecami zabrzmiał kobiecy głos:

– Robercie, kochany! Myślałam, że się zaszyłeś w swojej włoskiej kryjówce.

Natychmiast wstał i ze staroświecką kurtuazją, która zaskoczyła Lian, pochylił się nad wyciągniętą ręką pięknej, eleganckiej kobiety po trzydziestce, rozbierającej go spojrzeniem do naga.

– Jak widzisz, Britanny, nie zaszyłem się.

Złociste oczy długim, taksującym spojrzeniem przesunęły się po wielkich piersiach, które sprawiały wrażenie, jakby zaraz miały wyskoczyć z głębokiego dekoltu niebieskiej satynowej sukni.

– Kim ona jest? – zapytała brunetka o bujnych kształtach, wskazując podbródkiem Lian.

– Ona? – Robert zwrócił się w stronę swojej ochrony, jakby zdążył zapomnieć o jej obecności. – Nikim. Przyjmij, że to kolejne drzewko w krajobrazie.

Britanny odrzuciła głowę w tył i wybuchnęła złośliwym śmiechem, po czym położyła dłoń o długich czerwonych paznokciach na jego białej koszuli na wysokości piersi i szepnęła zmysłowo:

– Robercie, kochany, moglibyśmy wyjść razem i w wielkim stylu nacieszyć się naszym nieoczekiwanym spotkaniem.

– Co sugerujesz? – odszepnął przekornie przyciszonym głosem.

– U ciebie czy u mnie? – odpowiedziała kolejnym pytaniem, nie przestając pieścić jego sutka przez bawełnianą tkaninę.

– Obawiam się, że koniecznie u mnie, Britanny. Zobligowano mnie, żebym nie ruszał się nigdzie bez niańki. – Lekceważonym ruchem głowy wskazał Lian.

– O ile nie zechce dołączyć do zabawy... – Brunetka posłała mu wielce znaczący uśmiech.

– Sądzę, że nie zechce. Panna Zhao nie wiedziałaby nawet, gdzie zacząć – stwierdził z okrucieństwem w głosie, wciąż ukradkowo obserwując Lian.

Jej twarz jednak nie zdradzała najmniejszych emocji.

W tej chwili zapowiedziano rozpoczęcie czwartego aktu, zatem dwoje starych znajomych pożegnało się, ustalwszy, że po spektaklu spotkają się przed budynkiem koło fontanny. Robert i Lian w milczeniu wrócili na swoje miejsca i choć pilnie ją obserwował w półmroku, nie zdołał już na tej

nieprzeniknionej twarzy dostrzec ani śladu poprzedniego zachwytu.



Mimo że Lian położyła się spać już jakiś czas temu, hałasy dobiegające z przyległego pokoju nie dawały jej zasnąć. „Wyjątkowo nieprzyjemna kobieta” – pomyślała poirytowana. Jej okrzyki rozkoszy, w kontraście z milczeniem mężczyzny, który jej towarzyszył w erotycznych zabawach, przebijały się przez cienkie ściany apartamentu, podobnie jak skrzywienie sprężyn łóżka i rozlegające od czasu do czasu łupnięcie czymś o wezgłowie. Lian, mając dość przekręcania się z boku na bok, wzięła z szafki nocnej mała i nie zapalając światła, przeszła do salonu, gdzie krzyki kobiety były przynajmniej trochę stłumione. Nieco uspokojona, usiadła na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i zaczęła przesuwając w dłoniach paciorki sznura modlitewnego.

Tymczasem Robert w swojej sypialni dyskutował z kochanką.

– Daj spokój, Britanny, nie zaczynaj znowu. Wiesz, że nie lubię spać z kimś w łóżku. Muszę wyciągnąć nogę, żeby mnie nie bolała.

– Ależ, kochany...

Britanny próbowała ponownie zarzucić mu ramiona na szyję, lecz on natychmiast się od niej odsunął i usiadł na skraju materaca, by włożyć spodnie od piżamy.

W końcu brunetka się poddała i nie przestając wyrzekać, zaczęła zbierać swoje ubrania rozrzucone po całym pokoju. Robert zadzwonił po taksówkę i cierpliwie czekał, aż jego kochanka się ubierze, po czym odprowadził ją do drzwi.

– Do widzenia, Britanny, taksówka czeka na dole.

– Dupek! – zawołała na pożegnanie.

Naukowiec z niezmaconym spokojem zamknął za nią drzwi i wrócił do swojej sypialni. Mijając salon, pod wpływem impulsu wszedł do niego i w przytłumionym świetle wpadającym z korytarza ujrzał Lian siedzącą na podłodze z zamkniętymi oczami, pograżoną w głębokiej medytacji. Zapalił światło i zafascynowany patrzył, jak dziewczyna niejako budzi się z głębokiego snu. Wyglądała bardziej po dziecięcemu niż kiedykolwiek, w cienkiej białej piżamie i ze zmierzwionymi rozpuszczonymi jasnymi włosami. Robert z wielkim rozdrażnieniem zauważył u siebie nagłe ukłucie żądz w łądźwiach.

Faktem jest, że chociaż zastosował szeroki arsenał technik miłosnych, żeby zaspokoić Britanny, sam nie czuł się przy tym szczególnie podniecony – może dlatego, że wciąż myślał o kobiecie, która wszystko słyszy z drugiej strony ścianki działowej – ale brunetka niczego nie zauważyła i najwyraźniej sama została zaspokojona. Niemniej wobec swojej nagłej i niepokojącej reakcji na zupełnie nieoczywiste wdzięki tej namiastki kobiety, Robert poczuł się jak stary satyr śliniący się na widok dziewczyczych uroków młodej panienki, co kompletnie zepsuło mu humor.

– Co ty tu robisz? Szpiegowałaś nas? – spytał urągliwie.

Lian odpowiedziała spokojnie:

– Nie, Robercie Gaddi, nie trzeba było was szpiegować. Tak hałasowaliście, że nie mogłam spać.

– Może twój umysł niezaspokojonej, tłumiącej żądze dziewicy zastanawiał się, jak to jest uprawiać miłość z mężczyzną... – Robert, ubrany tylko w ciemne spodnie od piżamy, oparł się o framugę drzwi i skrzyżował ramiona na imponującej nagiej piersi, jeszcze wydatniej prezentując przy tym mięśnie ramion.

Niebieskie oczy obojętnie prześliznęły się po jego męskim ciele.

– Nie sądzę, żeby to, co uprawialiście, było miłością – odrzekła Lian z pogardą. – Raczej sprawiało wrażenie spotkania dwóch zwierząt, dwóch bezpańskich psów, które, niezdolne do powstrzymania swoich impulsów, kopulują na oczach świata.

– Chyba nie próbujesz dawać mi umoralniających lekcji, prawda, sfrustrowana mała mniszko? – Robert zmrużył powieki i jego oczy błysnęły złością.

– Niczego nie próbuję, Robercie Gaddi. Mówię tylko, że twoje ciało jest świątynią i nie powinieneś zapraszać do niego byle kogo.

Słyszając to, poczuł się dziwnie zawstydzony, co wzbudziło w nim gniew, który skierował prosto na nią.

– Zwalniam cię! Jutro z samego rana spakujesz swoje manatki i wynocha!

Na jego szyi nabrzmiała i zapulsowała gruba żyła. Zaślepiiony gniewem, walnął pięścią w ścianę i nagły ból natychmiast przywrócił mu rozsądek.

Lian z typowymi dla siebie płynnymi, eleganckimi ruchami wstała i wyszła z pokoju; bose stopy przemykały po podłodze jak po wodzie. Kiedy znalazła się u siebie, położyła się do łóżka i od razu zasnęła, ale jej sny nie były miłe.



Następnego dnia rano Robert Gaddi wyszedł z sypialni boso, nadal ubrany jedynie w spodnie od piżamy, i pokuśtykał do kuchni. Idąc przez salon, udał, że nie widzi smukłej kobiecej postaci siedzącej spokojnie na jednym z foteli, z czarnym plecakiem, stanowiącym cały jej bagaż, u stóp. Znow była ubrana w swoje okropne brązowe spodnie i te obrzydliwe buty. Wracając z kuchni, naukowiec wszedł do salonu, oparł się o ścianę i pociągnął łyk soku pomarańczowego prosto z butelki, którą trzymał w ręce.

– Jeszcze tu jesteś? – zapytał z udawaną obojętnością.

– Drzwi są zamknięte na klucz.

Jak zwykle jasne oczy miały w sobie spokój wód jeziora.

– Nie mów! – Rober pacnął się w czoło. – Gdzie ja mam głowę?

– Klucz pewnie jest w twoim pokoju.

– Możliwe, możliwe... – odpowiedział niewyraźnie, po czym zaraz zmienił temat. – Dlaczego znow jesteś tak ubrana?

– W nocy mnie zwolniłeś. A wcześniej mówiłeś, że ubranie jest częścią mojego wynagrodzenia. Nie zarobiłam na nie, dlatego ci je zwracam.

„To trzeba zobaczyć, żeby uwierzyć” – pomyślał. Pierwszy raz spotkał się z tym, żeby kobieta zwróciła prezent. Popatrzył na tę spokojną młodzieńczą twarz i znow mu się przypomniał obraz Botticellego. W pannie Zhao był jakiś niezwykły rodzaj uduchowienia.

– Dobrze. Zatrudniam cię ponownie. Idź i się przebierz. – Machnął ręką niczym księżę gestem udzielający przyzwolenia, lecz Lian wciąż siedziała nieporuszona. Rzucił więc niecierpliwie: – Na co czekasz? Ani sekundy dłużej nie zniosę widoku tych ohydnych butów!

Lian nie poruszyła się i naukowiec zaczął się wściekać.

– Co się stało? Ogłuchłaś, uparta sosno?

– Nie rozumiem cię. Najpierw każesz mi iść, a teraz mówisz, żebym została.

Robert przesunął sobie ręką po zmierzwionych ciemnych włosach, a potem potarł szorstką szczękę, na której zaczynał się już pojawiać gęsty zarost. Wpatrywał się przy tym w Lian ze zmarszczonym czołem.

– Czy tylko kobiety mogą zmieniać zdanie?

– „Najgorsza decyzja to brak decyzji” – odpowiedziała bardzo poważnie.

– Kolejna maksyma mistrza Chenga? – Drwiąco uniósł brew.

– Nie, to powiedział twój rodak. Benjamin Franklin.

– Zobaczymy, czy ci się ta spodoba: „Robię, na co mam ochotę, kiedy mam ochotę”, Robert Gaddi. Wczoraj cię zwolniłem, a dziś zatrudniam z powrotem. Kropka.

Lian wstała z fotela, wzięła plecak i skierowała się do swojej sypialni, by go ponownie rozpakować. Przechodząc, popatrzyła na naukowca wielkimi niebieskimi oczami i wygłosiła kolejną zbijającą z tropu maksymę, po której miał ochotę ją trzepnąć:

– Nikt nie ma takiej wolności, Robercie Gaddi.



Pół godziny później prowadził czarne maserati, mknąc do pracowni. Siedząca obok niego Lian raz po raz przesuwiała dłonią po swoich nowych dżinsach. Naukowcowi nie umknął ten gest. Robert

zauważył, że przynajmniej ten zakup dziewczynie się spodobał. W pasującej do spodni koszulce z nadrukiem i wygodnych mokasynach od Tod'sa, na których kupno Robert się uparł, wyglądała na stylowo ubraną studentkę, córkę zamożnej rodziny.

Cały dzień spędzili zamknięci w laboratorium, ponieważ Robert jak zwykle miał do porównania ogromne ilości danych. Zrobili sobie tylko niedługą przerwę na zjedzenie kanapek. W końcu, około dziewiątej wieczór, naukowiec podniósł wzrok znad monitora komputerowego, splótł sobie dłonie na karku i rozciągnął zeszywniałe mięśnie szyi.

– Dość na dziś! Jedziemy do domu.

Lian posłusznie wstała z podłogi, gdzie swoim zwyczajem siedziała cały czas ze skrzyżowanymi nogami, i energicznie otrzepała sobie dżinsy. O tej porze budynek był już pusty, a oświetlenie na korytarzach przygaszone. Robert przycisnął guzik windy. Podjechała natychmiast, inaczej niż w godzinach szczytu, kiedy zatrzymuje się po drodze na wszystkich piętrach. Przecięli hol i pożegnali się ze strażnikiem, który na licznych ekranach sprawdzał wnętrza gabinetów i korytarzy monitorowane kamerami bezpieczeństwa.

Na zewnątrz zdążyła już zapaść noc, na opustoszałych ulicach nie było żywego ducha. Robert rano zaparkował na końcu przecznicy. Teraz, kiedy od wozu dzieliło go już tylko kilka metrów, wyjął pilota i pstryknął. W tym momencie rozpętało się istne piekło, oglądane jak gdyby w zwolnionym tempie. Zamigały kierunkowskazy samochodu i nagle ciemność rozdarł oślepiający wybuch. Naukowiec ledwie zdołał zarejestrować, co się wydarzyło, gdy ktoś go gwałtownie powalił tuż za betonowym murkiem. I nagle znalazł się twarzą między małymi ciepłymi pierściami swojej wybawicielki, która go osłoniła własnym lekkim ciałem, najwyraźniej z zamiarem ratowania go przed eksplozją.

Oszołomiony, ogarniał w tej chwili jedynie świeży aromat – egzotyczną mieszaninę goździków i pomarańczy – tej skóry, do której przytknął arystokratyczny nos, odziedziczony po florenetyńskich przodkach. Pozostałe zmysły odzyskał dopiero w niewielkim stopniu, słysząc poważny, słodki głos, rozbrzmiewający tuż przy jego uchu:

– Jesteś ranny, Robercie Gaddi?

Poruszył ostrożnie mięśniami i kończynami, próbując ocenić szkody. Przekłęta noga bolała go jak nigdy, ale poza tym wszystko wydawało się w porządku. Z dala dobiegł odgłos pierwszych syren; policja była w drodze.

– Nic mi nie jest, Lian. A ty? Nie jesteś ranna?

Otoczył ją ramionami, jednocześnie przesuwając palce z góry na dół po jej kręgosłupie w poszukiwaniu zranień, ale jedyne, co odkrył, to to, że jedną ręką mógłby prawie całkowicie objąć jej miękko wciętą talię.

– Nie.

Lian zręcznie uwolniła się z jego objęć, wstała sprężysto i pomogła mu podnieść się na nogi, a potem znalazła laskę, która odtoczyła się kilka metrów dalej. Wspierając się na niej, Robert przyglądał się kupie dymiącego żelastwa, w jaką zmieniło się jego imponujące maserati. Potem odwrócił się, żeby spojrzeć na osmaloną twarz dziewczyny, która spokojnie stała u jego boku.

– Uratowałaś mi życie – stwierdził, nie odrywając złocistych tęczy od jej twarzy, która umazana smugami sadzy, wydawała się jeszcze bardziej dziecinna.

– To moja praca. – Objęła się ramionami, ale nagle cały spokój zniknął z jej twarzy, ustępując bardzo niepocieszony minie. – O nie!

– Co się stało? – Wystraszony, znów zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, szukając jakiejś rany.

– Podarły mi się dżinsy!

Strażnik, który właśnie pośpiesznie nadbiegł, zaalarmowany przerażającym wybuchem, nie mógł uwierzyć, że ten wysoki brunet w eleganckim, teraz brudnym i poszarpanym, garniturze, akurat ma jakiś powód, żeby wybuchnąć głośnym śmiechem.

Rozdział 3

Samolot właśnie dotknął ziemi na lotnisku w Mediolanie. Mimo że doktor Gaddi zawsze latał pierwszą klasą i mógł wyciągnąć przed siebie nogę podczas długiej podróży, bolesne skurcze wprawiły go w jeszcze gorszy humor niż zwykle. Po tym, co się wydarzyło w Waszyngtonie, nawet on widział konieczność schronienia się na jakiś czas w La Fortezzy. Znajdował się w przełomowym punkcie badań naukowych i nie chciał pozwolić, by jakiś trzeciorzędny zabójca sprawił, że tyle lat pracy pójdzie na marne. Nie cierpiał jednak, gdy okoliczności go do czegoś zmuszały, dlatego jego złośliwość dawała się we znaki trzy razy bardziej niż normalnie. Toteż zamiast być wdzięcznym Lian za jej błyskawiczną interwencję, która najprawdopodobniej ocaliła mu życie, osłaniając przed odłamkami metalu latającymi dokoła po wybuchu, odnosił się do niej jeszcze gorzej niż wcześniej.

Lian ignorowała jego przykre zachowanie i większość podróży spędziła oparta na siedzeniu z zamkniętymi oczami albo gawędząc przyjaźnie ze stewardem, typowym modelem z wybiegu, którego Robert podczas długiej podróży nie raz miał ochotę strzelić pięścią w twarz, żeby z niej zetrzeć ten irytujący idealny biały uśmiech.

W pewnym momencie Lian zasnęła i jej głowa opadła na ramię naukowca, a on nie umiając strząsnąć jej z siebie bezceremonialnie, jak by to zrobił przy każdej innej okazji, siedział spokojnie, starając się jej nie obudzić. Miły ciężar tej głowy na ramieniu i łaskotanie na jego brodzie miękkiego kosmyka złocistych włosów, który wymknął się z kucyka, sprawiły, że Robert w końcu się rozluźnił i też zasnął.



Lian podziwiała pejzaż łagodnych falistych zielonych wzgórz i wysmukłych cyprysów odcinających się na tle oślepiającego błękitu nieba. Krajobraz przesunął się za szybami sportowego samochodu, który jej naburmuszony towarzysz wynajął na lotnisku. Jej klient najwyraźniej nie przejmował się zbytnio tym, że carabinieri mogą mu wystawić mandat za przekroczenie prędkości, bo wciskał pedał gazu, jakby jechał nie starymi włoskimi szosami, tylko po torze Formuły 1.

Kątem oka obserwowała jego profil: twarde, mocno zaznaczające się rysy, i ponownie zauważyła to niepokojące uczucie, że między nią a tym człowiekiem, sprawiającym wrażenie beczki prochu, która lada chwila wybuchnie, istnieje jakieś głębokie połączenie. Jakby szósty zmysł pozwalał jej zajrzeć pod otaczającą go warstwę gniewu i agresji, Lian postrzegała wypełniającą go od środka gorzką pustkę.

Mimo że do tej pory każda inna osoba na jej miejscu uciekłaby, aby nie być celem jego pogardliwych, raniących komentarzy, w Lian budziły one wyłącznie dogłębne współczucie. Robert Gaddi był człowiekiem inteligentnym i – sądząc po pasji, jaką darzył muzykę oraz wszelką sztukę, co Lian zauważyła w tym krótkim okresie, który spędzili razem – odznaczał się sporą wrażliwością. Musiał wiele wycierpieć, żeby zamienić się w takiego zgorzknialca, jakim był w tej chwili. Przyjrzała się opalonym dłoniom o długich palcach, które pewnie trzymały kierownicę, i poczuła w brzuchu coś dziwnego. Ponownie instynkt ostrzegł ją, że ten człowiek w jakiś sposób stanowi dla niej zagrożenie.

W tym momencie sportowy wóz skręcił w gruntową drogę, z obu stron okoloną rozległymi winnicami, w których winne krzewy, obsypane rozwiniętymi pąkami, rosły na treliach w równych rzędkach. Trakt ciągnął się przez kilka kilometrów, aż w końcu za kolejnym szpalerem cyprysów Lian ujrziała wieżyczki czegoś, co wyglądało na średniowieczny zameczek. Piękny widok zaparł jej dech w piersi.

Robert zatrzymał samochód na brukowanym dziedzińcu i obrócił się, żeby na nią spojrzeć. Choć raz nie miał przy tym nachmurzonego czoła i Lian odniosła wrażenie, że udzielił mu się spokój, którym tchnęło to pełne uroku miejsce.

– Jak ci się podoba?

– Cudownie! I nie wiem dlaczego, ale włoski krajobraz wydaje mi się tak jakby znajomy, choć nigdy nie byłam w tym kraju.

Naukowiec patrzył na nią przez chwilę z zaciekawieniem i już miał coś powiedzieć, kiedy przerwał mu pełen zapału mniej więcej ośmioletni chłopczyk. Pędził do nich, wołając:

– Signor Roberto! Signor Roberto!

– Piero! Piero! – odpowiedział naukowiec, naśladując malca.

Po raz pierwszy Lian dostrzegła u niego uśmiech, szczerzy i promienny, i pomyślała, że gdyby poprzednia klientka zapytała ją w tej chwili, czy ten mężczyzna wydaje się jej atrakcyjny, nie byłoby innej rady, jak przytaknąć.

Robert wysiadł z samochodu i uściskał chłopca z czułością.

– Gdzie jest nonna?

– Zaraz przyjdzie, już ją wołałem, ale chodzi bardzo powoli.

Nie prosząc o pozwolenie, malec wspiął się do samochodu i z zachwytem zaczął się bawić przyciskami i kręcić kierownicą. W tym momencie zza rogu zameczku wyszła korpulentna sześćdziesięcioletnia kobieta z siwymi włosami upiętymi w kok na karku. Wzruszona, zatrzymała się przed nimi i złączyła dłonie, jakby miała wyrecytować modlitwę.

– Signor Roberto, co za radość! Już myśleliśmy, że tej wiosny też nas pan nie odwiedzi.

– No to już wiesz, Nello, jestem. – Robert pochylił się i czule ucałował wciąż gładkie policzki gospodyni. – Przedstawiam ci pannę Lian Zhao. Zostanie z nami przez jakiś czas. I nie, zanim zaczniesz łamać sobie nad tym swoją zapracowaną główkę, wyjaśniam, że nie jest moją narzeczoną ani kochanką. Nie sypiam z nią. Tak się składa, że to ostatnia dwudziestosześcioletnia dziewczyna, jaka została we wszechświecie.

Czarne bystre oczy starszej pani przesunęły się po młodej kobiecie o twarzy dziewczynki, a ta w najmniejszym stopniu nie zmieszała się na taką prezentację. Gospodyni powitała ją z dobrotliwym uśmiechem, na co Lian z miejsca odpowiedziała tym samym.

– Czyli to pańska sekretarka? Asystentka? – spytała z ciekawością.

– Ani jedno, ani drugie. – W tonie naukowca wyraźnie pobrzmiwało rozbawienie. – Chociaż wygląda jak skromna pensjonarka prosto z twojego katechizmu, panna Zhao jest moją osobistą ochroną. I faktycznie bardzo prawdopodobne, że kilka dni temu uratowała mi życie.

Starsza pani spojrzała na niego wystraszona.

– Ochroną osobistą? To dlatego wczoraj przyjechali tutaj ci dwaj panowie? Piero mówi, że mieli pod nogawkami spodni schowane pistolety. Czy jest pan w niebezpieczeństwie, signore?

– Nic się nie martw, Nello. Z panną Zhao kręcącą się w pobliżu wszyscy jesteśmy bezpieczni.

Bez dalszych wyjaśnień Robert wyjął rzeczy z bagażnika i z walizką w jednej ręce, a laską w drugiej niecierpliwie wszedł do domu.

– Pozwoli pani, że pomogę, panno Zhao.

– Proszę mi mówić „Lian”. I nie trzeba, poradzę sobie. – Lian musiała kupić walizkę na swoje nowe ubrania. Wzięła ją teraz jedną ręką, stary plecak zarzuciła na drugie ramię i ruszyła za gospodynią do wnętrza zameczku.



Siedzieli na końcu długiego mahoniowego stołu, a ich słowa rozbrzmiewały pogłosem w okazałej jadalni, której ściany obite drogim brokatem w kolorze burgunda ozdobiono zabytkowymi tapiseriami przedstawiającymi krwawe sceny myśliwskie oraz obrazami z martwą naturą.

Robert zauważył, że Lian w najmniejszym stopniu nie wydaje się onieśmielona bogatym wystrojem La Fortezzy, mimo że kobieta wychowana w takich okolicznościach jak ona nie powinna być zbyt przyzwyczajona do luksusu. Naukowiec obserwował ją coraz bardziej zaintrygowany i znowu zaskoczyła go jej zdolność dopasowywania się do otoczenia. Tego wieczoru, ubrana w eleganckie ciemnozielone spodnie i pasującą do nich bluzkę, z niedługimi złocistymi włosami luźno opadającymi na ramiona, mogłaby spokojnie uchodzić za młodą dziedziczkę.

– Dziękuję. – Lian uśmiechnęła się do Nelli, nakładając sobie porcję warzyw ze srebrnej tacy, którą gospodyni jej podała.

– Będziesz jadła tylko to? Nie lubisz indyka, signorina?

– Nie trudź się, Nello, panna Zhao nie je zwierząt. To sprzeczne z jej religią. – Jak zwykle w słowach naukowca pobrzmiwała ironia.

Gospodyni pokręciła głową i wyszła z jadalni, mruczając pod nosem coś o dziwactwach dzisiejszej młodzieży.

– No dobrze, brzozo niejadku, jak ci się podoba twój pokój?

Lian podniosła na niego wzrok znad talerza i odpowiedziała z zapałem:

– Wspaniały!

Przed kilkoma godzinami gospodyni zaprowadziła ją do przestronnego pokoju przylegającego do sypialni naukowca. Z okna roztaczał się piękny widok na położone u stóp zameczku malownicze średniowieczne miasteczko. W sypialni zwracały uwagę rzeźbione drewniane łóżko z przesadnie okazałym baldachimem, draperie z niebieskiego aksamitu oraz ogromny kominek z bogatą marmurową obudową – mimo że nie palono w nim ognia, przydawał pomieszczeniu ciepła i przytulności.

Robert, widząc miękki uśmiech Lian, nieco dłużej niż trzeba zatrzymał wzrok na tych niewinnych, a jednocześnie prowokujących ustach i musiał włożyć sporo wysiłku, by stłumić impuls, który kazał mu wyciągnąć rękę i przesunąć kciukiem po jej wargach. Niecierpliwie potrząsnął głową, by odsunąć od siebie ten obraz.

– La Fortezza to bardzo bezpieczne miejsce, zwłaszcza że Charles przysłał tutaj dwóch ludzi, żeby się kręcili, dlatego nie musisz wszędzie za mną łązić jak uprzykrzone psisko, rozumiesz? Całymi dniami będę pracował w laboratorium w północnej wieży, musisz więc znaleźć sobie jakąś rozrywkę. – Zatoczył ręką w powietrzu, dając do zrozumienia, że nie obchodzi go, co będzie robiła, byle nie plątała mu się pod nogami.

Nella podała deser i kiedy skończyli jeść, naukowiec podniósł się i z niezwykłą dla siebie kurtuazją odsunął krzesło Lian, pomagając jej wstać od stołu.

– Mieliliśmy długi dzień. Lepiej połóżmy się wcześniej.

Gdy się wspinali po wysokich stopniach imponujących kamiennych schodów, Lian odniosła wrażenie, że jej klient kuleje bardziej niż normalnie. Właśnie w tym momencie Robert machinalnie wolną ręką potarł sobie udo i usta wykrzywił mu grymas bólu.

– Bardzo cię boli noga, Robercie Gaddi?

– Od kilku dni dokucza mi bardziej niż zwykle. – Obojętnie wzruszył ramionami. – Pewnie ucierpiała, kiedy mnie przewróciłaś na ziemię.

– Jeśli chcesz, mogę spróbować ulżyć ci w bólu.

– Hm... brzmi nadzwyczaj interesująco. – Patrząc w spokojne jasne oczy, które na niego podniosła, Robert zrozumiał, że nie dotarł do niej podtekst tych słów, i ta niespotykana niewinność sprawiła, że poczuł się nieswojo.

Lian, zupełnie nieświadoma jego przemyśleń, zrozumiała jego odpowiedź jako zgodę.

– Idź, rozbierz się. Wezmę parę rzeczy i zaraz będę u ciebie w pokoju.

Szybko pokonała resztę schodów i skierowała się do swojej sypialni. Kilka minut później zapukała do jego drzwi i weszła, nie czekając na pozwolenie.

– Zastanawiam się, jak ci się udało przez tyle lat zachować dziewictwo. Kobieta, która prosi mężczyznę, żeby się rozebrał i wchodzi do jego pokoju bez zaproszenia...

Robert siedział na skraju materaca z nogą wyciągniętą przed siebie. Był boso, ale wciąż miał na sobie ciemne spodnie i białą koszulę, w które był ubrany na kolacji, choć koszulę zdążył wyjąć na wierzch spodni.

– Trudno masować kogoś, kto ma na sobie ubranie – odparła z niezmaconym spokojem. – Potrzebujesz pomocy? Może i jestem dziewicą, ale widziałam wielu mężczyzn bez ubrań.

Złociste oczy natychmiast czujnie wbiły się w jej źrenice.

– Jak to? – Robert zmarszczył brwi tak, że wydawał się jeszcze bardziej niebezpieczny.

– Nowicjusze w klasztorze co dzień rano kąpali się nago w pobliskim jeziorze bez względu na pogodę. Oczywiście, kiedy podrosłam, musiałam przestać się kąpać z innymi, ale mistrz Cheng nalegał, żebym nauczyła się akupunktury i uzdrawiania. Nieraz zajmowałam się więc mężczyznami, którzy mieli skurcze albo urazy. Dobrze znam ludzkie ciało.

Lian, mówiąc, nie pozostawała beczynna. Postawiła na szafce nocnej szklaną butelkę z ciemnym płynem, po czym zapaliła kadzidelko i po chwili powietrze wypełniło się charakterystycznym zapachem.

Robert nie znosił, gdy ktoś widział blizny na jego nodze. Do tego stopnia, że podczas seksu maksymalnie przygaszał światło i jeśli kobieta próbowała mu pieścić udo, łagodnie, ale stanowczo odsuwał jej rękę. Tym razem jednak sięgnął do sprzączki pasa i zdecydowanym ruchem zaczął go rozpinąć. Lian poszła do łazienki i wróciła z ogromnym frotowym ręcznikiem, który rozłożyła na pościeli, żeby jej nie poplamić.

– Kładź się – poleciła.

Choć raz posłuchał bez oporu. Ubrany tylko w białą koszulę i eleganckie jedwabne bokserki, położył się na łóżku w taki sposób, żeby wciąż widzieć twarz dziewczyny.

Lian usiadła na skraju materaca i przyjrzała się nodze. Choć Robert obserwował ją z uwagą, nie dostrzegł u niej cienia odrazy. Nic nie mąciło jej spokoju. Szczupłe palce przesunęły się po paskudnej bliźnie, która wiła się wokół uda niczym boa dusiciel oznaczony białymi śladami po szwach. Ten delikatny kontakt, świeży i lekki, wywołał u niego głęboki dreszcz. Nikt oprócz lekarzy i pielęgniarek, którzy się swego czasu nim zajmowali, nie dotykał go w tym miejscu.

– Jak to się stało, Robercie Gaddi?

Robert nigdy nie mówił, co się wydarzyło tamtej nocy, ale znów zrobił wyjątek i zwięźle odparł:

– Wypadek samochodowy.

Lian ze współczuciem popatrzyła na jego twarz o wyraźnie zaznaczonych męskich rysach. Zauważyła, że Robert bezwiednie zaciska szczękę, i zrozumiała, że ta historia ma znacznie więcej szczegółów, o których on nie jest gotów rozmawiać. Dłużej nie zwlekając, wzięła zatem drewnianą skrzyneczkę pokrytą ciemnoczerwoną laką ze złotymi zdobieniami i wyjęła z niej dziewięć sporych igieł o kościanych uchwytych.

Na ich widok Robert gwałtownie podniósł się na przedramionach.

– Ej, ej, ej! Nie będziesz mnie chyba tym kłuła?! Nie chcę, żebyś mnie zaraziła jakąś chorobą.

– Zawsze po każdym użyciu sterylizuję igły. Czyżby wielki Robert Gaddi bał się biednej bezbronnej dziewczycy? – Lian drwiąco uniosła jedną ze swych delikatnych brwi.

– Ty i bezbronna, jeszcze czego – burknął, ale z powrotem położył się na ręczniku i spróbował się rozluźnić.

Lian zaczęła rozmieszczać igły w różnych punktach, ale nie ograniczyła się tylko do nogi. Zręcznie rozpięła guziki jego koszuli, odchyliła materiał i wbiła igłę koło lewego sutka pacjenta. Robert bezwiednie drgnął, kiedy następna igła trafiła dokładnie pomiędzy brwi.

– Leż spokojnie – poleciła Lian, po czym przesunęła wyżej skraj jego bokserki i zmieniła usytuowanie jednej z igieł na udzie.

Nakłuwała go tak przez dłuższy czas i mimo sceptycyzmu, z jakim naukowiec podchodził do całego procesu, wkrótce zauważył, że noga już mu tak nie dokucza, a bolesne skurcze, które go tak często dręczyły, ustąpiły zupełnie. Nie mógł oderwać wzroku od tej pięknej twarzy roztaczającej atrakcyjną aurę skupienia.

– Teraz zrobię ci masaż i mam nadzieję, że noc będziesz miał spokojną.

Wyciągnęła rękę, żeby wziąć z szafki nocnej szklaną buteleczkę, odkorkowała ją, nałała sobie nieco zawartości na dłoń i potarła ręce, by rozgrzać olejek. W powietrzu rozszedł się przyjemny zapach aromatycznych ziół, łącząc się z wonią kadzidła. Lian zaczęła masować. Wprawne kobiece ręce poruszały się po całej długości nogi z odpowiednią siłą i Robert o mało nie mrucał z zadowolenia. Panna Zhao jest pełna niespodzianek, pomyślał, a jednocześnie ręką naciągnął w dół róg koszuli, próbując pod nią ukryć zaczynającą się erekcję.

Lian, zupełnie nieświadoma kłopotów pacjenta, dalej masowała mu zeszywniałe mięśnie, aż uznała, że wystarczająco się rozluźniły.

– Gotowe. – Spojrzała na niego z satysfakcją, a on z konieczności powstrzymał się od protestów.

Pozbierała swoje rzeczy i wstała.

– Nie pocałujesz mnie na dobranoc? – Mimo żartobliwego tonu, na jaki się zdobył, oddech mu przyśpieszył na samą myśl.

– Pocałunki nie wchodzą w zakres terapii – odparła bardzo poważnie, po czym odwróciła się i wyszła z pokoju.

Robert został na łóżku, leżąc na wznak i skupiając wzrok na skomplikowanym hafcie zdobiącym baldachim. Nadal był podniecony, oddech jeszcze mu się nie wyrównał. Robert pomyślał, że będzie musiał się zachowywać bardzo ostrożnie. Nie miał złudzeń co do własnej osoby; wiedział, że potrafi być prawdziwym dupkiem, ale to byłoby prawdziwe draństwo, gdyby to on, Robert Gaddi, okazał się tym sukinsynem, który obrabuje zachwycającą pannę Zhao z dziewczęctwa. Poczł się odprężony, jak nie był od długiego czasu, i nawet się nie obejrzał, a zapadł w sen.



Dni mijały spokojnie, a dookoła z pełną mocą roztaczała swoje uroki toskańska wiosna. Zbocza wzgórza, na którym stał zameczek, pokryły się różnokolorowymi kwiatami i powietrze wypełniły cudowne zapachy. Robert niczym wyniosły feudał większość czasu spędzał w wieży pochłonięty badaniami naukowymi i Lian, która od lat nie miała tyle wolnego czasu, z zapalem korzystała z pogodnego życia we włoskim otoczeniu.

Mały Piero, bardzo bystry dzieciak, zastał ją pewnego razu podczas ćwiczeń – mnisi i nowicjusze w Szaolin mają obowiązek praktykować ćwiczenia codziennie bez wyjątku – i nalegał, żeby jego też nauczyła tych rzeczy. I tak każdego ranka na brukowanym dziedzińcu przed głównym wejściem do La Fortezzy odbywały się praktyczne lekcje kung-fu oraz zasad etycznych rządzących szkołą Szaolin. Pod stanowczym, ale pełnym wyczucia przewodnictwem Lian malec zaczął się przeobrażać w wybitnego ucznia.

Choć Robert o tym nie mówił, często obserwował te praktyki przez strzelnicę w swojej baszcie i kiedy widział, jak Lian pochyla się nad chłopcem, żeby mu łagodnie poprawić postawę lub kąt ustawiania którejs z kończyn, bezwiednie odczuwał ukłucie zazdrości. Nigdy by tego nie przyznał, nawet sam przed sobą, ale nie obraziłby się, gdyby Lian to jemu udzielała tych lekcji.

Do ćwiczeń Lian spinała sobie niedługie jasne włosy w koński ogon i zakładała jasnopomarańczowe kimono. Nogawki miała wpuszczone w białe podkolanówki przewiązane czarnymi tasiemkami. Robert ze swojego punktu obserwacyjnego przyglądał się zafascynowany, jak dziewczyna porusza się niczym lśniącą błyskawica.

Nie spotykali się aż do pory kolacji, którą Nella podawała w ogromnej jadalni. Podczas posiłku rozmawiali w sposób, który stał się dla nich charakterystyczny: on próbował ze swojej tajemniczej panny ochroniarz wyciągnąć więcej szczegółów z jej życia, a ona odpowiadała na jego pytania wykrętnie, aż udawało się jej wyprowadzić go z równowagi i dostawała ostrą reprimendę, którą przyjmowała ze spokojnym wzruszeniem ramion.

Po kolacji Robert lubił wypić kawę. Piero zwykle towarzyszył im wtedy w salonie, gdzie Nella co wieczór rozpaliała w kominku. Malec dostawał przy ogniu swoją codzienną porcję opowieści. Lian siadywała z nim ze skrzyżowanymi nogami na bładoniebieskim puszystym dywanie przed wygodnym uszaty fotelem, na którym rozsiadał się naukowiec, i razem słuchali jak urzeczeni. Robert Gaddi nie snuł jednak zwyczajowych bajek, tylko opowiadał krwawe epizody z historii Europy, o wojnach i dawno zapomnianych ludziach oraz ich heroicznych czynach, co sprawiało, że dwie pary oczu, jedna ciemnokasztanowa, a druga jasnoniebieska, błyszczały oczarowane.

Dla Lian była to najlepsza część dnia. Podobał jej się spokój, jakim tchnął ten potężny salon pełen starych mebli i dzieł sztuki, z atmosferą wciąż opowiadającą o zamierzchłych czasach, uwodzicielskich damach i szlachetnie urodzonych kawalerach. Były to jedyne chwile, kiedy Robert Gaddi rozluźniał się zupełnie, a ona z zafascynowaniem słuchała jego poważnego, pieszczotliwego głosu, znajdującego oddźwięk w jej ciele, podczas gdy snuł te historie, których ona najwyraźniej nigdy nie miała dość.

Z nogą wyciągniętą porządnie przed siebie i laską opartą o jeden z podłokietników fotela,

z patrycjuszowską ciemną głową odchyloną na oparcie i niepokojącymi złocistymi tęczęwkami odbijającymi błyski płomieni Robert Gaddi mógłby uchodzić za jednego z tych kasztelanów, którzy niegdyś zamieszkiwali La Fortezzę i których poważne portrety wiszące na ścianach galerii muzycznej Lian obejrzała sobie wnikliwie. Tylko jego ubranie było inne.



Robert porównywał ostatnie dane, które przesłali mu współpracownicy z londyńskiego Instytutu Badawczego, kiedy z dziedzińca dobiegły pełne zapału okrzyki małego Piera. Poruszał głową na boki, żeby rozgrzać mięśnie szyi zeszywniałe po tylu godzinach siedzenia przed komputerem, wziął laskę, która z wiernością dobrze wyszkolonego psa czekała oparta o fotel, i podniósł się, by rzucić okiem na zewnątrz.

Wnuk Nelli kopał raz za razem na wszystkie strony, krzycząc przy tym i mierząc w niewidzialnego wroga. Gdy skończył zaciekły atak i stanął spokojnie w czujnej postawie, rozległy się brawa.

Naukowiec wychylił się trochę bardziej nad parapetem i spostrzegł, że agent Harrelson – jeden z ludzi, których Charles przysłał mu do ochrony – rozmawia przyjaźnie z Lian. Robert natychmiast z niezadowoleniem zmarszczył brwi. Nie po raz pierwszy widział, jak ten facet obija się na dziedzińcu o tej samej porze, gdy dziewczyna i chłopiec odbywają ćwiczenia. „Jeżeli ten typ tak samo interesuje się moim bezpieczeństwem, jak okazuje sympatię Lian, zapewne włos mi z głowy nie spadnie” – pomyślał Robert, coraz bardziej poirytowany.

Obserwował krytycznym okiem Lian, ale w jej zachowaniu nie dostrzegł ani krzty kokieterii. Dziewczyna tylko się uśmiechała w ten swój uprzejmy, łagodny sposób, w jaki zazwyczaj zwracała się do każdej osoby. W pewnym momencie Harrelson wyciągnął muskularne ramię, dobrze widoczne przez koszulkę z krótkim rękawem, i poprosił o coś dziewczynę. A ona bez wahania stanęła za jego plecami, zwalistymi jak szafa, i dotykając małymi dłońmi jego napompowanych mięśni, które Robertowi wydawały się groteskowe, naprowadziła agenta na właściwą postawę. Pięść naukowca zacisnęła się mocno na główce laski. Gdyby w tej chwili sam znajdował się na dziedzińcu, zrobiłby z niej dobry użytek, by złoić skórę temu kretynowi. Mamrocząc pod nosem, odsunął się od okna i postanowił zejść na chwilę, żeby się przewietrzyć i orzeźwić.

Choć kulał, sprawnie pokonał strome kręcone schody, a wyszedłszy na dziedziniec, stanął jak wryty z sercem mocno walącym o żebra. Na jednej z małych granitowych kul, którymi zwieńczono kamienną balustradę, stała Lian z zamkniętymi oczami, balansując na jednej nodze, a drugą trzymała zgietą przed sobą w powietrzu, dłonie zaś miała złożone jak do modlitwy, zupełnie za nic sobie mając opadającą po drugiej stronie co najmniej dwudziestometrową stromiznę.

Robertowi zjeżyły się włosy na karku. Zacisnął szczękę, żeby powstrzymać krzyk, który chciał mu się wydrzeć z gardła, i kulejąc, jak najszybciej podszedł do balustrady. Lecz zanim zdążył złapać Lian w ramiona, jak zamierzał, otworzyła oczy tak gwałtownie, że jego siatkówka ledwie zdążyła to zarejestrować, przeskoczyła ponad jego głowę i wylądowała gładko za jego plecami.

Robert odwrócił się i spojrzał na nią, ciskając wzrokiem błyskawice.

– Oszalałaś czy co? Co ty, u diabła, wyprawiasz?

Piero, wystraszony, patrzył na nich w milczeniu, ale Harrelson próbował załagodzić sprawę.

– To tylko mały pokaz utrzymywania równowagi, panie Gaddi. To ja nalegałem, żeby Lian...

Słyszając, że mówi o niej tak poufale, Robert przerwał mu opryskliwie:

– Agencie Harrelson, sądzę, że pańscy zwierzchnicy przysłali tu pana do wykonywania pracy polegającej na czujnej obserwacji, a nie na asystowaniu w popisach niedojrzałych małaolat, więc lepiej, żeby pan wrócił na swój posterunek.

Naukowcowi nie umknął wysiłek, z jakim agent FBI powstrzymał się od udzielenia równie obcesowej odpowiedzi; niemniej funkcjonariusz zdołał się opanować i posyłając dziewczynie współczujące spojrzenie, rzekł tylko:

– Przykro mi, Lian, że będziesz miała przeze mnie kłopoty. Zobaczymy się później. – Odwrócił się i oddalił z godnością.

Nie zaprzatając sobie nim więcej głowy, Robert, wściekły do granic, naskoczył na dziewczynę:

– Co ty sobie wyobrażasz? A co, jeśli Piero zechce cię naśladować i spadnie w przepaść?!

– Signor Roberto, to moja wina! – zawołał malec ze łzami w oczach, próbując bronić swojej nowej przyjaciółki przed gniewem uwielbianego signora. – Chciałem tylko zobaczyć, jak Lian...

– Spokojnie, Piero. Ja z nim porozmawiam – dał się w końcu słyszeć pogodny, słodki głos Lian.

Widząc, jak zdenerwował chłopca, naukowiec trochę się opanował i już nieco spokojniejszym tonem rzekł:

– Piero, idź do babci. Chcę porozmawiać z panną Zhao sam na sam.

Po raz pierwszy chłopiec najwyraźniej nie był chętny usłuchać natychmiast, ale zerknąwszy w strapieniu na Lian, która ledwie dostrzegalnie skinęła mu głową, odszedł, powłócząc nogami.

– No i?

– No i co, Robercie Gaddi?

– Nie udawaj przy mnie takiej przemądrzałej, nieostrożny kasztanie!

Swoim zwyczajem przekrzywiła głowę i wielkie niebieskie oczy popatrzyły na niego z tym samym denerwującym spokojem co zwykle.

– Potrzebujesz ćwiczeń, Robercie Gaddi. Odkąd tu przyjechaliśmy, nic, tylko zamykasz się w swojej wieży. Powinieneś skanalizować agresję, która cię pożera. Potrenuję cię.

– Nie ty tu wydajesz rozkazy! – Porywco wychylił głowę, aż jego twarz znalazła się zaledwie dziesięć centymetrów od jej twarzy. Ona jednak nie cofnęła się nawet o milimetr. – Taka jesteś mądra, bo myślisz, że w ten sposób zrobię z siebie głupca. A może uważasz, że noszę to z sobą dla ozdoby? – Groźnie potrząsała jej przed oczami swoją nieodłączną laską.

– Jaki z ciebie ślepiec, Robercie Gaddi. Twoja ułomność nie kryje się w nodze, tylko tu i tu. – Dotknęła najpierw jego czoła, a potem położyła dłoń na jego piersi, na sercu. – Pokażę ci, jak się bronić i jak dawać ujście złości, którą w sobie nosisz. Spotkajmy się o czwartej na polance w zagajniku. Tam nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Nie czekając na odpowiedź, Lian odwróciła się na pięcie i weszła do zameczku.

Robert, wściekły, został sam, ze żrenicami utkwionymi w miejscu, gdzie zniknęła. Wciąż nie mógł uwierzyć, że się nie odezwał, że zniósł jej przemądrzały wykład niczym potulna owieczka. Ta drobna kobieta nie tylko ośmieliła się dawać mu rozkazy, lecz także – bynajmniej nie oględnie – wytknęła mu prosto w oczy ułomność. Cholera jasna! Za kogo ona się, u diabła, uważa? Jeśli chodzi o niego, ten rządzący się wawrzyn może sobie czekać na polance, aż zapuści korzenie.



Punktualnie o czwartej Robert, ubrany w dresy i czarną koszulkę, opierając się na lasce, szedł krętą żwirową ścieżką obrzeżoną rosnącymi tu i tam makami. Zagajnik cyprysów, drzew oliwnych i jodeł, o którym wspomniała Lian, rozciągał się na tyłach La Fortezzy. Przecinał go strumyk, głęboki zaledwie na tyle, by zamoczyć w nim nogi po kostki. Robert dobrze znał to miejsce. Wiele razy spędzał wakacje w zameczku u cici, a to był jeden z jego ulubionych zakątków, w których mógł się ukrywać przed resztą świata. Od lat tutaj jednak nie zaglądał i pokrywający łąkę dywan delikatnych stokrotek przywołał w nim miłe wspomnienia.

Zaraz też dostrzegł Lian. Siedziała pośrodku polanki w pozycji lotosu, z rękami wspartymi na kolanach i wnętrzami dłoni skierowanymi ku niebu. Popołudniowe słońce rzucało oślepiające błyski na gładkie jasne włosy, które wymknęły się jej z kucyka. Tym razem Lian była ubrana w czarą koszulkę na ramiączkach, odkrywającą jej napięty brzuch, i również czarne, bardzo obcisłe legginsy. Uniosła powoli powieki i spoczęło na nim spojrzenie jej wielkich, niezgłębionych niebieskich oczu.

Gdyby było po niej widać chociaż cień satysfakcji, naukowiec zawróciłby w miejscu i pośpiesznie odszedł tam, skąd przybył. Nie wykrył jednakże u niej żadnej oznaki triumfu, jak gdyby Lian ani przez sekundę nie wątpiła w to, że Robert stawi się na spotkanie.

Podniosła się z ziemi harmonijnym ruchem i wyszła mu naprzeciw. Bez słowa wyjęła mu laskę z dłoni i odrzuciła ją na bok.

– Ej! Dlaczego to zrobiłaś? Potrzebuję jej.

– W tej chwili nie. Nie martw się. Twoja przyjaciółka będzie na ciebie czekała, gdy skończysz.

Robert otworzył usta, żeby rzucić jedną ze swych uszczypliwych odpowiedzi, lecz ona w porę temu zapobiegła, unosząc rękę i kładąc mu palce na wargach.

– „Wszystkim nauczycielom należy okazywać grzeczność i powściągliwość”.

Pod opuszkami jej delikatnych palców zamrowiły go wargi i zaraz poczuł chęć, by wystawić język i je oblizać. Wreszcie Lian cofnęła rękę i oddech Roberta wrócił do normy.

– Teraz nauczę cię sześciu zasad boksu Szaolin. Po pierwsze, musisz mieć wprawę.

Szybko wykonała sekwencję płynnych ruchów, które wzbudziły jego podziw, ale by ukryć to wrażenie, ironicznie uniósł brew.

– Przypominam ci, że jestem biednym kaleką.

Nie przejmując się jego uwagą w najmniejszym stopniu, kontynuowała wyjaśnienia, a naukowiec zauważył, że kiedy jest skoncentrowana, szczególnie egzotyczny akcent jej wymowy zaznacza się jeszcze mocniej.

– Spróbuj mnie zaatakować – poleciła.

– Słuchaj, niepozorne bonsai, może znasz wiele cyrkowych sztuczek, ale jestem od ciebie dwadzieścia pięć centymetrów wyższy i ważę dwa razy więcej, więc darujmy to sobie.

Lian szybko jak błyskawica uderzyła go w bok.

– Aj! To bolało!

– Zaatakuj, bo zrobię to jeszcze raz – odrzekła spokojnie.

„Zaraz sobie popamięta ta utrapiona mała ninja” – pomyślał Robert. Chora noga odebrała mu sporo sprawności, niemniej był silnym mężczyzną i miał świetny refleks. W Waszyngtonie całymi godzinami pływał na krytym basenie swojego apartamentowca i kiedy zaatakowano go w jego pracowni, oddał napastnikom ciosy z nawiązką. Dlatego teraz nagle natarł na Lian, zamierzając ją złapać z zaskoczenia, i nagle okazało się, że leży rozciągnięty jak długi na miękkiej trawie polanki.

– Po drugie, musisz być rozsądny. „Żeby przewrócić ciężar tysiąca uncji siłą zaledwie połowy uncji”.

Lian pochyliła się i podała mu rękę, żeby pomóc mu stanąć na nogi, lecz on gniewnie odtrącił jej dłoń i podniósł się o własnych siłach.

– Po trzecie, musisz być śmiały. To znaczy, że powinienes atakować bez wahania przy każdej najmniejszej okazji. Po czwarte, musisz być szybki. „Przeciwnik może zobaczyć twoją pięść, lecz nie twój cios”.

Zamachnęła się i zaatakowała z wielką prędkością, a jej knykcie zatrzymały się na centymetr od jego torsu, nawet go nie muskając.

– Po piąte, bądź okrutny i mierz ciosy zawsze w punkty vitalne.

Tym razem kant jej dłoni zatrzymał się najpierw milimetry od jego nerek, a potem gardła i Robert mimowolnie przymknął powieki.

– Po szóste, musisz być praktyczny. – Lian popatrzyła mu w oczy i ciągnęła: – Ruchy zawsze powinny służyć celowi, zatem atakowi albo obronie, nigdy nie wykonuj ich, żeby się popisać. Nauczę cię podstawowych ciosów i będę się starała wzmocnić twoją nogę, tak aby lepiej wspierała ciężar ciała, gdy będzie to potrzebne. Zdejmij koszulkę.

– Świetnie! Zaczyna się robić interesująco! – zawołał, jednocześnie ściągając ubranie przez głowę, ale tak jak poprzednio zauważył, że Lian nie złapała podwójnego sensu jego słów.

Stojąc przed nim, prześliznęła niebieskimi oczami po jego torsie i węzłastych ramionach. Jej spojrzenie było uważne, ale bezosobowe.

– Masz niezłe mięśnie, Robercie Gaddi – powiedziała w końcu, zadowolona, a on mimowolnie ucieszył się z tej uwagi. – Teraz chcę, żebyś naśladował każdy mój ruch.

Po tych słowach rozpoczął się intensywny trening. Lian poruszała się obok niego w milczeniu i często prosiła, aby położył dłonie na jej smukłej talii i zauważył napięcie konkretnych mięśni. Niekiedy to ona przesuwała palcem po którymś z jego ścięgien albo więzadeł, zmieniając ułożenie ramienia i pozwalając mu dostrzec różny stopień napięcia, aż przyszedł moment, że oddech naukowca przyspieszał nie tylko z powodu wysiłku fizycznego.

Gdy Lian uznała lekcję za zakończoną, ciała obydwójga błyszczały cienką warstwą potu. Roberta po treningu bolała noga i zaczął sobie rozcierać udo. Widząc to, Lian wskazała gestem, by usiadł na ziemi, i uklękła obok niego.

– Zdejmij spodnie – poleciła.

– Hej! Posuwasz się za daleko, lubieżny platanie! Myślę, że całe to przedstawienie w stylu Kung-Fu Pandy było tylko pretekstem, żebyś mogła mnie sobie podotykać. Przyznaj, że moje ciało cię podnieca.

Kąciki jej delikatnych ust ponownie uniosły się lekko w ten niewinny, zmysłowy sposób, który Robert zauważył już wcześniej i który szczególnie działał na jego żołądek. Twarz Lian znajdowała się tak blisko jego twarzy, że widział interesujące żółte plamki w jej pięknych źrenicach.

– W porządku, Robercie Gaddi. Zrobię ci masaż przez spodnie, żeby zachować przyzwoitość – powiedziała złośliwie.

I nie czekając na jego pozwolenie, te małe, lecz silne ręce znów roztoczyły swoją magię. Mięśnie kontuzjowanej nogi prawie natychmiast zaczęły się rozluźniać. Robert skorzystał z tego, że Lian całkowicie skupiała się na swoim zadaniu, i przyglądał się jej wnikliwie. Jego uwagę przyciągnęły bardzo długie, gęste ciemne rzęsy, odznaczające się na tle perłowej skóry policzków. Masaż skończył się zbyt szybko jak na jego gust i tym razem Robert przyjął rękę, którą wyciągnęła, żeby mu pomóc wstać.

– Cóż, muszę przyznać, że podobała mi się lekcja, panno Zhao. Czekam zatem na ciebie jutro o tej samej porze, żeby kontynuować naukę – powiedział wyniośle niczym król udzielający wielkiej łaski wasalowi. Potem się pochylił, wziął laskę i pokuśtykał do domu.

Lian odprowadzała wzrokiem oddalającą się wysoką postać naukowca i zastanawiała się z niepokojem, co sprawia, że jest tak bardzo świadoma obecności tego człowieka. Przez cały trening, ilekroć musnęła palcami silne mięśnie jego torsu, zauważała u siebie dziwne wrażenia. Kiedyś słyszała, jak ktoś wyjaśniał, że tarcie dwóch przeciwnie naładowanych elektrycznie materiałów może wywoływać wyładowanie i to dokładnie zdarzało się za każdym razem, gdy dotknęła Roberta. Do tej pory zawsze była w stanie kontrolować wszelkie reakcje własnego ciała. Odkąd jednak poznała swego obecnego klienta, na pewne bodźce reagowała w sposób, do którego nie była przyzwyczajona.

Pokręciła głową zdezorientowana. Może to tylko jej wyobraźnia. Robert Gaddi jest eksplozywnym źródłem skomasowanej energii i niewykluczone, że w tym tkwi tajemnica, powiedziała sobie. Ale dobrze wiedziała, że nigdy dotąd przy dotykaniu drugiego człowieka nie doznawała takiego efektu. Instynkt, wyostrzony po latach treningu, ostrzegał ją, że ten mężczyzna jest niebezpieczny, a ona nie powinna o tym zapominać.

Rozdział 4

W nieokreślonym miejscu na Oceanie Indyjskim

Léa siedziała apatycznie, z oczami zagubionymi w maleńkich jasnych punkcikach będących jedynym światłem, jakie wpadało do wnętrza kontenera. Obok niej leżała jej kochana Anne, bardzo osłabiona długą, uciążliwą podróżą. Mimo że Léa odstępowała jej część swoich dziennych porcji jedzenia i wody, zauważyła, że przyjaciółka z dnia na dzień gaśnie. Anne niedawno skończyła dziewięć lat i niemal od początku opiekowała się małą Léą. Teraz jednak to Léa starała się zapewnić starszej przyjaciółce wszelką możliwą opiekę, choć najwyraźniej na wiele się to nie zdawało.

Już prawie nie docierał do niej nieznośny smród, jakim była przesiąknięta ograniczona przestrzeń mieszcząca około dwadzieściorga dzieci. Zepsute jedzenie, brak ruchu, upał nie do zniesienia i nieustanne bujanie statku, na który przeniesiono kontener, wywoływały u pasażerów wymioty i biegunki, a dwa razy jeden z postawnych strażników musiał wynieść pozbawione życia ciała kilkorga dzieci. Léa bała się, że Anne może być następna, dlatego starała się nie odsuwać od niej ani odrobinę. Ściskając jej chłodną, coraz bardziej kościstą rękę, próbowała sobie przypomnieć twarz ojca i starej Marie, ale pomimo wysiłków nie była w stanie przywołać w pamięci ich wyraźnych podobizn. W miarę jak upływały tygodnie, wspomnienia z domu zamazywały się, jakby były tylko strzępami dobrego snu.

– Léa...

Z otępienia wyrwał ją ledwie słyszalny szept wychodzący ze spierzchniętych warg przyjaciółki.

– Léa... woła mnie... mama...

– To niemożliwe, Anne! Mówiłaś mi, że twoja mama jest w niebie, tak jak moja. – Wystraszona, jeszcze mocniej ścisnęła jej dłoń.

– Idę... do niej...

– Nie! Anne, Anne, nie zostawiaj mnie! Proszę, Anne!

Głowa starszej dziewczynki potoczyła się miękko na bok, spod przymkniętych powiek pusto spojrzwały niebieskie oczy.

Léa zaczęła krzyczeć i nie przestała, aż znacznie później jeden ze strażników wyszarpał z jej objęć pozbawione życia ciało przyjaciółki, a jej wymierzył siarczasty policzek, od którego straciła przytomność.



La Fortezza, Włochy, obecnie

Robert gładko otworzył ciężkie drzwi biblioteki i wszedł do niej bezgłośnie. Ściany były tu aż pod sufit obstawione regałami z ciemnego dębu, a półki ugięły się od książek – w tym wielu cennych inkunabułów. Nella powiedziała mu, że Lian chyba jest w bibliotece, i nie myliła się.

Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, była tak skupiona na książce, którą trzymała na kolanach, że nie zauważyła jego obecności. Siedziała w skórzanym fotelu koło okna, plecami oparta o jeden z podłokietników, a nogi miała przewieszane przez drugi. Ostatnie promienie słońca tego pogodnego dnia przemieniały jej jasne włosy w złocistą aureolę i Robertowi znów przyszedł do głowy obraz Botticellego. Obserwował, jak dziewczyna przewraca kartki z pieszczotliwą czcią, i poczuł zaciekanie.

– Co czytasz?

Lian, przestraszona, poderwała głowę, ale uspokoiła się na jego widok.

– Podobają mi się twoje książki, Robercie Gaddi. Ilustracje są przepiękne.

Nachylił się nad nią i zobaczył, że to podróżnicza opowieść z dziewiętnastego wieku, z ładnymi

rycinami przedstawiającymi pejzaże.

– To po francusku. Mówiłaś, że nie czytasz w tym języku, prawda?

– Zgadza się. Nie czytam też zbyt dobrze po angielsku. Pan Jones, ten Amerykanin, który spędził w naszym klasztorze kilka ostatnich lat życia, nauczył mnie swojego języka, ale nie miał ze sobą żadnych książek. Umiem czytać i pisać poprawnie tylko po chińsku, ale tu nie znalazłam nic w tym języku.

Wzruszyła ramionami, jakby komentowała jedno z tych życiowych nieszczęść, na które nie mamy żadnego wpływu.

Robert, zanim zdążył przemyśleć te słowa, z marszu zaproponował:

– Chcesz, żebym cię nauczył czytać?

– Czytać? – Niebieskie oczy rozświetliły się ze wzruszenia. – Zrobiłbyś to, Robercie Gaddi?

Ujął go jej szczery zapach. Od kiedy ją poznał, zauważył, że Lian Zhao ma niezwykły pociąg do wiedzy, a jednocześnie wyjątkową wrażliwość. Zdawała się wręcz porami skóry chłonać historie, które co wieczór opowiadał Pierowi, i zachwycona słuchała oper, które nieraz puszczał w tej samej bibliotece.

– Zawrzyjmy układ – rzekł, jakby to była zwykła kwestia biznesowa. – Ja cię nauczę czytać po angielsku i francusku, a ty w zamian nauczysz mnie tych swoich wojennych sztuczek. Zgoda?

Lian błyskawicznie zerwała się z fotela i stojąc, mocno przycisnęła sobie trzymany tom do piersi.

– Zgoda. Ja ci już dałam jedną lekcję. Twoja kolej. Gdzie usiądziemy? Myślę, że biurko będzie dobrym miejscem, prawda? Przyniosę drugie krzesło.

Odkąd Robert ją znał, nigdy nie była aż tak rozentuzjasmowana. Nagle poczuł w głębi serca wielką czułość dla tej kobiety, pod niektórymi względami nadzwyczaj dojrzałej, a pod innymi tak dziecinnej. Miała tysiącletnią wiedzę chińskiego narodu, a tyłu rzeczy była nieświadoma jak niemowlę przy piersi.

Resztę wieczoru spędzili, stykając się głowami nad książką podręczniczą. Robert nie należał do tych, którzy szukają łatwych ścieżek, toteż stwierdził, że jeśli ta książka podoba się Lian, to właśnie od niej zaczną naukę czytania. Z zadowoleniem zauważył, że uczennica szybko robi postępy, jest bystra i pojętna. Przez dłuższą chwilę obserwował kształtne usta, które wytrwale powtarzały to, co właśnie powiedział, i nagle jej przerwał:

– Nie przyszło ci czasem do głowy, że francuski może być twoim językiem ojczystym?

Podniosła oczy znad książki i popatrzyła na niego bez wyrazu.

– I?

– Powiedziałaś mi, że nie masz żadnych wspomnień z pierwszych lat życia. Że mistrz znalazł cię na ulicy. Ile mogłaś mieć wtedy lat?

Zastanawiała się przez chwilę nad tym pytaniem.

– Cztery albo pięć.

– Nie byłaś taka mała. Akurat zapewne dobrze mówiłaś, choć nie uczono cię jeszcze czytania ani pisania. Tak czy inaczej to normalne, że powinnaś mieć jakieś wspomnienia.

Lian znów wzruszyła ramionami, najwyraźniej nie przejmując się zbyttnio tą kwestią. Robert jednak był coraz bardziej zaintrygowany i zdeterminowany, aby odgrzebać jej tajemniczą przeszłość.

– Przypuśćmy, że byłaś Francuzką. Wtedy pytanie brzmi, jak się znalazłaś w Chinach. Może twoi rodzice byli misjonarzami albo pracowali w jakiejś międzynarodowej firmie. Ale co robiłaby dziewczynka w takim wieku włócząca się samotnie po ulicach? Co się z nimi stało?

Lian wykonała ręką nieokreślony gest.

– To było dawno temu.

Stało się jasne, że sprawa ta nie interesuje jej w najmniejszym stopniu. Ludzie z Dalekiego Wschodu mają głęboką skłonność do fatalizmu, a ona ewidentnie została wychowana w takim właśnie duchu. Lecz dla Roberta było to nie lada wyzwanie, a wszelkiego typu wyzwania stanowiły lejtmotyw jego egzystencji.

Spostrzegł, że Lian przestała zwracać na niego uwagę i z zachwytem przygląda się stojącej na

biurku miniaturowej, wyrzeźbionej z kości słoniowej kopii Dawida Michała Anioła, która służyła za przycisk do papierów. Nagle wyciągnęła rękę i jakby nie była tego świadoma, z niezwykłą łagodnością pogładziła figurkę. Widząc to, Robert wyobraził sobie te szczupłe, delikatne palce przesuwające się po zakamarkach jego ciała z taką samą łagodnością i nie umiał powstrzymać dreszczu.

– Widzę, że podobają ci się nadzy mężczyźni – stwierdził szorstko, próbując się otrząsnąć z nieoczekiwanego, przychodzącego zupełnie nie w porę przyływu żądy.

Spojrzała na niego jakby wybudzona ze snu.

– Jest piękny. Przypomina mi... – urwała nagle, ale już było za późno: zdążyła wzbudzić w naukowcu natarczywą ciekawość.

– Dawnego kochanka? Ach, zapomniałem przecież... – Teatralnym gestem pacnął się w czoło. – Jesteś dziewczyną.

– Przyjaciela – odpowiedziała w końcu ochryplym głosem. – Już go opłakałam.

– Opłakałaś? Wyjaśnij, tajemniczy ostrokrzewie.

Przez chwilę Robert myślał, że Lian mu nie odpowie. Jednak po kilku sekundach, gładząc palcami krzywizny i kąty figurki, zaczęła mówić z tym swoim akcentem, cokolwiek gardłowym, zaznaczającym się bardziej niż zwykle.

– Miał na imię Hao. Mieszkał już w klasztorze, kiedy tam przybyłam. Był o rok starszy ode mnie. Od samego początku bronił mnie przed pozostałymi chłopakami, którzy naśmiewali się z mojej skóry i moich jasnych oczu. Powiedział im, że tylko on może się ze mnie naśmiewać. I czasami to robił, ale nie przeszkadzało mi to. Chodziłam z nim wszędzie, jak pies za swoim panem. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Dzieliłam się z nim wszystkimi swoimi myślami, a on robił to samo. Podczas wyczerpujących treningów wzajemnie dodawaliśmy sobie sił i zawsze w końcu pokonywaliśmy pozostałych. Byliśmy najlepsi.

W niebieskich tęczęwkach błysnęła duma i wewnętrznosci naukowca boleśnie skrzywiło coś podejrzanie podobnego do zazdrości. Lian spuściła wzrok na posążek, który nadal trzymała w dłoniach, i przesunęła kciukiem po wydatnych mięśniach piersiowych poźółkłego Dawida.

– Tak bardzo mi go przypomina... Hao miał co prawda ogoloną głowę, ale ciało podobne do niego. Czasami w nocy wymykałam się ze swojej celi i kładłam się obok niego na sienniku. Lubiłam wodzić palcami po jego mięśniach, gdy spał. Był piękny.

Na jej twarzy nie było ani śladu zawstydzenia, gdy ponownie zwróciła się do Roberta, spokojna i niewinna. Nie ulegało wątpliwości, że dla niej miłość, którą czuła do towarzysza zabaw, była wolna od seksualnych podtekstów.

– Hao miał twardy sen, ale jednego razu się obudził. Zachował się bardzo dziwnie i powiedział mi, że nie powinnam więcej spać z nim na posłaniu. Zrobiło mi się strasznie smutno, ale posłuchałam.

Zmarszczyła kasztanowe brwi, jakby wspomnienie tamtych słów wciąż ją bolało, i siedziała w milczeniu tyle czasu, że Robert, niezdolny do tego, by jej przerwać jedną ze swych sarkastycznych uwag, poczuł, że jednak musi dopytać.

– Co się z nim stało?

– Umarł. – Niebieski błysk jej oczu zniknął. – Na jakąś gorączkę. Doglądałam go dzień i noc. Mistrz Cheng wezwał nawet europejskiego lekarza z Luoyangu, ale na próżno. Mój przyjaciel, taki silny i taki pełen życia, zgasł dziesięć dni później jak jedna ze świątynnych świec. Już go opłakałam – powtórzyła z głęboką melancholią. – To był bardzo smutny rok, straciłam też Lok-loka. Jego też opłakałam.

Robert stłumił impuls, który kazał mu otoczyć ramieniem jej drobne barki. Coś mu powiedziało, że dotykanie Lian nie byłoby dobrym pomysłem.

– Lok-loka?

Jak gdyby wrota duszy introwertycznej Lian nagle otworzyły się na oścież i teraz nie była już w stanie ich zamknąć, opowiadała dalej swoją historię.

– To był pies, tłuściutki i śmieszny. Znaleźliśmy go, Hao i ja, kiedy był jeszcze szczeniakiem. Miał złamaną łapkę i choć nie umieliśmy jej właściwie nastawić, na trzech zdrowych łapach biegał najszybciej w całej prowincji. Dwa tygodnie po śmierci Hao znalazłam go powieszzonego na gałęzi

jednej z wiśni w sadzie. – Pełne wyrazu niebieskie oczy znowu rozbłysły, tym razem jednak lodowatym ogniem, który mroził krew w żyłach. – Wiedziałam, że to sprawka Weia. Zawsze lubił mnie dręczyć, ale kiedy żył Hao, ośmielał się robić to tylko podle i zdradziecko. Poszłam do niego, a on przyznał się do wszystkiego z tą swoją miną głupiego, bezczelnego wołu. Nie mogłam się powstrzymać. Walczyliśmy. Wei miał siedemnaście lat, a ja tylko czternaście, ale choć był wyższy i silniejszy ode mnie, okazałam się sprawniejsza. Złoiłam mu skórę.

Na jej ustach pojawił się uśmiech satysfakcji, kiedy dziewczyna przypomniała sobie smak tamtej cudownej chwili.

– Gdyby wtedy nie nadszedł mistrz Cheng, zabiłabym go – wyznała spokojnie, bez skrępowań. Naukowiec zrozumiał, że powiedziała to zupełnie poważnie.

– Dopiero po wielu tygodniach był w stanie wstać z łóżka i potem odszedł z klasztoru – ciągnęła. – Ja skończyłam ze złamanym nadgarstkiem i przez cztery dni nie mogłam usiąść. Zlekceważyłam kilka zasad i przykazań kodeksu Szaolin: unikać pojedynków i stronić od agresji, nie walczyć ani nie stosować przemocy... Ostatecznie mistrz Cheng wychłostał mnie bambusowym patykiem, aż go rozboleła ręka, ale się nie przejęłam. Gdybym żyła sto razy, za każdym razem zrobiłabym to samo.

Podniosła wyzywająco przejryste oczy i Roberta bezwiednie zalała fala podziwu dla tej drobnej kobietki, sprawiającej mylne wrażenie, że lada silniejszy podmuch wiatru może ją przewrócić.

– Dobrze zrobiłaś – stwierdził i zaskarbił sobie pełne aprobaty spojrzenie.

– Tamtego roku postanowiłam, że zostanę mniszka. Nie chciałam już więcej płakać. Mnisi nie przywiązują się do ziemskich spraw ani do osób.

„Więc o to chodzi” – pomyślał Robert. Było zrozumiałe, że ktoś tak wrażliwy jak Lian wyrzeka się świata, żeby uniknąć cierpienia. Do tej pory nie mógł pojąć, że kobieta, która od czasu do czasu przeziiera przez tę spokojną, nieprzeniknioną powierzchowność – tak pełna życia, tak paląca się do odkryć i poznawania wszystkiego, co ją otacza, najwyraźniej gotowa zachwycać się najmniejszym przejawem piękna, jaki życie jej może podsunąć – postanowiła pójść klasztorną ścieżką.

Robert miał wielką ochotę przyciągnąć Lian do piersi i pocieszyć ją. By się nie poddać temu trudnemu do opanowania pragnieniu, wstał i zaczął niespokojnie chodzić tam i z powrotem po pokoju. „Lian Zhao jest tajemnicą – rozmyślał. – Niespotykaną mityczną istotą, która jak wiatr powstaje z oddechu Pangu, chińskiego boga stworzyciela”.

Pragnąc nieco rozproszyć wiszące w powietrzu emocjonalne napięcie, ogłosił typowym dla siebie władcym tonem:

– Długo już siedzimy zamknięci w tych murach. Jutro urządzimy sobie wycieczkę do Florencji.

– Byłoby bezpieczniej nie oddalać się z La Fortezzy. – Lian odzyskała swoje zwykłe opanowanie; niebieskie oczy patrzyły na niego ze spokojem i Robertowi wydało się nie do wiary, że zaledwie przed kilkoma minutami pozwoliła sobie na tyle zwierzeń.

– Powiedziałem, że jedziemy do Florencji, przemądrzały buku, i tak zrobimy. Nie wytrzymam ani minuty dłużej. Znudziło mi się oglądanie na okrągło tylko waszych twarzy.

Nagle, nie wiedzieć czemu, poczuł się zirytowany. Zauważył, że zaczyna do tej dziwnej kobiety żywić niewygodne uczucie, które – gdyby nie fakt, że wiedział, iż przeszłość wydarła mu je z korzeniami do ostatka – mógłby nazwać czułością.

Jak zwykle Lian przyjęła jego wybuch niewzruszenie. Spokojnie wstała z krzesła i podeszła do regału, żeby odstawić grubą książkę na miejsce. Widząc, że nawet na palcach nie jest w stanie dosięgnąć półki, naukowiec pokuśtykał do niej niecierpliwie, wyrwał jej tom z ręki i postawił, gdzie trzeba. Zanim Lian zdążyła mu podziękować za tę arogancką pomoc, do biblioteki weszła Nella i ogłosiła, że kolacja gotowa.



Następnego dnia, gdy naukowiec zszedł na brukowany dziedziniec, Lian czekała na niego cierpliwie, siedząc na zardzewiałej kutej ławce stojącej przy wejściu. Widząc, że kuśtyka w jej stronę, wstała i podeszła do niego. Robert powiódł wzrokiem po jej wysmukłej figurze, podkreślonej przez

obcisłe džinsy, teraz modnie rozdarte na jednym kolanie, i białą koszulkę z wesołym rysunkiem. Na nogach Lian miała mokasyny, które kupił jej Robert. Mężczyzna, marszcząc czoło swym odwiecznym zwyczajem, burknął humorzaście:

– Nie zaszkodziłoby, gdybyś czasami rozpuściła włosy i nałożyła sobie odrobinę makijażu. Jeszcze ktoś cię zobaczy i pomyśli, że jesteś moją dorastającą córką.

Lian wybuchnęła śmiechem tak nieoczekiwanym i wesołym jak dźwięk srebrnego dzwoneczka. Robert nachmurzył się jeszcze bardziej, bez powodzenia próbując się bronić przed tą świeżą i spontaniczną radością, która groziła, że rozsadzi zbroję zgorzknienia, jaką od lat nosił na sobie niczym drugą skórę.

– Nikt nigdy nie weźmie cię za czyjegoś ojca, Robercie Gaddi. Masz na to zbyt podły charakter – powiedziała z psotną miną, która wydała mu się kusząca.

– To była impertynencja, Lian Zhao. Gdyby nie to, że zapewne zawdzięczam ci życie, natychmiast bym cię zwolnił. Wsiadaj w końcu do auta, zanim stracę typową dla siebie anielską cierpliwość.

Lian z uśmiechem zajęła miejsce pasażera w luksusowym samochodzie sportowym i badawczo przyglądała się manewrom, które Robert wykonywał, żeby wyjechać przez wąską bramę w starych murach obronnych otaczających fortecę.

– Wiesz, że nie umiem prowadzić? – rzuciła w końcu z pozorną beztróską.

Naukowiec jedynie obrócił głowę, żeby na nią spojrzeć, i drwiąco uniósł brew. Widząc, że jej uwaga nie wywołała żadnej wybuchowej reakcji, Lian ostrożnie ciągnęła:

– Myślę, że byłabym dla ciebie bardziej przydatna, gdybym się nauczyła. Może gdyby pewnego dnia bolała cię noga i...

– Czyli chcesz się nauczyć prowadzić? – przerwał jej bez ceregieli.

– Myślę, że by mi to nie zaszkodziło.

Wzruszyła ramionami z udawaną obojętnością. A jednak jego bystrym złocistym oczom, uważniej śledzącym jej reakcje niż krętą drogę, którą się toczyli, nie umknęło żarliwe pragnienie, które odbiło się w jej niebieskich tęczęwkach.

Roberta bawiła jej pełna godności postawa, mimo że ona ewidentnie niecierpliwie czekała na jego odpowiedź.

– Nie wiem... Już uczę cię czytać w zamian za lekcje kung-fu.

– Mogłabym ci zapłacić. Mówiłam ci, mam dużo pieniędzy.

– Hm, kuszące. Chociaż... nie wiem, czy zauważyłaś, nierozgarnięty oleandrze, ale mam więcej pieniędzy, niż dałbym radę wydać przez całe życie.

Ponownie jasne oczy nie były w stanie ukryć rozczarowania.

– To może zrobisz coś... – zaczął, a w wymownych źrenicach znów rozbłysła nadzieja. – Może mogłabyś co wieczór robić mi jeden z tych twoich masaży. Przyznaję, że całkiem nieźle ci to wychodzi.

Robert wiedział, że igra z ogniem, ale tym razem się nie przejmował. Spodobał mu się dotyk tych zręcznych palców na skórze i powiedział sobie, że ostatecznie nie zaszkodziłoby wykorzystać luksusu goszczenia pod swoim dachem cudownej masażystki.

– Jedna lekcja prowadzenia samochodu w zamian za jeden masaż. Umowa stoi.

Lian rozparła się na siedzeniu z zadowoloną miną, zupełnie nieświadoma intencji – bynajmniej nie niewinnych – mężczyzny, który siedział obok niej za kierownicą.

– Doskonale. – Naukowiec delectował się chwilą jak tygrys, który właśnie pożarł soczystego jelonka.

Gawędzili sobie przyjaźnie, sunąc nieśpiesznie podrzędną, pełną zakrętów szosą przecinającą piękne ukwiecone tokańskie łąki, których zapach raz po raz wpadał do samochodu przez otwarte okna.

Szybko dotarli do Florencji i zostawiwszy samochód na publicznym parkingu, wyruszyli na zwiedzanie pięknego miasta pieszo. Lian od dawna nie zaznała tyle radości. Chociaż uważnie wypatrywała najmniejszego niebezpieczeństwa, jakie mogło czyhać na tych wąskich, zatłoczonych ulicach, nie umykał jej ani jeden szczegół z wyjaśnień, które Robert Gaddi wygłaszał po drodze

głębokim, uwodzicielskim głosem.

Doktor Gaddi, niczym współczesny Leonardo da Vinci, oprócz tego, że odnosił sukcesy jako naukowiec, był również wielkim miłośnikiem sztuki i mimo sarkastycznego tonu, jaki często przyjmował, mówiąc do Lian, nie dało się ukryć, że sprawia mu przyjemność nie tylko opisywanie jej tego, co wiedział każdy uzbrojony w przewodnik turysta, lecz także wyciąganie na światło dzienne ukrytych smaczków tego wspaniałego miasta. Mimo kalectwa naukowiec wcale nie wyglądał na zmęczonego. Lian, nie mogąc się oprzeć, obserwowała go ukradkiem; z tym czarnym kosmykiem włosów, który mu wciąż opadał na czoło, i z błyszczącymi ożywieniem złocistymi oczami wydawał się o dziesięć lat młodszy.

Przemierzili imponującą piazza del Duomo i pełną zwiedzających piazza della Signoria, po czym ruszyli przez pstry tłum kłębiący się na Ponte Vecchio. Potem Robert zabrał Lian do Galleria dell'Accademia, gdzie stoi wyeksponowany ogromny oryginał Dawida Michała Anioła. Widząc zachwycone spojrzenie, jakim Lian przesuwiała po mięśniach i ścięgnach z taką maestrią wyrzeźbionych w białym marmurze, wyciągnął rękę i szarpnął dziewczynę ostro w stronę wyjścia.

– Dość już ślinienia się na dziś. Idziemy dalej.

Rozkoszowali się przepyszną tokańską kuchnią, siedząc na ruchliwym tarasie trattorii, i kiedy skończyli pić zamówione cappuccino, niezmordowanie podążyli dalej, by zwiedzić Galerię Uffizi.

Robert zatrzymał Lian przed imponującym płótnem Botticellego Narodziny Wenus i zapytał ją:

– Kogoś ci przypomina?

Obserwował ją, podczas gdy przyglądała się wnikliwie twarzy nagiej kobiety na muszli. W końcu podniosła na niego wielkie oczy i zaprzeczyła lekkim ruchem głowy. Lecz zanim Robert zdążył cokolwiek powiedzieć, odezwał się dwudziestokilkuletni długowłosa mężczyzna, który stał obok i kopiował część obrazu, a od dobrej chwili z zaciekawieniem spoglądał na ich dwójkę.

– Il signore ma rację – powiedział kulawą angielszczyzną z silnym włoskim akcentem. – La bella ragazza ma uduchowiony wyraz twarzy, daleki od miłości cielesnej i przyjemności zmysłowych, ten sam, który u swojej Wenus namalował wielki Sandro. Delikatne, szlachetne rysy kobiety przedstawionej na obrazie, tak samo jak pani, signorina, są bliskie ideału czystej inteligencji i najwyższej wiedzy właściwej Madonnie. – Ciemne źrenice malarza lśniły artystyczną pasją o takim wydźwięku, że Robertowi zaczęło się przewracać w żołądku. – Veramente bardzo bym chciał namalować panią nago, leżącą na łące pośród kwitnących maków; pani nieskazitelna skóra w ostrym kontraście z zielonym pastwiskiem...

– Dość, przyjacielu! Zajmij się swoimi sprawami. Ta panna nie będzie służyła jako modelka żadnemu włoskiemu pacykarzowi łasemu na kobiece wdzięki.

I znów bez najmniejszej delikatności szarpnął ją za łokieć, holując do wyjścia.

– Nie zrozumiałam ani połowy z tego, co mówił. – Lian pokręciła głową zbita z tropu. – Uważasz, że jestem podobna do tej piękności z obrazu? Tamten człowiek naprawdę chciałby mnie namalować?

Robert zatrzymał się w pół kroku, palcem wskazującym uniósł podbródek dziewczyny i przyjrzał się jej z nachmurzonym czołem. Zdażyli już zejść z kilku stopni wiodących do imponującego portyku galerii, toteż ich źrenice znajdowały się na tej samej wysokości.

– Tak, masz w sobie nieco podobieństwa do Wenus Botticellego. – Na zmysłowych wargach pojawił się radosny uśmiech, ale natychmiast zniknął, kiedy zabrzmiało drugie zdanie. – I zapomnij, nie pozwolę, żeby jakiś malarzyna z pretensjami do mistrzostwa zabrał cię do ogródka albo na pięterko.

– Nie chcę iść do żadnego ogródka ani na pięterko! – Energicznie potrząsnęła głową. – Ale cieszę się, że chciał mnie namalować.

Robert zastanawiał się, czy powinien wyjaśnić tej nieznośnej naiwniaczce, o jaki ogródek czy pięterko chodzi, gdy nagle przerwał im męski głos mówiący z typowym dla Jankesów nosowym brzmieniem.

– Do licha! Przecież to sam Robert Gaddi!

Robert zaklął w duchu. Nawet we Florencji człowiek nie może się uwolnić od niechcianych

znajomych. Szybkim rzutem oka ocenił strój idealnego turysty należący do jego dawnego kolegi z uczelni: koszulka z wielkimi plamami potu pod pachami, mocno opinająca się na wydatnym brzuchu, i kratkowane bermudy trzy czwarte, z których wystawały grube, owłosione łydki, a na stopach sandały i białe skarpetki. Stojąca obok niego ruda kobieta o bujnych kształtach, cokolwiek wulgarnie ubrana w obcisłą zieloną sukienkę, beczelnie wykazywała zainteresowanie sportową sylwetką naukowca, którego wyprasowane na kant spodnie i bladoniebieska koszula z lekko podwiniętymi rękawami – ubrania na włoską modłę sportowe i eleganckie – absolutnie nie przystawały do ich stylu.

– Cześć, Matt – przywitał się Robert niechętnie. – Dorobiłeś się serdelków w tej swojej fabryce w Tennessee.

– Ha, ha, ha – roześmiał się tamten, przesuwając sobie pomietą chusteczką po spoconym czole. – Ten Robert zawsze taki zabawny. Obawiam się, kolego, że czasami nie ma innego wyjścia, jak zostawić obowiązki na boku i poszukiwać tylko przyjemności. Przedstawiam ci Annabelle, trzecią panią Lindon. Jesteśmy w podróży poślubnej. Jak widzisz, małżonki też u mnie idą jedna po drugiej, jak serdelki. Ha, ha, ha.

Niestosowność tej uwagi zapewne dotknęła jego rudą towarzyszkę, bo kobieta nie umiała ukryć pogardy, gdy patrzyła na zadufanego w sobie małżonka, najwyraźniej mającego znacznie więcej pieniędzy niż dobrego smaku.

Naukowiec z kolei omiótł powłóczystym spojrzeniem jej bujne krągłości i nie umknęło mu, że różowy język żony jego dawnego kolegi podniecająco przesunął się po jej grubych, pomalowanych na czerwono wargach, kiedy poczuła na sobie taksujący wzrok mężczyzny. Niemniej następne słowa małżonka sprawiły, że Robert natychmiast stracił zainteresowanie.

– Widzę, że teraz gustujesz w młódkach. Nie przedstawisz nas?

Zauważywszy, w jaki sposób świńskie oczka grubasa najbezczelniej w świecie rozbierają Lian, Robert poczuł prawie niepowstrzymaną chęć, żeby mu przyłożyć pięścią w któryś z tych obwisłych policzków. Nakazał sobie jednak opanowanie i chociaż niechętnie, dokonał prezentacji.

– Robert Gaddi jest uznanym naukowcem, najdroższa. Poza tym, jak mi wiadomo, ma w okolicy bajeczny średniowieczny zamek.

Rzucało się w oczy, że Matt lubi się chełpić posiadłościami swoich przyjaciół i znajomych, jakby były jego własnością.

– Zamek! – Jego żona o mało nie klasnęła w dłonie z zachwytu.

A Robertowi wydało się, że dostrzega niezadowolenie w spokojnych na ogół tęczówkach Lian. Nagle naszła go ochota, żeby ją sprowokować, i z diabolicznym błyskiem w złocistych oczach wygłosił serdecznym, zupełnie niepodobnym do siebie tonem:

– Chcielibyście go zobaczyć? Z radością zniósłbym waszą dwudniową obecność, gdybyście wpadli do nas w weekend.

– Zniósłbyś naszą dwudniową obecność, ha, ha, ha, Robert, świetny żart. Nie wiem, co powie na to moja pani, ale ja z przyjemnością rzuciłbym okiem na te twoje posiadłości.

Ruda była zachwycona pomysłem, ustalono więc, że w najbliższą sobotę przyjadą na obiad do La Fortezzy i zostaną na noc. Mając ich już dość, Robert pożegnał się pośpiesznie i oddalili się w kierunku parkingu, na którym zostawili samochód.

– Jakoś zamilkłaś, znudzona leszczyno. Nie podobają ci się nasi dystyngowani zaproszeni goście?

Lian zadarła mały nos i odpowiedziała wyzywająco:

– To nie są nasi zaproszeni goście, tylko twoi.

– Ale nie podobają ci się, co? – Uniósł drwiąco brew.

– Nie podoba mi się, jak ten gruby pan na mnie patrzy ani też jak ty patrzysz na rudą, a ona na ciebie.

– Nie mów, że jesteś zazdrosna... – Choć miało to zabrzmieć ironicznie, sama myśl o eksperymencie wzbudziła w nim miłe wrażenie.

– Zazdrosna? – Roberta zirytowało szczere zaskoczenie na jej twarzy. – O to, że chcesz z nią robić to samo, co z tamtą kobietą z opery? Już ci mówiłam, że twoje ciało jest czcigodną świątynią

i nie powinieneś do niej wpuszczać byle kogo, Robercie Gaddi, ale skoro tak się tym interesujesz, to nie moja sprawa, kogo zapraszasz do swojego domu.

Wygłosiwszy to małe kazanie, wzruszyła ramionami tym swoim niedającym się naśladować gestem, który sprawiał, że Roberta brała wściekłą chęć, żeby nią potrząsnąć, lecz oczywiście w końcu dawał spokój. W rzeczywistości nie miał najmniejszej ochoty znów oglądać tamtych dwojga, choć pomyślał, że może nie zaszkodziłoby spędzić trochę czasu z tą w pełni dojrzałą kobietą, z którą mógłby pójść do łóżka i dla odmiany dać upust żądzy. Zbyt długo już przebywał w towarzystwie tej miniaturowej świętej, która ilekroć się do niej zbliżał, sprawiała, że czuł się jak stary zboczeniec.

Szarpnięciem otworzył drzwi od strony pasażera, a kiedy Lian wsiadła, zatrzasnął je głośno. Nagle cała radość ze wspaniałego dnia spędzonego na zwiedzaniu ulotniła się i wrócili do zamku w milczeniu.



Reszta tygodnia upłynęła w tym samym spokojnym, ale aktywnym rytmie. Naukowiec bardzo wcześniej zamykał się w swojej wieży i nie wychodził aż do obiadu. Lian i Piero, który miał wakacje, przez większą część poranka ćwiczyli albo schodzili do miasteczka na lody. Potem jedli obiad i po krótkiej sjeście Robert przychodził na polankę w zagajniku, gdzie Lian dawała mu ostry wycisk na treningach. Mimo że był po nich wykończony i – choć nie przyznałby się do tego nawet sam przed sobą – bardziej niż odrobinę podniecony, zauważył, że mięśnie jego kontuzjowanej nogi stopniowo się wzmacniają i teraz, kiedy się na niej wspierał, już nie bolała tak jak kiedyś.

Następnie brali prysznic i spotykali się w bibliotece, gdzie Lian uczyła się czytać. Robert był dobrym nauczycielem, lecz bardzo wymagającym. Na szczęście ona szybko robiła postępy i już prawie umiała poprawnie przeczytać całe akapity po francusku, tyle że z angielskim szło jej trudniej.

Czasami, kiedy czuła, że głowa jej zaraz pęknie, on zrywał się raptownie z krzesła i oznajmiał, że lekcja skończona. Wówczas szli na dziedziniec i wsiadali do mocarnego czarnego sportowego wozu. Dziewczynie podobały się lekcje prowadzenia samochodu. Mocno ściskając kierownicę w dłoniach, z trudem wytaczała auto przez wąską bramę w murach, podczas gdy jej udręczony nauczyciel nie przestawał złorzeczyć. Jadąc krętymi szosami przy otwartych oknach i wdychając odurzające zapachy tokańskiej wiosny, czuła się podniesiona na duchu do tego stopnia, że nawet uszczypliwe uwagi towarzysza kwitowała wybuchami śmiechu.

– Jesteś najgorszą osobą za kierownicą ze wszystkich, jakie miałem nieszczęście znać – narzekał, zaciskając dłoń na uchwycie nad drzwiami.

Lian uśmiechała się tylko psotnie i jeszcze mocniej trzymała kierownicę, co wywoływało kolejną serię złorzeczeń. Robert co prawda twierdził, że przez tę naukę jazdy siwieje, ale nie odpuściłby jej sobie za nic w świecie. Widok poważnej i opanowanej panny Zhao pozwalającej sobie za kółkiem na odrobinę szaleństwa był bezcenny.

Poza tym potem dostawał zapłatę.

Kiedy oznajmiał, że kładzie się spać, Lian wkrótce jak na zawołanie pojawiała się w jego pokoju ze swoim zestawem do masażu. Dla Roberta ten kwadrans – bo tyle trwały sesje – był najlepszą częścią dnia i wyczekiwał go z niecierpliwością.

„Ciekawe” – pomyślał któregoś wieczoru po relaksującym masażu, zanim się pogrążył w głębokim śnie. Miał wrażenie, że zna Lian Zhao przez całe życie. I choć niecierpliwie odsuwał od siebie tę myśl, czasami mu się zdawało, że za bardzo przyzwyczał się do jej obecności.



W piątkowy wieczór po kolacji i kolejnej porcji opowieści z burzliwej historii rodu Medyceuszy – Robert zapewniał, że wywodził się od nich jeden z jego przodków – Lian chodziła sobie po salonie, z zaciekawieniem dotykając tego i owego, gdy jej uwagę przyciągnęła pięknie zdobiona drewniana skrzyneczka, której do tej pory nie zauważyła.

Zaintrygowana, wzięła kasetkę do rąk, próbując dociec, jak się ją otwiera, aż w końcu znalazła metalową sprężynkę ukrytą wśród rzeźbionych zdobień. Zwolniła ją i wieczko odskoczyło, a z wnętrza

popłynęła wpadająca w ucho melodia.

Słyszając ją, Robert podniósł wzrok i zdziwiło go, że Lian nagle zeszywniała, a z jej policzków odpłynęły kolory.

– Co się stało, Lian? Co ci jest? – Doskoczył do niej w dwóch susach i zaniepokojony, chwycił ją za ramiona.

Przychodziła do siebie, mrugając, oszołomiona.

– Strasznie pobleadłaś, co się stało? – powtórzył.

– To ta melodyjka – powiedział w końcu. – Nagle poczułam panikę.

Robert spuścił wzrok i zobaczył kasetkę, którą dziewczyna z całych sił ścisnęła w dłoniach. Natarczywa muzyka wciąż brzmiała, wyrwał więc pozytywkę z rąk dziewczyny i zatrzasnął wieczko. Twarz Lian jeszcze nie odzyskała normalnego koloru, usta jej drżały.

– Panikę? Co, u diabła? Coś sobie przypomniałaś? – Choć pytał szorstko, widać było, że bardzo się niepokoi.

– Nie, to nie wspomnienie. Raczej wrażenie. Nagle, nie wiem czemu, poczułam się przerażona. Nigdy dotąd mi się to nie zdarzyło.

Wzruszyła ramionami, próbując udawać obojętność, ale go nie zwiodła. Melodia z tej niewinnej pozytywki poruszyła w niej coś, co od dawna spoczywało ukryte głęboko w otchłani pamięci.

Patrząc na jej nadal zmienioną twarz, Robert odprawił ją burkliwie:

– Jesteś zmęczona. Idź spać. Dziś obejdziemy się bez masażu.

Lian posłuchała bez oporu i poszła do swojego pokoju, a tymczasem w bibliotece naukowiec, zatopiony w myślach, otwierał i zamykał wieczko skrzyneczki, pozwalając, by raz po raz rozbrzmiewały fragmenty kryjącej się w środku wesołej, poniekąd dziecięcej muzyki.

Rozdział 5

Dwie godziny później Robert wszedł na górę, by się położyć do łóżka. Przebrał się w spodnie od piżamy i już miał się kłaść, lecz postanowił jeszcze zajrzeć do sypialni Lian i sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. Bezgłośnie otworzył drzwi i nasłuchiwał. Wydało mu się, że słyszy słabe jęki, podszedł więc cicho do szafki nocnej, zapalił stojącą tam lampkę i spojrzał na śpiącą na łóżku postać. Na czole Lian perlił się pot, dziewczyna rzucała głową na poduszce, Robert stwierdził zatem, że ją lepiej obudzi. Ostrożnie usiadł na skraju pościeli, chwycił ją za ramiona przez bluzkę od piżamy i delikatnie potrząsnął, szepcząc:

– Obudź się, Lian!

Nagle, nie wiedząc jak, sam znalazł się na łóżku, rozciągnięty na plecach, a Lian siedziała mu na piersi. Kciukiem i palcem wskazującym ścisnęła jego tchawicę, odcinając mu oddech.

– Lian... – wysapał na wpół uduszony.

Słyszając jego głos, natychmiast puściła uścisk, choć nadal siedziała na nim okrakiem.

– Boże! O mało... o mało mnie nie zabiłaś! – wykrzyknął, kaszląc.

– Wystraszyłeś mnie, Robercie Gaddi. Co robisz w mojej sypialni?

Podniósł dłoń i potarł sobie obolałe gardło, nie spuszczać wzroku z zagrażającej mu dziewczynki o zmierzwiionych włosach i zaróżowionych policzkach.

– Chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku. Śnił ci się jakiś koszmar, więc próbowałem cię obudzić, ale lepiej cię było nie ruszać. Cholera, jeszcze trochę, a byś mnie zabiła.

– Nie przesadzaj. Nie zabiłabym cię.

– Jasne, od razu mi lepiej – odparł sarkastycznie. Potem już spokojniej dodał: – Pamiętasz, co ci się śniło?

Lian na kilka sekund przymknęła powieki, starając się skoncentrować, po czym zaczęła opowiadać, co sobie przypominała:

– Siedziałam na jednym z dziwnych kolorowych koników, bardzo ładnych. Kręciły się i kręciły przy wesołej melodii. – Wtem otworzyła szeroko oczy i posłała mu zaskoczone spojrzenie. – Myślę, że to była ta sama muzyczka co w twojej kasetce! Na początku bardzo miło było tak jeździć w kółko, ale potem zachciało mi się zejść, jednak nie mogłam. Koniki kręciły się coraz szybciej, chciałam kogoś zawołać, żeby je zatrzymał, ale nie umiałam sobie przypomnieć nikogo imienia.

Niebieskie tęczy wyrażały głębokie strapienie, jakby ten koszmar wciąż ją dręczył.

– Miałaś już kiedyś takie sny?

Rzeczowe pytanie pomogło jej się uspokoić. Potarła sobie czoło i znów postarała się skupić.

– Teraz, kiedy to mówisz, myślę, że te kolorowe koniki śniły mi się nie pierwszy raz.

– To jasne, że koniki z twojego snu są częścią karuzeli, a ta melodia z pozytywki nierzadko towarzyszy podobnym atrakcjom w wesołych miasteczkach. Myślałaś, że to może być nie tylko sen?

Spojrzała na niego zdezorientowana, nie bardzo wiedząc, dokąd zmierza ten tok myślenia.

– Chcę powiedzieć, że to przypuszczalnie jest wspomnienie. Zapisane głęboko, pełne emocji wydarzenie z pierwszych lat twojego życia, potem wymazane z pamięci.

Lian w odpowiedzi zwyczajowo wzruszyła ramionami. Robert zamyślił się, aż nagle z zadumy wyrwał go lekki dotyk kobiecych palców przesuwających się po jego czole, najpierw wzdłuż jednej ciemnej brwi, potem drugiej. Zaskoczony spojrzał na nią i odkrył, że niebieskie oczy z zafascynowaniem śledzą ruch palców, jakby Lian robiła to bezwiednie, zupełnie tego nieświadoma.

Robert nie poruszył się, całkowicie skupiony na tym delikatnym kontakcie, który teraz przeniósł się na nasadę jego orlego nosa, wysokie kości policzkowe i kanciastą szczękę. Do tej chwili nie był zbyt świadomy lekkiego ciężaru ciała Lian na swojej nagiej piersi. Uprzytomnił go sobie i oddech mu przyspieszył. Zauważył, że zaciekawione palce przesuwają się po krzywiźnie podbródka i prześlizgują się na gardło, następnie nieco wyżej i znów w dół, przez ledwie zarysowaną przeszkodę w postaci jabłka Adama i dalej na pierś, rysując linie pod obojczykami.

– Igrasz z ogniem – wychrypiał.

Brzmienie jego głosu wystraszyło ich oboje i Lian spojrzała na niego oszłomiona.

– Patrz, co narobiłaś – dodał.

Podniósł się i oparł plecami o wezgi, po czym przytrzymując dziewczynę za ramiona, posadził ją sobie na kolanach.

– Czujesz?

Po raz pierwszy ujrzał ją zawstydzoną i celowo przesunął namiętne spojrzenie z jej zapłonionych policzków na małe piersi, które wznosiły się i opadały coraz szybciej pod cienką bluzką piżamy.

– Teraz ty mnie dotykaj – szepnęła ochryple.

Oparł palec wskazujący na jej brwi i przesunął nim bardzo powoli, kreśląc kontur małego nosa, zmysłowych brwi, lekko szpiczastego podbródka, wysmukłej, długiej szyi, aż zatrzymał się między jej piersiami.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, lecz nic nie mówiła i Robert spostrzegł, że źrenice ma rozszerzone, aż prawie nie widać tęczy. Wówczas ruchem tak powolnym, że wydawał się prawie niezauważalny, przesunął palec w bok i z zadowoleniem zauważył, że przeszedł ją dreszcz, kiedy jego opuszek dotknął wrażliwego sutka, który natychmiast stwardniał pod materiałem. Z tą samą delikatnością Robert zaczął zataczać wokół niego małe kółka, nie odrywając wzroku od rozchylonych bezwiednie, prowokujących warg.

Widział wyraźnie, że udało mu się ją podniecić – na samą myśl o tym, że być może jest pierwszym mężczyzną, który tego dokonał, zakręciło mu się w głowie. Lecz to, co robił, jednocześnie ocierało się o granice jego wytrzymałości. Należy skończyć tę zabawę w tej chwili, powiedział sobie. A jednak nadal pieścił jej sterczący sutek, wychylający się tęsknie niczym pąk do słońca.

Jeszcze raz rozżarzone złociste oczy przesunęły się po kuszących i jednocześnie niewinnych ustach, które go nieświadomie zachęcały, jakby był wilkiem mającym pożreć Czerwonego Kapturka, i w tym momencie zupełnie stracił panowanie nad sobą, nie umiając się oprzeć: ujął jej piękną twarz w dłonie, przyciągnął powoli do siebie, jakby się bał ją wystraszyć, aż ich wargi prawie się musnęły, i zastygł tak na kilka sekund, wdychając jej słodki oddech.

– Lian... – wydyszał tuż przed tym, jak ich usta się zetknęły.

Nie był przygotowany na słodycz tego pocałunku. Prawie przez połowę życia jedyne, czego szukał w niezliczonych relacjach, które utrzymywał, to zaspokojenie pożądania. W takich sytuacjach wystarczały mu lubieżność, żądza i seks bez skrępowania. Lecz żadna z tamtych kobiet, których twarze mieszały mu się w pamięci, nigdy nie pozwoliła mu poczuć czegoś, co otarłoby się o jego duszę. Teraz jednak, kiedy te delikatne usta niemal niezauważalnie poruszały się pod jego wargami, jakby ich właścicielka nie za bardzo wiedziała, co z nimi zrobić, odniósł wrażenie, że coś w nim topnieje.

Serce pompowało mu krew z diabelską prędkością i nagle nie mógł się już dłużej powstrzymać. Czułość tego pocałunku przerodziła się w pożerającą namiętność, która groziła, że odbierze mu resztki samokontroli. Wsunął palce w jej miękkie włosy, a drugą ręką objął ją w pasie i przyciągnął do siebie, by stopić ciało z ciałem, lecz to mu nie wystarczyło. Szybkim ruchem przetoczył się razem z nią, tak że teraz on był na górze, i nie bawiąc się w delikatność, szarpnął pasek jej piżamy i zsunął spodnie, a jednocześnie przesunął płonącymi palcami po gładkiej skórze jej bioder. Jediną spójną myślą, jaka tłukła mu się po głowie, była potrzeba zanurzenia się w tym miękkim, czystym cieple, które ulegało mu bez najmniejszego oporu.

Nagle jednak nieoczekiwany głos sumienia, co do którego nigdy nie wiedział, skąd się bierze, w ostatnim momencie przywrócił mu rozum i kazał się zatrzymać. Z ochryplym jękiem, na podobieństwo sfrustrowanego drapieżcy, Robert podniósł głowę znad piersi, które pożerał przez cienką bawełnę. Rzęząc, podciągnął się na przedramionach i na widok wzburzonych jasnych włosów, zaróżowionych policzków i tych ust, nabrzmiałych i zaczerwienionych po żarliwym pocałunku, rozchylonych w niemym błaganu, musiał ponownie zdobyć się na tytaniczny wysiłek, żeby nie rzucić się na nią ponownie i nie pojąć jej całkowicie.

– Cholera jasna! – wymamrotał wściekły, jednocześnie drżącymi palcami z powrotem pociągnął jej spodnie i poprawił bluzkę piżamy.

Lian pozostała nieruchoma, milcząca, z rozszerzonymi źrenicami utkwionymi w jego sposepniałej twarzy, wyglądającej, jakby zaraz miała wybuchnąć gniewem.

– Co ty sobie myślisz, żeby mnie tak prowokować?! – wykrzyknął Robert. Świadomość, że ją niesprawiedliwie oskarża, doprowadziła go do jeszcze większej furii.

Lecz Lian tylko patrzyła na niego bez słowa, aż nie mógł już tego znieść i odsunął się od niej szorstko.

Dopiero głośnie trzaśnięcie drzwiami, z którym opuścił pokój, sprawiło, że w końcu zareagowała. Oszolomiona, usiadła na materacu, mocno ściskając w ramionach poduszkę i usiłując zrozumieć, co się właściwie zdarzyło.

Całowała się po raz pierwszy w życiu. Wzburzona, podniosła dwa drżące palce do rozpalonych ust, próbując odtworzyć przeszywające emocje, jakie rozszalały się w niej w kontakcie z tamtymi ustami, tak twardymi i wprawnymi.

Robert Gaddi ją pocałował. Pieścił ją jak nikt nigdy dotąd i wywołał w niej dziwne pragnienie czegoś, czego nie umiała nazwać. Czy to była miłość, o której mówią w filmach, a może tylko seks? Lian nie wiedziała. W jej życiu te dwa słowa prawie nie istniały. To pewne, że kochała Hao i mistrza Chenga, ale tamto uczucie, przyjemne i znajome, w niczym nie przypominało natłoku wrażeń, który sprawił, że serce waliło jej w piersi jak oszalałe.

Może dlatego mistrz nie chciał przyjąć od niej ślubów. Czyżby to właśnie był znak, na który czekała? Ale dokąd zaprowadzą ją te burzliwe wrażenia? Jak to możliwe, że mężczyzna, o którym prawie nic nie wie i który najwyraźniej nawet ją nieszczególnie lubi, obudził w niej coś tak... tak nieopisanego? Lian, zakłopotana, przejechała sobie dłonią po jasnych włosach. W takich chwilach chciałaby mieć przyjaciela, któremu mogłaby się zwierzyć ze zmartwień, ale mistrz Cheng znajdował się bardzo daleko i nie miała do kogo się zwrócić.

Dręczona niepokojem opadła z powrotem na posłanie i zwinęła się w kłębek w pościeli, próbując oczyścić umysł. Na szczęście przyszła jej z pomocą umiejętność skupienia się, ta sama, którą wykorzystywała podczas medytacji, i po kilku minutach już spokojnie spała.



Następnego dnia Robert nie zszedł ze swojej wieży do wieczora. Nie było lekcji kung-fu ani czytania, ani prowadzenia samochodu. Lian snuła się po zameczku niczym pokutująca dusza, nie wiedząc, czym sobie wypełnić czas. Piero pojechał na weekend do przyjaciela, a ona nie chciała myśleć o tych pocałunkach, do tej pory doprowadzających jej krew do wrzenia. Zgnębiona zeszła do kuchni, gdzie Nella zaczynała przygotowywać kolację.

– Dzień dobry! Czy mogłabym w czymś pomóc?

Starsza pani podniosła głowę znad grochu, który właśnie łuskała, i z zaciekawieniem spojrzała na Lian, z jej typowym młodzieńczym wyglądem, ubraną w podarte dżinsy, które najwyraźniej tak bardzo lubiła, oraz w swoją ulubioną bluzkę w kolorze własnych oczu. Dziewczyna z niepokojem czekała na odpowiedź.

– Oczywiście, Lian, możesz mi pomóc w łuskaniu grochu, jeśli chcesz.

Nella prawie od samego początku przyjęła ją jako kolejną wnuczkę i traktowała bez żadnego dystansu.

Lian posłała jej przelotny uśmiech, zadowolona, że w końcu znalazła zajęcie, i usiadła przed olbrzymią misą pełną przyniesionych z ogrodu strąków. Nella zerkała na nią ukradkiem, podczas gdy małe palce zręcznie łuskały groch, a kopczyk zielonych kulek w postawionej obok mniejszej misce szybko rósł.

– Coś się stało, Lian? Wyglądasz na zmęczoną.

Dziewczyna, zaskoczona, podniosła wzrok na życzliwą twarz rozmówczyni i Nelli nie umknęły ciemne półksiężycy pod jej oczami i wyraźnie zmartwiona mina.

– Nie, nic się nie stało.

W La Fortezzy niewiele było rzeczy, które by uszły uwagi czujnej gospodyni. Jeszcze jako dziewczynka wstąpiła na służbę do starej pani, która nauczyła się czytać i pisać. Roberta знаła, odkąd

jako ośmiolatek zaczął spędzać u cioci w zamczku większą część letnich wakacji i okresy bożonarodzeniowe. Z wielkim smutkiem Nella obserwowała, jak ten wesoły, wrażliwy chłopiec przeobraża się w zgorzkniałego mężczyznę, jakim był teraz. Ale odkąd do zamczku przybyła z nim ta ładna dziewczyna, tak różna od pozostałych, il signore zdawał się odzyskiwać nieco ze swojej dawnej radości. Nawet wyglądał młodziej i już nie marszczył tego zasepionego czoła tak często jak zwykle.

– Czy il signor Roberto był dla ciebie niemiły? – Gospodyni łatwo nie dała za wygraną.

– Il signor Roberto zawsze jest dla mnie niemiły – odpowiedziała Lian z krzywym grymasem.

– To prawda, chociaż wyraźnie mu się podobaś.

– Nie byłabym tego taka pewna – mruknęła do siebie, choć oczywiście Nella ją słyszała.

Przez chwilę pracowały w milczeniu, aż Lian przerwała je pytaniem:

– Nello... – urwała, nie wiedząc, jak je sformułować.

– Słucham.

– Czy wiesz, co się przydarzyło Robertowi Gaddiemu?

Nella podniosła wzrok znad kuli mącznego ciasta, które wyrabiała, i zauważyła lekki rumieniec na zwykle białych policzkach dziewczyny.

Lian dodała pośpiesznie:

– Nie pomyśl, że to wścibstwo. Chciałabym tylko wiedzieć, co sprawiło, że stał się takim nieszczęśliwym człowiekiem, jakim jest teraz.

Korpulentna pani przez chwilę bez słowa dalej zagniała ciasto i kiedy Lian już myślała, że nie otrzyma odpowiedzi, gospodyni zaczęła opowiadać historię:

– Il signor Roberto stracił matkę krótko przed tym, jak skończył osiem lat. Jego ojciec, brat mojej pani, nigdy się nie pogodził ze śmiercią swej pięknej żony, Amerykanki. Ale zamiast otoczyć większą opieką syna, uciekał w robienie interesów, które mu szły coraz lepiej. Rodzina Gaddich zawsze należała do najpotężniejszych florentyńskich rodów, lecz ojciec naszego signore potroił odziedziczony po przodkach majątek. Tymczasem mały Roberto uczył się w najlepszych europejskich szkołach z internatem i co lato przyjeżdżał tu na wakacje do cioci Ysabelli, która go uwielbiała. Prawie nie widywał się z ojcem i w miarę jak dorastał, coraz bardziej się od siebie oddalali.

Lian siedziała zaszuchana w tej przytulnej kuchni, przesiąkniętej żywym zapachem oregano i bazylii.

– Kiedy się spotykali, wywiązywały się kłótnie – ciągnęła opowieść Nella – za każdym razem gwałtowniejsze niż poprzednio. Do tego stopnia, że il signor Lorenzo zagroził, że wyrzuci Roberta z domu i wydziedziczy go. Ludzie z rodziny Gaddich są straszliwie dumni. Dlatego syn, niemający wówczas nawet dwudziestu lat, stwierdził, że nie będzie odtąd o nic ojca prosił. Wierz mi, dotrzymał obietnicy. Był wybitnym uczniem i sportowcem, otrzymał stypendium i dostał się na medycynę na Harvardzie. By się utrzymać, pracował po nocach jako kelner w pobliskiej ruchliwej restauracji, a mimo to ukończył studia lekarskie, a potem doktoryzował się ze wspaniałymi ocenami. – Małe oczy Nelli błyszczały dumą na myśl o tym dzielnym chłopaku. – Zdawało się, że życie uśmiechnęło się do młodego Roberta. Studiował to, czym się fascynował, był gwiazdą uniwersyteckiej drużyny hokejowej, dziewczyny go uwielbiały... i wtedy pojawiła się ona.

Lian odniosła wrażenie, że wykrywa w ciemnych źrenicach ślad nienawiści, i nieświadomie zmiażdżyła w rękach strąk, który właśnie miała rozłupać.

– Wszystko to opowiedziała mi la signora Ysabella znacznie później. Choć owszem, ja też poznałam Estelle. Zgodnie z imieniem piękną jak gwiazda, ale tylko z zewnątrz. – Nella wymamrotała po włosku coś, co zabrzmiało jak przekleństwo, po czym mówiła dalej: – Il signore przywiózł ją do La Fortezzy na Wielki Tydzień. Była piękna wiosna, jak teraz. Przyznaję, że ta dziewczyna robiła fascynujące wrażenie i wszyscy padali do jej stóp bez najmniejszego oporu. A jednak starej Nelli nie zwiodła ani przez chwilę. Jej zachowanie wobec osób ze służby różniło się bardzo od tego, które miała zarezerwowane dla ludzi jej zdaniem interesujących. Przejrzałam ją natychmiast; była to rozpieszczona dziewczynka przyzwyczajona, by wykorzystywać swoją urodę i dzięki temu osiągać, co chciała, bez względu na to, czy kogoś zraniła po drodze. Ale il signor Roberto szalał na jej punkcie i nie umiał dostrzec, co kryje się pod tą imponującą maską...

– Jak wyglądała, Nello? – przerwała jej Lian, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

– Była bardzo wysoka. – Gospodyni podniosła umączoną rękę sporo ponad głowę. – I miała posągowe kształty, a eleganckie ubrania, które nosiła, jeszcze to podkreślały. Czarne, faliste włosy opadały jej poniżej ramion i kontrastowały, tak samo jak duże czarne oczy, z bladą, jakby alabastrową skórą. Była jedną z tych kobiet, za którymi wszyscy się oglądają na ulicy. Przyznaję, że nigdy nie widziałam nikogo tak pięknego.

Lian poczuła, że ściska jej się żołądek. Tamta Estelle nie mogła się bardziej różnić od niej: od jej jasnych, bezbarwnych włosów, niziutkiego wzrostu i zupełnego braku elegancji. „I czemu się przejmujesz?” – powiedziała sobie w duchu niecierpliwie. Ale w rzeczywistości bardzo się przejmowała.

Nella, zupełnie nieświadoma melancholijnych przemyśleń dziewczyny, ciągnęła swoją historię.

– Wszystko zdarzyło się pewnej nocy po jakiejś zabawie. Młody Roberto właśnie skończył studia, w ramach nagrody pozwolił sobie na luksus i kupił mały samochód sportowy. Estelle uparła się, żeby się za kierownicą, mimo że auto miało znacznie większą moc niż te, które była przyzwyczajona prowadzić. Il signore próbował jej to wyperswadować, ale nalegała i w końcu ustąpił jak zawsze. Biedak nie potrafił w najmniejszym stopniu oprzeć się jej kaprysom.

Gospodyni westchnęła nad wyrabianym ciastem.

– Możesz sobie wyobrazić, co się wydarzyło. Bezksiężycowa noc, mokry asfalt, jeden kieliszek za dużo... Krótko mówiąc, na jednym z zakrętów wylecieli z szosy i walnęli w drzewo. Policja stwierdziła, że jechali o wiele za szybko jak na te warunki drogowe. Estelle wyszła z tego zaledwie z kilkoma zadrapaniami, a Robert odniósł poważne obrażenia. Mimo to, zanim stracił przytomność, miał jeszcze na tyle siły, żeby zamienić się z nią miejscami i ustalić, że będą zeznawać, że to on prowadził. Nawet w takich okolicznościach, w strasznym bólu, martwił się tylko o to, żeby nie musiała odpowiadać za swoje postrzelone pomysły.

– W takim razie musiał ją bardzo kochać – zauważyła Lian poruszona.

– To ogromnie niebezpieczne powierzać serce na ślepo komuś, kto na to nie zasługuje. – Starsza pani zesnurowała usta z niezadowolaniem.

– Ale nie zawsze można wybierać, prawda? – szepnęła Lian ledwie dosłyszalnie.

– Pewnie nie. Zaczekaj chwilę, wstawię ciasto do piekarnika. Przez te pogaduszki w takim tempie kolacja nie będzie gotowa na czas.

Włożyła blachę z ciastem do nowoczesnego piekarnika z nierdzewnej stali, uderzająco kontrastującego – podobnie jak reszta nowoczesnego wyposażenia elektrycznego – z duchem średniowiecznej kuchni.

– Proszę, Nello, mów dalej. – Lian niecierpliwie czekała na rozwój wydarzeń.

Gospodyni, wycierając stół ścierką, ciągnęła opowieść:

– Il signore przez wiele dni był u progu śmierci. Miał poważne obrażenia brzucha i poszarpaną nogę. W końcu udało się ustabilizować jego stan, ale przez kilka tygodni lekarze dyskutowali, czy nie amputować mu nogi. Estelle ani razu nie pojawiła się w szpitalu. W tych niekończących się miesiącach udręki, w trakcie których wielokrotnie go operowano, towarzyszyła mi tylko la signora Ysabella; nawet jego ojciec nie pofatygował się z wizytą. Kiedy Roberto odzyskał przytomność, wciąż pytał o swoją narzeczoną, aż wreszcie jego ciocia nie miała innego wyjścia, jak powiedzieć mu prawdę: Estelle, którą zawsze przerażały deformacje fizyczne, nie umiała znieść myśli, że mogłaby się związać z kaleką, zaczęła się więc umawiać z inną uczelnianą gwiazdą sportu, nie mając nawet na tyle uczciwości i śmiałości, żeby mu to powiedzieć w twarz, a niedawno wzięła ślub z tamtym człowiekiem.

Nella zajęła się kolejną pracą, ale nie przestawała opowiadać.

– Prawie pół roku przeleżał w szpitalu, po czym ciocia zabrała go, żeby dochodził do siebie tutaj. Ale ten kulawy, pełen urazy człowiek, który wysiadł z samolotu, miał niewiele wspólnego z dawnym Robertem, sprzed wypadku. Kilka miesięcy później zmarł jego ojciec i ku zaskoczeniu wszystkich zostawił mu ogromną fortunę; z dnia na dzień il signor Roberto stał się zgorzkniałym milionerem, który kupuje sobie ludzi i wykorzystuje ich według własnych zachcianek, aż mu się znudzą. Jego rozwiązłe życie bez hamulców osiągnęło już niepokojący poziom, kiedy skontaktował się

z nim dawny profesor z Harvardu i zaproponował mu prowadzenie ważnego projektu naukowego. To go uratowało.

W kuchni zapadła głęboka cisza. Lian próbowała przyswoić cenne informacje, których udzieliła jej Nella.

– Bardzo smutna historia – powiedziała w końcu.

– I starej Nelli coś mówi, że ty też jesteś smutna. Co się dzieje, córuś? Co ci tym razem zrobił il signor Roberto?

– Tylko... – Lian poczerwieniała jak burak, ale poczuła, że eksploduje, jeśli komuś nie powie, co się wydarzyło, a gospodyni była z tych osób, które umieją słuchać. – Pocałował mnie.

Starsza pani nie wyglądała na szczególnie zdziwioną.

– Hm... a więc cię pocałował. – Jej pełne domysłów spojrzenie sprawiło, że Lian, z policzkami w ogniu, pośpiesznie wyjaśniła:

– Wiem, że to nie ma żadnego znaczenia. Roberto Gaddi całuje wszystkie kobiety, które spotka, ale...

– Ale ty dotąd z nikim się nie całowałaś – dokończyła za nią Nella.

– Nie... no, tak... ale nie... nie w ten sposób.

– Rozumiem.

– I teraz siedzi zamknięty w swojej wieży i już ze mną nie czyta, nie daje mi lekcji jazdy – dodała zgnębiona, choć dobrze wiedziała, że raczej nie z tego powodu czuje się tak nieszczęśliwa.

Nella obrzuciła ją wnikliwym spojrzeniem, jakby też to wiedziała, i zamyśliła się w milczeniu, podczas gdy Lian bezlitośnie miętoszyła jeden z pustych strąków.

To jasne, że Robertowi podoba się ta zdumiewająca dziewczyna, dumiała starsza pani. Jeżeli ją pocałował, to dlatego, że czuje do niej coś więcej, niż odważyłby się przyznać nawet sam przed sobą. Nella dobrze go znała i wiedziała, że w głębi duszy Robert Gaddi jest człowiekiem prawym. Nie mógłby wykorzystać kogoś, kto w tych sprawach ma tak znikome doświadczenie. Rzuciło się w oczy, że Lian też mocno przeżywa to, co się wydarzyło, i w końcu gospodyni doszła do wniosku, że ta młoda kobieta o wyglądzie dziewczynki, ze swoją uduchowioną urodą i czystością, jest odpowiedzią na jej modlitwy. Może Lian będzie w stanie uratować jej ukochanego signore, wyrwać go z tego samotniczego, pobawionego miłości życia, na które wydawał się skazany.

– Dobrze, Lian – rzekła w końcu. – Myślę, że byłoby dla ciebie najlepiej nie przejmować się zbytnio tym, co się wydarzyło. Staraj się zachowywać tak, jakby ten pocałunek nie miał dla ciebie większego znaczenia, i uważaj, żeby się nie powtórzył. Jak sama słusznie mówisz, il signore Roberto to kobieciarz. Czyli wiesz, postępuj tak, jakby się nic nie stało.

Lian popatrzyła na nią szeroko otwartymi oczami, lecz Nella wiedziała, że Robert mimo swojego kalectwa jest przyzwyczajony do tego, że kobiety padają mu do stóp, co nie wymaga od niego najmniejszego wysiłku. Jedną ze słabości jej signore była duma, i gospodyni, na której oczach dorastał, miała pewność, że pozorna obojętność dziewczyny doprowadzi go do szału i jeszcze bardziej pobudzi jego zainteresowanie. W wymownych, wielkich jasnych oczach dostrzegła głębokie zwątpienie i odepchnęła od siebie nagły wyrzut sumienia, mówiąc sobie, że tak będzie lepiej dla dziewczyny; dla każdego z tych dwojga.

– Zrobię, jak mi radzisz – zgodziła się Lian, mimo że co chwilę myślała o dotyku tamtych ust na swoich wargach i żarliwie pragnęła czegoś, czego nie umiała określić.

Rozdział 6

W porze kolacji przyszli oboje do jadalni. Naukowiec miał minę bardziej zasepioną niż zwykle, toteż pierwsze danie zjedli w lodowatym milczeniu.

Choć udawał, że na nią nie patrzy, zerkał ukradkowo, próbując dociec, co tej nieprzewidywalnej dziewczicy chodzi po głowie, jednak pogodna, niewzruszona twarz Lian nie dawała mu żadnych wskazówek. Wściekał się, widząc, że jest taka spokojna, podczas gdy on cały dzień rozmyślał o tym, co się wydarzyło, nie umiając się skupić nawet na pracy. W końcu, nie mogąc już dłużej znieść milczenia, przypuścił jeden z tych ataków obliczonych na sprowokowanie rozmówcy, w których był mistrzem.

– Wieczorem zajrzę do twojej sypialni, żeby dokończyć to, co zaczęliśmy wczoraj – rzucił obojętnym tonem.

Nawet Nella drgnęła na te słowa – o mało nie upuściła tacy. Niemniej reakcja Lian pozwoliła jej odzyskać oddech.

– Nie wydaje mi się – powiedziała dziewczyna spokojnie.

– Ach, nie? Wiesz, prowokująca tarnino, że twoje zachowanie ma bardzo brzydką nazwę? – Nagle Roberta zaczęła bawić ta kłopotliwa sytuacja.

– W porządku. Proszę o wybaczenie.

Jej nieoczekiwana odpowiedź zupełnie zbiła go z tropu. Naprawdę zamierzała go przeprosić, podczas gdy to on rzucił się na nią i o mało nie splamił jej cnoty, jak to mówią w starych melodramatach?

– Wybaczenie? – Musiał przyznać, że mała panna Zhao zawsze umiała wytrącić go z równowagi.

Lian podniosła wzrok znad talerza i jak dziewczynka, która wyuczyła się lekcji, wyrecytowała z marszu:

– Przykro mi, że dotykałam twojej twarzy, Robercie Gaddi. Znam cię na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie jesteś w stanie oprzeć się kobietom, i nie powinnam cię była prowokować. To była moja wina.

Jej słowa sprawiły, że dopiero poczuł się prowokowany, oburzony i wściekły równocześnie.

– W takim razie twoim zdaniem jestem biedakiem, który nie umie się oprzeć wdziękowi jakiegokolwiek kobiety, nawet twoim, czy tak? – Jego głos, jedwabisty i opanowany, nie zwiastował niczego dobrego.

Lian tylko wzruszyła ramionami i nadal dziobała widelcem sałatkę, której towarzyszyła pieczeń rzymska.

– Dobrze. Udowodnię ci, że wcale tak nie jest.

– Będziesz mnie dalej uczył czytać i prowadzić samochód?

– Tylko to cię martwi, tak? – Poczuł się urażony nie tylko w swej dumie, wobec czego dalej robił to, co mu najlepiej wychodziło: odparował cios w możliwie najboleśniejszy sposób. – Więc dobrze, zarozumiała magnolio, będziemy normalnie kontynuować lekcje. Mam nadzieję, że ci udowodnię, że taki człowiek jak ja w najmniejszym stopniu nie interesuje się taką karykaturą kobiety jak ty.

Lian nadal jadła liście sałaty, jakby te okrutne słowa nie przeszły jej duszy z precyzją dobrze wycelowanych strzał, a kiedy kolacja dobiegła końca, wstała i pośpiesznie uciekła do swojego pokoju.



W sobotę rano przyjechali goście i Robert, brylujący w roli gospodarza, wyszedł im na spotkanie na brukowany dziedziniec. Lian nie miała ochoty ponownie oglądać któregokolwiek z tej dwójki, ale skoro zatrudniono ją do osobistej ochrony naukowca, przez cały dzień nie odstępowała go ani na krok. Przykro jej było patrzeć, jak ruda wdzięczy się do niego bezczelnie, podczas gdy on na to pozwala; mimo to Lian cały czas trwała przy nim z nieprzeniknioną twarzą.

Robertowi też nie umknęło, w jaki sposób jego dawny kompan z uczelni oblizuje się za każdym razem, gdy jego wzrok padał na dziewczynę. Wyglądało na to, że miesiąc miodowy spędzany z trzecią żoną bynajmniej mu w tym nie przeszkadza.

W miarę jak mijał poranek, zły humor naukowca się potęgował. Dzień był bardzo przyjemny, temperatura idealna, postanowili więc zjeść pod pergolą obrośniętą pachnącym wiciokrzewem. Jednak mimo że ogród w La Fortezzy był wiosną przepiękny, żadne z biesiadników nie zwracało większej uwagi na uroki roślin.

Lian zauważyła, że za każdym razem, gdy Anabelle pokazuje gospodarzowi jakiś szczegół sielankowego otoczenia, korzysta z okazji, żeby go całkiem jawnie dotknąć; najpierw jego ręki, potem ramienia, a teraz kolana... Tymczasem jej obrzydliwy mąż próbował robić to samo z nią pod stołem. Musiała już kilka razy odsuwać nogę przy takim odstręczającym kontakcie i powiedziała sobie, że jeśli ten typ nie przestanie, trudno będzie się jej powstrzymać, by nie ścisnąć tych jego obwisłych policzków palcami, aż będzie błagał o litość.

Uwagi naukowca nie uszło też, że jej niebieskie tęczęwki, zazwyczaj pogodne, przybrały odcień burzowego nieba. Pomyślał, że zapraszając tych dwoje, zrobił straszną głupotę, ale było już za późno, żeby się wycofać.

Po obiedzie wypili kawę, a następnie Robert poprosił Lian, żeby przekazała wiadomość od niego gospodyni, i dziewczyna z radością oddaliła się od okropnego towarzystwa, choćby tylko na kilka minut. Kiedy wróciła pod pergolę, naukowiec i ruda zniknęli, został tylko Matt Lindon, gorliwie osuszający kolejny kieliszek wina. Kiedy ją zobaczył, wstał jednak i podszedł tak blisko, że poczuła jego alkoholowy oddech.

– Witaj ponownie, mała Lian! Nie miałabyś ochoty dać całusa staremu Mattiemu?

– Nie.

Złapał ją za ramiona i przyciągnął do siebie, aż jego wydatny brzuch dotknął jej szczupłego ciała.

– Tylko jeden buziaczek – zaczął tonem, jakim niektórzy zwracają się do małych dziewczynek.

Lian nie mogła pohamować odrazy, ale postanowiła nie tracić opanowania i odpowiedziała bardzo spokojnie:

– Puść mnie.

Lindon nic sobie z tego nie zrobił i jeszcze mocniej zacisnął ręce na jej ramionach, tak żeby dać jej pojęcie, jaką siłę kryją jego grube palce.

– No weź, jeden całusek, nie więcej... – Jego usta, bardzo czerwone i wilgotne, były coraz bliżej.

Lian nie mogła się już dłużej powstrzymać. Płynnym ruchem uwolniła się z uścisku i trzasnęła go w twarz nasadą dłoni, a jednocześnie podcięła mu nogi, tak że zwałił się na ziemię.

– Żmija! Złamałaś mi nos! – krzyczał grubas, wijąc się z bólu na trawie.

Lian nie raczyła mu odpowiedzieć, tylko odwróciła się na pięcie i poszła poszukać swojego klienta. Nie musiała się długo wysilać. Mijając labirynt aromatycznych cyprysów, zajmujący sporą część ogrodu, usłyszała dobiegające z niego głosy i bez wahania weszła do środka. Dzięki temu, że tyle się tutaj bawiła z Pierem, szybko dotarła do centralnego punktu i zastała tam scenę, na której widok stanęła jak wryta.

Ruda, stojąc na palcach z rękami wyciągniętymi na kark naukowca, całowała go namiętnie i oplatała jego ciało swymi krągłościami, dając mu oczywistą zachętę. Lian, mimo gniewu, który ją nagle smagnął, zauważyła, że ramiona mężczyzny zwisają po bokach tułowia, i to sprawiło, że zaraz odzyskała spokój. Odchrząknęła kilka razy, żeby dać znać o swojej obecności, po czym oświadczyła:

– Z przykrością powiadamiam panią Lindon, że jej mąż cierpi, ponieważ przydarzył mu się mały wypadek, i pragnie jak najszybciej wyjechać.

Słyszając jej głos, naukowiec podniósł ręce i wyplątał się z objęć, które zdawały się wręcz go dusić. Skierował na Lian pytające spojrzenie, lecz ona z niewzruszoną miną jedynie odpowiedziała tym samym.

– Słyszałaś, Annabelle. Lepiej, żebyśmy poszli i sprawdzili, co się przydarzyło twojemu mężowi.

Z grymasem frustracji na lubieżnych ustach, które nosiły już tylko śladowe ilości szminki, ruda pozwoliła się poprowadzić do wyjścia z labiryntu.

– Chwileczkę, schyl głowę – poleciła Lian, gdy Robert się z nią zrównał.

Zaskoczony, zatrzymał się i posłusznie pochylił głowę.

Lian uniosła rękę i kciukiem otarła mu usta, aż zniknęły z niego ostatnie smugi pomadki.

– Już.

Szli dalej w stronę pergoli, a Robert po drodze analizował swoją głupią zachciankę, która go nagle dopadła i kazała mu przeprosić dziewczynę, podczas gdy w rzeczywistości to Annabelle Lindon rzuciła się na niego jak głodna wilczyca. Pokręcił głową, zły sam na siebie; jeszcze tego brakuje, żeby się tłumaczył tej chodzącej kostce lodu, którą pieścił poprzedniego wieczoru – o czym, choć bardzo się starał, wciąż nie mógł przestać myśleć – a która najwyraźniej sama nie przejęła się tym wczorajszym zdarzeniem w najmniejszym stopniu.

Skręcając za róg pergoli, o mało nie wpadli na Matta Lindona, który z zakrwawioną chusteczką w ręce próbował powstrzymać krwotok.

– Gaddi, ta suka, twoja przyjaciółeczka, rozbiła mi nos.

– Jasne, Matt, nie chcesz chyba, żebym uwierzył, że taka drobna, krucha dziewczyna jak Lian rozbiła nos takiemu wielkiemu facetowi jak ty. – Rozbawienie brzmiące w jego głębokim głosie nie przyczyniło się do uspokojenia nastroju gości.

– Matt, kochany. Mój ty biedaku.

Komicznie było obserwować, jak Annabelle usiłuje pocieszyć męża, jednocześnie starając się trzymać od niego jak najdalej, żeby się nie poplamić krwią.

– Na obrzeżu miasteczka jest ośrodek zdrowia. Lepiej, żebyście tam pojechali i z łaski swojej zabrali stąd swoje bagaże. Właśnie sobie przypomniałem, że mamy w sypialniach plagę myszy. – Złociste oczy błyszczały szyderstwem.

Słyszając to, Annabelle otworzyła usta i parsknęła z oburzeniem.

– Nie ujdzie ci to płazem, Gaddi – zagroził Lindon, nie próbując udawać, że nie rozumie aluzji. – Doniosę na tę żmiję na pierwszym posterunku policji, jaki napotkam.

Ze złocistych tęczówek zniknął wszelki ślad rozbawienia, oczy naukowca błysnęły groźbą.

– Na twoim miejscu, drogi Matcie, wyniosłbym się, nie robiąc awantur. Jestem pewien, że panna Zhao miała swoje powody, by zrobić to, co zrobiła. A zatem: wynocha stąd!

Zdumieni takim brakiem uprzejmości, małżonkowie odwrócili się i wycofali do domu, nie przestając dyskutować i wymachiwać rękami oraz obiecując najróżniejszego rodzaju zemstę. Kiedy zniknęli z pola widzenia, Robert zwrócił się do Lian z kąpiącym spojrzeniem.

– A więc, gwałtowny jesienie, co się wydarzyło?

– Przykro mi, że uderzyłam twojego gościa, Robercie Gaddi, ale to głupiec. – Lian wzruszyła ramionami.

– Nie da się tego nie zauważyć – odparł niecierpliwie. – Ale chcę poznać konkretny powód tego wybuchu agresji, gadajże więc wreszcie!

– Próbował mnie pocałować.

Robert nie był przygotowany na atak morderczej furii, którego doznał. Nagle zapragnął pobiec za swym dawnym kolegą, żeby mu przyładować z kolana w krocze. Z trudem odzyskał panowanie nad sobą, lecz złowieszczo marszczył brwi, gdy pytał:

– I udało mu się?

– Nie.

Zalała go ogromna ulga, a przez to zezłościł się jeszcze bardziej. Gestem ostrzeżenia wytknął palec w stronę Lian.

– Mam nadzieję, że go nie prowokowałaś.

Lian wyzywająco zadarła w niebo swój mały nos.

– Nie jestem taka jak ty. Nie chodzę po świecie, rozdając pocałunki na prawo i lewo.

Jej pełna godności postawa o mało go nie rozśmieszyła.

– Żeby było jasne: to piękna Anabelle pocałowała mnie, nie odwrotnie. Nie mogłem nic zrobić, żeby tego uniknąć.

Lian fuknęła z oburzeniem. Tym razem naukowiec nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem. Widząc, że jasne tęczołki skrzą się gniewem, wyciągnął rękę, wziął dziewczynę palcem pod brodę i dodał, wbijając w jej oczy płonące spojrzenie:

– To dobrze. Wybaczam ci. To oraz tamtą wczorajszą próbę uwodzenia; to oczywiste, że mam nieodparty urok. Zapomnijmy o tym, co się wydarzyło, i żyjmy jak do tej pory. Pasuje ci, kolczasty jałowcu?

– Będziesz mnie dalej uczył?

– A co mi pozostaje?

Widząc radosny uśmiech, który zawitał na te apetyczne usta, Robert o mało znów nie rzucił się na Lian, aby powtórzyć, sekunda po sekundzie, scenę z jej sypialni. „Będę musiał bardzo uważać” – rzekł sobie. Ta absurdalna dziewczina jest bardziej niebezpieczna niż legion kurtyzan tańczących nago kankana na stole.



Jak obiecał naukowiec, wrócili do poprzedniego rozkładu zajęć i ani się obejrzeni, jak wiosna przeszła w lato. Mijały dzień za dniem i Nella, nie spuszczać z nich dwojga sokołogo oka – choć zawsze pamiętała przy tym o dyskrecji – od razu zauważyła zmiany zachodzące u jej kochanego signora Roberta. Nie tylko odzyskał uśmiech, który już nie przypominał sardonijnego grymasu, jaki od lat nosił na twarzy, lecz także niekiedy, będąc w towarzystwie Lian, nawet wybuchnął śmiechem. Mimo że wciąż traktował ją dość nieuprzejmie, gospodyni uważnym wzrokiem nieraz przechwytywała pełne czułości spojrzenia, jakie kierował na dziewczynę, gdy myślał, że nikt go nie widzi.

Co do Lian, choć była bardzo powściągliwa i nie dało się łatwo dociec, co jej chodzi po głowie, jej oczy bezwiednie się rozjaśniały, gdy przesuwała spojrzeniem po jego przystojnej twarzy albo kiedy słuchała kolejnej z tych fascynujących dla niej opowieści. Nelli przypominały się tamte komedie romantyczne, na które kiedyś tak bardzo lubiła chodzić do starego kina w miasteczku. W tamtych filmowych historiach zawsze pilna uczennica zakochiwała się w błyskotliwym profesorze. Uszczęśliwiona gospodyni mówiła sobie, że mimo różnicy wieku – bo przecież il signore skończył już trzydzieści osiem lat, ci dwoje najwyraźniej są sobie przeznaczeni.

Jeśli nie liczyć treningu i wieczornego masażu, więcej się nie dotykali, i nie dlatego, żeby on nie pragnął tego żarliwie, z coraz większą mocą. Dla Roberta było to coś dziwnego: spędzać tyle czasu w towarzystwie kobiety i nie sypiać z nią. Czasami, kiedy Lian podczas jednego z tych treningów, które niekiedy bardziej przypominały jakiś zmysłowy taniec, kazała mu się chwycić, naukowiec musiał z całych sił walczyć ze swoimi niższymi instynktami.

Pragnął jej. Bóg wie, jak bardzo jej pragnął. Wiele razy, mając ręce oparte na jej smukłych biodrach, nie mógł się powstrzymać i ukradkiem pieścił je palcami. Zbyt wiele miesięcy żył w abstynencji i znajdował się na granicy własnego oporu. Chciał ją rozciągnąć na miękkiej trawie wśród kwiatów i pokazać jej w końcu, co się czuje podczas uprawiania miłości. Pieścić jej gładką skórę w pełnym świetle słońca, przesuwać językiem po sekretnych zakamarkach jej ciała, które niczym Królowa Śnieżka czekało, by ktoś je obudził z głębokiego snu. Żarliwie pragnął być tym pierwszym, który w czystych niebieskich oczach roznieci niepohamowaną namiętność; rozsunąć jej nogi i zanurzyć się w niej, wypełnić ją całkowicie...

Gdy jednak o tym myślał, coś w jego wnętrzu go powstrzymywało.

Od lat rozkoszował się przyjemnościami seksualnymi bez umiaru. Tarzał się w rozpuście i libertynizmie pod pretekstem, że wszyscy są zepsuci, a on nie zamierza być wyjątkiem. Dawno temu postanowił, że nigdy się nie ożeni ani z nikim nie zwiąże się na dłużej – Estelle skutecznie wyleczyła go z tych głupich romantycznych mrzonek – dlatego poprzysiął sam sobie, że swymi splamionymi rękami nie skala jedynej czystej osoby, jaką poznał przez te wszystkie lata. Chciał myśleć, że słowo „honor” wciąż jeszcze coś znaczy w rodzinie Gaddich.

Zostawi Lian dla kogoś lepszego niż on.

Jednak miła i błoga egzystencja w tej swego rodzaju Arkadii dobiegła końca znacznie wcześniej, niż którekolwiek z nich trojga mogło przypuścić. Ledwie zaczął się wrzesień, gdy Robertowi złożono niespodziewaną wizytę.

– Charles, co za niespodzianka! – Robert serdecznie uściśnął dłoń przyjaciela.

– Cześć, Robert, świetnie wyglądasz! Przedstawiam ci Francisca Kane’a, szefa Lian. A właśnie, gdzie ona jest?

Zanim dokończył zdanie, blondwłosy wir powietrza popędził w ramiona postawnego mężczyzny w średnim wieku, który czekał z uśmiechem u boku szefa FBI.

– Francis!

– Lian!

Rzucała się w oczy przyjemność, z jaką tych dwoje witało się po miesiącach niewidzenia, i Robert musiał się powstrzymać, żeby gwałtownie nie wyszarpnąć smukłego ciała Lian z objęć tego typu. Przyglądał mu się wnikliwie. Francis Kane miał około czterdziestu pięciu lat, był bardzo wysoki i w dobrej formie fizycznej. Dawało się zauważyć, że zanim stanął na czele firmy ochroniarskiej, musiał służyć w wojsku; jego prosta sylwetka nadal zachowała coś z wojskowego drylu. Miał bardzo krótko obcięte szpakowate włosy i szare oczy o miłym, szczerym wejrzeniu. Mimo wszystko naukowcowi nie spodobał się od samego początku.

Gdy Lian go wreszcie puściła, stanęła obok – a w porównaniu z tym olbrzymem zdawała się jeszcze mniejsza – i przyglądała mu się ze szczęśliwym uśmiechem na ustach. Robert niezwłocznie poprowadził gości do salonu. Jeżeli Charles Cassidy osobiście pofatygował się, by przylecieć do Włoch, było jasne, że sprawa jest ważna.



– A więc, Charles?

Siedzieli w wygodnych fotelach w salonie. Nella położyła na stole z karraryjskiego marmuru tacę z przekąskami i napojami orzeźwiającyymi.

– Jesteś tu w związku z Nagrodą Księcia Asturii.

– Nie mów, że przyleciałeś taki kawał drogi, żeby mi pogratulować. – Robert kpiąco wygiął brew w łuk i pociągnął łyk coli.

Charles z kolei wypił nieco swojej whisky z lodem, zanim odpowiedział.

– Skoro o tym wspomniłeś, to gratulacje, Robercie! Jestem bardzo dumny, że mam za przyjaciela takiego znakomitego naukowca! – Zaraz jednak odzyskał powagę. – Wyobrażam sobie, że zamierzasz pojechać do Oviedo na uroczystość wręczenia nagród, nieprawdaż?

– Tak, a masz jakieś obiekcje? Wiem, co byś wołał – odparł sarkastycznie – ale nie możesz na resztę życia zamknąć mnie w La Fortezzy.

– Rozumiem, jednak obawiam się, że to duże ryzyko. Śledztwo w sprawie bomby podłożonej w Waszyngtonie jeszcze nie posunęło się do przodu. To oczywiste, że mamy do czynienia z profesjonalistami. Nie zdziwiłbym się, gdyby to byli najemnicy renegaci rekrutujący się z naszego własnego wojska.

Robert niecierpliwie powiódł sobie dłonią po ciemnych włosach. Złociste oczy miały iskry.

– Posłuchaj, Charles, nie pozwolę, żeby garstka płatnych morderców kierowała moim życiem. Poza tym – ruchem głowy wskazał Lian, która siedziała kilka metrów dalej, przysłuchując się pilnie rozmowie – mam do obrony pannę Zhao.

– I nie mógłbyś być w lepszych rękach, wierz mi. – Po raz pierwszy w salonie zabrzmiał głęboki głos Francisca Kane’a. – Przybyliśmy dokładnie po to, żeby opracować strategię. Przepraszam, Charles, kontynuuj.

Cassidy poluzował sobie nieco ciemny krawat i wrócił do tematu rozmowy.

– Wiem, że nie odmówisz sobie osobistego odbioru nagrody, i wyobrażam sobie, że ci, którzy chcą z tobą skończyć, też to wiedzą. Dlatego mamy plan, żeby ci zapewnić możliwie najlepszą ochronę. – Znowu pociągnął łyk whisky. – Hiszpańska policja na ten czas zaplanowała potężne

przegrupowanie sił. W teatrze Campoamor, gdzie się odbywa uroczystość wręczenia nagród, będziesz chroniony przez cały czas, martwią mnie jednak hotel i przejazdy przez miasto. Ian Doolan przekazał mi, że zaproszono cię ponadto do wygłoszenia wykładu na Uniwersytecie Oviedo, tam też będziesz zatem bardzo narażony. Zamierzam ci przydzielić dwóch dodatkowych ochroniarzy.

– Jeszcze dwóch ochroniarzy oprócz panny Zhao? Na Boga, Charles, nie jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych! – Zniecierpliwiony Robert walnął łaską o podłogę.

– Panna Zhao będzie odgrywała szczególną rolę w naszym planie, ale nie zostanie oficjalnie włączona w siły ochrony. Tym zajmą się Harrelson i drugi agent.

Ten pomysł nie spodobał się Robertowi ani trochę. Naukowiec spojrział na przyjaciela ze zmarszczonym czołem.

– Jak to?

– Panna Zhao będzie uchodziła za twoją narzeczoną. Nie podamy do publicznej wiadomości, że należy do osobistej ochrony. Będzie ci stale towarzyszyła, nawet spała w tym samym pokoju hotelowym, żeby nie wzbudzać podejrzeń, a jednocześnie zawsze mieć cię na oku. Stworzymy wszelkie pozory, że to twoja dziewczyna. Wolałbym zachować w tajemnicy twój plan zajęć podczas tej podróży, ale to by się nie udało. Niemniej będę spokojniejszy, wiedząc, że panna Zhao nie odstępuje cię na krok.

Otrząsnąwszy się ze zdziwienia, Robert zerknął na milczącą Lian, której twarz wciąż niczego nie wyrażała, nie dało się więc wywnioskować, co myśli. Poirytowany jej powściągliwością i zarazem zły na siebie, że szukał u niej najmniejszego przejawu entuzjazmu, rzucił jedną ze swych ciętych uwag:

– Został niecały miesiąc. Nie wiem, czy wystarczy czasu, żeby zrobić z panny Zhao wiarygodną narzeczoną. Odnoszę wrażenie, że to będzie wymagało dużo pracy.

Ironia jego komentarza zraniła ją, ale Lian znów doskonale stłumiła to w sobie. W ostatnich tygodniach ona i Robert Gaddi spędzali razem dużo czasu. Tak dużo, że w końcu nie było innej rady, jak przyznać, że czuje do niego większy pociąg, niż podpowiadałby jej rozsądek. Prawie nie było takich chwil, żeby w jej myśli nie wkradały się nieproszone wspomnienia o jego pocałunkach, i jeśli miała być szczerą z samą z sobą, musiała przyznać, że pragnie znów poczuć tamten zamęt emocji. Niestety, wyglądało na to, że ona, Lian Zhao, jest jedyną kobietą na Ziemi, której naukowiec nie chce pocałować.

Przy takiej emocjonalnej huśtawce złożenie ślubów zakonnych zupełnie nie wchodziło w grę i teraz Lian nie mogła już wyczekiwać swojego powrotu do klasztoru. Mistrz Cheng od początku wiedział, że to nie jest jej przeznaczone.

Przyszłość jawiła się jej jako pępne pustkowie. Lian miała świadomość, że to zlecenie wcześniej czy później się skończy, i choć nie rozumiała czemu, myśl o tym, że nie zobaczy już więcej Roberta Gaddiego, napełniała ją rozpaczą. Na szczęście właśnie w tym momencie z ponurej zadumy wyrwał ją głos szefa.

– Myślę, że każdy mężczyzna byłby zachwycony, mając taką narzeczoną jak Lian.

Roberta wkurzyła uprzejmość Kane'a, a jeszcze bardziej rozdrażniło go pełne wdzięczności spojrzenie, które Lian posłała szefowi.

– Za waszym pozwoleniem – dodał Kane – chciałbym porozmawiać z panną Zhao na osobności.

Zanim naukowiec zdążył wyrazić obiekcje, Francis Kane wstał, podszedł do drzwi i przytrzymał je kurtuazyjnie, przepuszczając dziewczynę. Robertowi za cholerę się nie podobało, że ten typek czuje uprawniony do rozmawiania z Lian sam na sam, gdy przyjdzie mu na to ochota. Pomyślał z wściekłością, że będzie jej musiał przypomnieć o tym poronionym pomysle wstąpienia do zakonu: nie uchodzi, żeby przyszła mniszka biegła ochoczo jak jakiś piesek na każde gwizdnięcie tego mężczyzny.

– Nie masz humoru? – zapytał Charles, wrywając go z rozmyślań.

– Bzdura! Dlaczego miałbym nie mieć? – Nachmurzył się jeszcze bardziej i głośno odstawił szklankę na marmurowy stół.

Jego przyjaciel stwierdził, że lepiej zmienić temat.

– Jak idą badania?

Robert wysiłkiem woli oderwał myśli od pary, która właśnie wyszła z salonu.

– Prawie skończyliśmy próby kliniczne i wyniki są jeszcze lepsze, niż oczekiwano. Nie wykluczam, że za kilka lat uda się ograniczyć zachorowalność na raka do poziomu odry. Najlepsze ze wszystkiego jest to, że ta szczepionka jest zdumiewająco prosta, tak że nawet najbiedniejsi będą mieli do niej dostęp.

Złociste oczy błyszczały entuzjazmem i Charlesowi Cassidy’emu nie umknęła doniosłość tego odkrycia. Na Boga, nie zdziwiłby się, gdyby jego przyjaciel został po tym nominowany do Nobla!

Szef FBI dopił swoją whisky, po czym rzekł:

– Skoro badania są tak zaawansowane, to znaczy, że jesteś w coraz większym niebezpieczeństwie. Ci, którzy chcą z tobą skończyć, spróbują to zrobić, zanim ogłosisz odkrycie.

– Pewnie tak. – Naukowiec wzruszył ramionami, jakby się tym zbytnio nie przejmował. – Przy okazji, Charles, chciałbym cię prosić o przysługę...

Przyjaciel popatrzył na niego zdziwiony. Na palcach jednej ręki mógłby policzyć przypadki, w których Robert go o coś prosił, a i tak pewnie nie wyszłoby tego aż pięć.

– Jeśli to tylko w mojej mocy, dawaj.

Naukowiec wygodniej usiadł w fotelu i zaczął gładzić rzeźbione zdobienia laski.

– Potrzebowałbym listy dziewczynek w wieku od trzech do sześciu lat, które zaginęły we Francji około dwudziestu pięciu lat temu, pięć w tę, pięć w tamtą. Wiem, że to szeroki zakres, ale nie chcę zawęźać.

Charles spojrział na niego swymi inteligentnymi niebieskimi oczami.

– Lian?

Robert potwierdził skinieniem.

– Może jej rodzice byli w Chinach, gdy przyszła na świat. Jeśli tak, nic nie da się zrobić. Wątpię, żeby władze tego kraju były gotowe udzielić jakiegokolwiek informacji, nawet gdyby ją miały.

– Dlaczego uważasz, że jest Francuzką? – spytał Charles zaintrygowany.

– Mówi po francusku i doskonale rozumie ten język, a nie pamięta, gdzie się go nauczyła. Nie czyta jednak, co daje do myślenia, że kiedy opuściła Francję, nie była jeszcze w tym wieku, gdy uczy się dzieci czytać. Ponadto kiedy jechaliśmy do La Fortezzy, zauważyła, że krajobraz wydaje się jej znajomy, mimo że nigdy nie była we Włoszech. Nie sądzę, żeby w Chinach mieli scenerię zbliżoną do tokańskiej, za to wiejskie rejony Prowansji są bardzo podobne... – Robert znów wzruszył ramionami. Był bardzo poważny. – Co chcesz, żebym ci powiedział? Mam przecucie, a wiesz, że my, naukowcy, często pozwalamy się prowadzić intuicji.

– Hm, no nie wiem. Wszystko to jest trochę nieprecyzyjne. Poza tym minęło dużo czasu. Nie wydaje mi się, żeby było łatwo.

Naukowiec niecierpliwie przesunął sobie dłonią po ciemnych włosach.

– Wręcz przeciwnie, myślę, że nie będzie trudno. Nikt się do tej pory nie fatygował, by znaleźć jakiś trop. Lian to pierwsza osoba, której własne pochodzenie wydaje się nie interesować w najmniejszym stopniu.

Przyjaciel rzucił mu domyślne spojrzenie.

– A jaki ty masz interes w tym, żeby wiedzieć, skąd ona pochodzi?

Złociste oczy odpowiedziały nieprzeniknionym spojrzeniem.

– Powiedzmy, że... nigdy nie umiałem się oprzeć tajemnicy.

Potem dalej rozmawiali przyjaźnie o różnych sprawach, aż Nella ogłosiła, że kolacja na stole.

Rozdział 7

Targ w Luoyangu, Chiny

Léa była wygłodniała. Od kilku dni włóczyła się po tym mieście wśród tłumu obojętnych przechodniów, którzy interesowali się nią tylko o tyle, żeby ją zepchnąć z drogi. Porwała ją ludzka rzeka, a dziewczynka nie mogła zrobić nic, żeby oprzeć się jej prądowi, aż dotarła do największego targu, jaki w życiu widziała. Kolorowe stragany uginały się od nieznanych jej warzyw i owoców, na innych piętrzyły się małe klatki ze śpiewającymi ptakami; na jeszcze innych sprzedawano pieczone psie głowy, a nawet poprzycinane na kształt filetów małe krokodyle. Mimo że ściszał jej się żołądek na widok tych biednych zwierząt, wdychając apetyczne aromaty, nie mogła nic poradzić na to, że cieknie jej ślinka.

Co jakiś czas przykucała, żeby podnieść z ziemi kawałek na wpół zgniecionego lub zepsutego owocu albo coś, co sprzedawcy odrzucili. Zbierała za to przekleństwa, a od czasu do czasu ktoś z kupujących trzepnął ją w głowę, kiedy się o nią potknął.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że udało się jej uciec, i raz po raz rozglądała się wokół siebie, jakby się spodziewała, że zza każdego rogu może wyskoczyć jeden z tych postawnych strażników, którzy ją więzili i zastraszali podczas długiej podróży. Nie wiedziała, ile minęło czasu, odkąd statek przybił do ogromnego portu w Szanghaju. Gdy tylko do niego zawinęli, olbrzymi dźwig zdjął z pokładu kontener i ciężarówka zabrała go na rampę nieco oddaloną od ruchliwych doków. Tam strażnicy w końcu otworzyli drzwi i bezceremonialnie wyrzucili małych pasażerów do ogromnego pomieszczenia. Podczas gdy dzieci czekały na betonowym podłożu, inni ludzie pośpiesznie ładowali do opróżnionego kontenera wielkie skrzynie z towarem.

Léa popatrzyła na pozostałe maluchy, tak samo obrośnięte brudem, wychudzone i przerażone jak ona. Mrugały, na wpół oślepione przez palące się jasno gołe żarówki zwisające z metalowych belek sufitu. Nagle nastąpiła jedna z częstych w tych stronach przerw w dostawie prądu i światła zgasły, pogrążając wszystko w ciemności.

Léa nie wiedziała, jaki instynkt nią wtedy zawładnął, ale zdołała bezgłośnie po omacku wśliznąć się z powrotem do kontenera, z którego niedawno ich wyrzuciono; teraz znajomy odór mieszał się w nim z zapachem tytoniu. Następnie skuliła się w maleńkiej przestrzeni między dwiema skrzyniami.

Najwyraźniej nikt nie zauważył jej zniknięcia. Léa, w obawie, że ją mogą odkryć, tkwiła skulona w kryjówce, nie wiedząc jak długo, aż ciężarówka znowu ruszyła w drogę. Podróż ciągnęła się w nieskończoność i dziewczynka o mało nie umarła z pragnienia. Gdy auto się zatrzymało, zeszywniała ze strachu czekała, aż drzwi kontenera ponownie się otworzą. Nie wiedziała, co jej zrobią, kiedy ją tutaj znajdą, było jednak jasne, że nie będzie to nic dobrego, dlatego gdy tylko stuknął żelazny rygiel, przygotowała się do ucieczki.

Człowiek, który otworzył drzwi, był tak zaskoczony jej niespodziewanym widokiem, że zamarł, a zanim wreszcie zareagował i zaczął wściekle krzyczeć, dziewczynka zdążyła zeskoczyć na ulicę i na ile pozwalały jej zdrętwiałe nogi, puściła się pędem przed siebie. Zaraz potem zniknęła w tłumie.

Do rzeczywistości przywróciła ją tocząca się po ziemi i najwyraźniej przez nikogo niezauważona soczysta pomarańcza. Ze zwinnością małpki dziewczynka rzuciła się za nią i ukryła owoc pod połą płaszczyka, którego pierwotny kolor skutecznie skrywała gruba warstwa tłustego brudu. Léa pośpiesznie oddaliła się z tamtego miejsca. Kilka metrów dalej zatrzymała się za murem jakiegoś domu, wyjęła owoc i nie kłopotząc się myciem znaleźziska, łapczywie zatopiła małe zęby w lśniącej skórce, aż jej pociekł po brodzie słodki, ciepły sok.

W tym momencie mocno złapała ją za ramię czyjaś ręka. Przerażona dziewczynka podniosła głowę i zobaczyła, kto ją złapał. Niezbyt wysoki człowiek z głową ogoloną na łyso, ubrany w tunikę w kolorze szafranu, spoglądał na nią dobrotliwie.



La Fortezza, Włochy, obecnie

W jadalni Robert zajął miejsce u szczytu imponującego drewnianego stołu, Charles usiadł po jego prawej stronie, a Lian i Francis zajęli miejsce po lewej. Rozmowa toczyła się wokół ogólnych tematów, a Francis Kane udowodnił, że choć nie wywodzi się z wyższych sfer, jest kulturalny i dobrze wychowany. Robert z urazą obserwował błysk podziwu w oczach Lian, który pojawiał się, ilekroć spojrzęła na szefa.

„Na Boga, jest w takim wieku, że prawie mógłby być jej ojcem!” – pomyślał z niesmakiem.

– Dobrze pamiętam chwilę, gdy po raz pierwszy zobaczyłem Lian – mówił właśnie szef firmy ochroniarskiej i naukowiec niemalym wysiłkiem zmusił się do skupienia na rozmowie. – Była ubrana w tradycyjny strój chińskich wieśniaków z zeszłego wieku: ciemne bawełniane spodnie i koszula w tym samym kolorze, z troczkami zamiast guzików. Wyglądała na dziewczynkę i pomyślałem, że mistrz Cheng pewnie się pomylił.

Kane posłał jej uśmiech, a Lian odwzajemniła go z zapalem. Uwagi Roberta nie uszło, że się przebrała. Mocno ścisnął palcami nóżkę kieliszka z czeskiego kryształu, aż mu pobieleły paznokcie.

– Przez kilka miesięcy przebywała u mnie w domu w Szanghaju, żeby się zaznajomić z postęпами technologicznymi ostatnich lat. Do dziś mam przed oczami jej wystraszoną twarz, kiedy uczestniczyła ze mną w wideokonferencji.

– Nie powinieneś żartować sobie z biednej dziewczyny, która dopiero co wyjechała z wioski – upomniała go żartobliwie Lian i pieszczotliwie pacnęła wierzch jego dłoni.

Wzrok Francis Kane’a był pełen słodyczy, kiedy położył rękę na jej ręce.

– Byłaś najbardziej rozbijającą istotą, jaką od dawna widziałem. Pamiętam, że co wieczór ściągałaś pościel z łóżka i rozkładałaś ją na podłodze, żeby na niej spać.

– Łóżka wydawały mi się zbyt miękkie, wciąż mi się takie wydają.

„Z jakiego cholernego powodu ten typ wie, co Lian robiła albo nie robiła, kiedy się kładła spać?” – zastanawiał się Robert, coraz bardziej rozszłoszczony. Stan jego ducha oscylował między zaciekawieniem, jakie w nim wzbudzało wszystko, co mogło rzucić jakieś światło na przeszłość Lian Zhao, a irytacją, którą czuł, widząc, że ten człowiek jest zakochany w jego osobistej ochronie.

Tymczasem Charles z zainteresowaniem obserwował przyjaciela. Rzuciło się w oczy, że denerwuje go przyjaźń łącząca Francis Kane’a z Lian Zhao; rozżarzone iskry strzelające ze złocistych oczu świadczyły o tym, że kryjący się w środku wulkan lada chwila może wybuchnąć. Na ile znał Roberta, wiedział, że ten nigdy nie okazywał zaborczości wobec żadnej kobiety; niemniej było oczywiste, że ta młoda osóbką o dziewczęcej twarzy, piękna i eteryczna jak wróżka, stanowi wyjątek.

Charles zastanawiał się, czy Robert jest w niej zakochany, lecz mimo ewidentnego zainteresowania przyjaciela nie mógł tego rozstrzygnąć. Gaddi był człowiekiem skomplikowanym i miał za sobą burzliwą przeszłość, a Lian sprawiała wrażenie niewinnej i kruchej. Miał tylko nadzieję, że przyjaciel nie zrobi jej krzywdy. Nie żeby Robert był złym człowiekiem, tyle że bywał bardzo destrukcyjny. Tak czy inaczej, pomyślał Charles, widząc opanowanie malujące się w pięknych niebieskich tęczęwkach, panna Zhao najwyraźniej nie jest głupia, zatem być może tym razem to ona poprowadzi w tańcu.

Później kontynuowali rozmowę przy ogniu płonącym na kominku w salonie. Mężczyźni pili podane przez Nellę napoje alkoholowe. Dopiero gdy stary zegar w korytarzu wybił dwunastą, postanowili iść spać.

Jak zawsze wieczorem Robert, leżąc w łóżku ubrany tylko w koszulę i jedwabne slipy, czekał niecierpliwie na ciche pukanie i skrzypnięcie otwieranych drzwi, oznajmujące, że wchodzi Lian ze swoją skrzyneczką zawierającą igły, oliwę i kadzidełka.

Dzięki regularnym treningom i opiece, którą Lian nad nim roztaczała, noga już mu prawie nie dokuczała. Mięśnie się wzmocniły i znacznie lepiej radziły sobie z jego ciężarem, a bolesne skurcze,

które go kiedyś nękały, najwyraźniej stały się przeszłością. Choć przyznawał, że powinien być wdzięczny, jedynym, co czuł w tym momencie, była przemożna ochota, by przełożyć ją sobie przez kolana i dać jej porządne lanie. Niestety, wiedział, że biegłość Lian w kung-fu na to nie pozwoli.

Jednak kiedy przysiadła na skraju materaca, zagadnął ją szorstko:

– Co cię łączy z tym człowiekiem?

Lian, przyzwyczajona do jego nagłych humorów, odpowiedziała bardzo spokojnie, zapalając kadzidło.

– Z Francisem? Już ci mówiłam. To mój przyjaciel. Bardzo mi pomógł, kiedy opuściłam klasztor. Byłam taką wioskową ignorantką, miał do mnie wiele cierpliwości.

– To jasne, że teraz próbuje odebrać należność.

Lian zatrzymała się w pół ruchu z igłami w powietrzu i zapytała zdziwiona:

– Należność?

– Francis Kane jest w tobie zakochany.

Wybuchnęła wesołym śmiechem, po czym zaraz wbiła mu pierwszą igłę w udo.

– Co za głupoty pleciesz, Robercie Gaddi.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś nie udawała takiej światowej damy, wioskowy figowcu. Dobrze wiem, kiedy mężczyzna patrzy pożądliwie na kobietę. Jestem ekspertem, pamiętasz? – rzekł opryskliwie.

Lian dalej wbijała igły, nie zwracając na niego zbyt dużej uwagi. Było jasne, że jej klient tego wieczoru jest w kłótliwym nastroju, co zresztą nie zdarzało się rzadko.

– Ba.

Ta lekceważąca monosylaba przelała czarę i Robert, chwyciwszy dziewczynę mocno za ramiona, potrząsnął nią lekko. Lian zmrużyła powieki i powiedziała tylko głosem pobrzmiwającym stalową nutą:

– Lepiej sobie przypomnij, co się przydarzyło twojemu grubemu przyjacielowi.

Naukowiec przez chwilę patrzył w te oczy, mające w sobie teraz chłód lodowca, i wbrew sobie zmusił się do uśmiechu.

– To bardzo smutne, że mężczyzna nie może dać ci lania, na które zasługujesz, nie narażając się na złamanie nosa.

– Nie wiem, dlaczego uważasz, że zasługuję na lanie. – Pokręciła głową, nie przestając masować mu nogi. – Nie zrobiłam nic złego. Dobrze, koniec na dziś.

Nie chcąc stracić jej z oczu, nie powiedziawszy ostatniego słowa, Robert podniósł się i łagodnie położył jej dłoń na ramieniu, żeby jeszcze została.

– Cóż, spróbuję ci to wyjaśnić jak najlepiej. Zobaczmy. Wyobraź sobie, że jestem wujkiem opiekującym się krnąbrną siostrzenicą.

Lian popatrzyła na niego z zaciekawieniem, zastanawiając się, co ten zdumiewający człowiek jeszcze jej powie.

– Wyobraź sobie – ciągnął – że czuję się za nią odpowiedzialny. Że mam ją ostrzegać przed możliwymi niebezpieczeństwami, które na nią czyhają... – Jego hipnotyzujący, głęboki głos przykuł ją do materaca i kiedy Robert delikatnie uniósł jej twarz dłońmi, tak że ich oczy znalazły się w odległości niecałych dwudziestu centymetrów, nie opierała się. – Mówił tej niewinnej i cokolwiek głupiej siostrzenicy: uważaj na tych starszych mężczyzn, którzy wydają się tacy mili! Nie wierz im, ponieważ jedyne, czego chcą, to zaskoczyć biednego Czerwonego Kapturka, żeby się na niego rzucić i go... pożreć!

Zanim Lian przejrzała jego zamiary, Robert przechylił głowę, aż jego usta zawładnęły jej rozchylonymi wargami, które zdawały się go przyzywać, i nagle znów dał się porwać słodczy tej pieśczości. Na dłuższą chwilę ogarnęło go coś magicznego i uduchowionego, czego nigdy dotąd nie doznał. Z jej gardła wyrwał się jednak niemal niedosłyszalny jęk i to go doprowadziło do szału, a namiętność, która nim owładnęła zaraz potem, nie miała już w sobie nic mistycznego. Puścił jej podbródek, bezceremonialnie zatopił palce w jej gładkich jasnych włosach i przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej, nie przestając pożerać jej zmysłowych ust – żarliwie, zachłannie, nienasycenie...

W tej chwili nie obchodziło go w najmniejszym stopniu, że jego pieszczoty mogą się okazać dla niej bolesne.

Lian odruchowo położyła dłonie na jego szerokiej piersi i zauważyła, że serce pod koszulą bije mu tak samo diabelnie szybko jak jej. Jej ciało stało w płomieniach, tak że jednocześnie czuła się rozemocjonowana i wystraszona. Nie był to jednak ten sam rodzaj podekscytowania jak podczas walki, choć miał wiele z tamtego zapachu. Nie był to również ten zachwyt, z jakim słuchała owych wspaniałych oper, choć zauważyła u siebie podobne uniesienie. Nie potrafiła wyrazić słowami tego czegoś, co ją przepalało od środka; wiedziała tylko, że chce więcej. Wtem jednak, bez ostrzeżenia, oszalałe usta odsunęły się od jej warg, a ona mimowolnie westchnęła w proteście. Powoli rozchyliła powieki i jej źrenice starły się z rozżarzonymi tęczęwkami pałającymi żądzą przemieszana z furją.

– Widzę, że jesteś głucha – wymamrotał Robert bez tchu. – Czy cię właśnie nie ostrzegłem przed starszymi mężczyznami, którzy wykorzystują niedoświadczone dziewczyny?

Lian, jakby była pod działaniem uroku, położyła sobie końce palców na ustach, nieco poturbowanych gwałtowną pieszczotą, i odpowiedziała urywanym szeptem:

– Chcę... chcę więcej.

Robert na kilka sekund zatonął w tych głębokich, szczyrych jeziorach, które nie potrafiły niczego ukrywać, a jego ciało i sumienie toczyły zacieklą walkę. W końcu wygrało to drugie i z jękiem udręczenia odepchnął od siebie dziewczynę.

– Idź stąd, zanim dam ci to, o co prosisz.

Na jego twarzy malowało się takie wzburzenie, że Lian natychmiast wstała i chociaż nie umiała zapanować nad drżeniem nóg, czym prędzej wyszła z pokoju.



Następnego dnia naukowiec był w humorze pod psem. Prawie przez całą noc przewracał się na łóżku i gniótł pięścią poduszkę, powtarzając sobie, że potrzebuje kobiety. Diabeł, którego miał w sobie, podszeptował podstępnie, że przecież ją ma, najwyraźniej chętną, kilka metrów od swojej sypialni. Ale mimo że pokusa była prawie nie do odparcia, nie uległ jej. Uwieść Lian, mówił sobie, to byłoby jak odebrać dziecku lizak. Przyznawał, że bardzo go kusi, by zostać pierwszym mężczyzną w życiu jakiejś kobiety, faktem jest, że nigdy nie miał do czynienia z dziewczicą. Sam stracił dziewictwo w wieku piętnastu lat z dziewczyną starszą od siebie o trzy lata, a niezliczone kobiety, z którymi potem sypiał, były doświadczonymi kochankami, które dobrze się znały na rzeczy i nie oczekiwały od niego więcej, niż mógłby im dać.

Poddać się pokusie byłoby łatwo, martwiło go jednak, co działałoby się potem. Czy te wielkie niebieskie oczy patrzyłyby na niego z wyrzutem? Z bólem? Z nienawiścią...? I jak powinien się zachowywać później? Czy byłby zobowiązany zrobić to właściwie i ożenić się z nią, bo ją wykorzystał, mając większe doświadczenie, a następnie męczyć się przez resztę swoich dni z żoną, której nie chce? Odstawić ją na bok, żeby potem przechodziła z rąk do rąk? Można się było spodziewać, że po uchyleniu okresu ochronnego panna Zhao porzuci absurdalny pomysł wstąpienia do klasztoru. Wyobrażając ją sobie w ramionach innego mężczyzny, zauważył, że na czoło występuje mu zimny pot, i potrząsnął głową, bezskutecznie próbując się uwolnić od tego nieprzyjemnego wrażenia.

„Nie!” – poprzysiął sobie w tym momencie. Pozwoli, żeby zachowała niewinność, choćby się musiał poddać wstrętnemu reżimowi zimnych pryszniców branych kilka razy dziennie. Był pewien, że Francis Kane może jej zaoferować znacznie więcej niż on sam, i byłby prawdziwym sukinsynem, gdyby nie ustąpił mu pola. Przynajmniej raz nie zachowa się egoistycznie; bądź co bądź wystarczająco ceni sobie pannę Zhao.

Podjąwszy tę stanowczą decyzję, wyskoczył z łóżka, mimo że dopiero świtało. Następnie wziął jeden z tych zimnych pryszniców i zszedł do kuchni, gdzie zrobił sobie kawę i sięgnął po jedną z pysznych domowych bułeczek, które Nella zwykle trzymała w puszcze. Pochłonął to proste śniadanie i zamknął się w swojej wieży na resztę dnia, aż gospodyni posłała po niego Piera z wiadomością, że goście wyjeżdżają.

Zszedł, by się pożegnać z Charlesem, i sztywno uściskał rękę drugiemu mężczyźnie. Co

ciekawe, nigdzie nie było widać Lian. Robert zdziwił się bardzo, że nie przybiegła pożegnać się ze swym ukochanym szefem. Zaintrygowany, zastanawiał się, co się stało, i postanowił sprawdzić.

Po długich poszukiwaniach znalazł ją siedzącą na skraju strumyka przecinającego polankę, na której zwykle trenowali. Trzymała w ręce patyk i kreśliła nim tajemnicze kręgi w czystej wodzie potoku. Była tak zatopiona w myślach, że nie zauważyła jego obecności, aż stanął obok niej. Słyszając go, zaskoczona, zerwała się na równe nogi.

– Spokojnie, nie chciałem cię wystraszyć. – Uprzejmym gestem wskazał, żeby z powrotem usiadła, i sam spoczął obok niej.

Zauważył, że jej policzki, normalnie blade, są lekko zaróżowione, lecz ona zaraz odwróciła głowę w stronę strumienia, jakby nie chciała, by widział jej twarz.

– Co się stało, Lian?

– Nic. – Uparcie wbijała wzrok w tworzące się wśród kamieni małe wiry.

– Daj spokój, uparta lipo, ojcu Robertowi możesz bez obaw opowiedzieć, co gnębi twoją biedną udręczoną duszę.

– Nie jesteś księdzem.

– Co ty powiesz! Cóż za błyskotliwość, że zauważyłaś.

Niecierpliwie wyciągnął rękę, chwycił ją za podbródek i zmusił, by przekreśliła twarz w jego stronę, choć Lian wciąż nie patrzyła na niego.

– Spójrz na mnie – rozkazał.

W końcu podniosła wzrok i Robert dostrzegł, że się zaczerwieniła jeszcze mocniej. Badawcze spojrzenie naukowca zatrzymało się na jej lekko podrażnionych ustach i nagle poczuł, że go zalewa mordercza wściekłość.

– Powiedz mi, co się stało! Czy ten sukinsyn miał czelność cię całować?

– Nie nazywaj go tak! – Pośpiesznie stanęła w obronie szefa.

– Pocałował cię?! – Palce Roberta zacisnęły się na jej ramionach i potrząsnęły nią lekko.

– Puść mnie, bo źle się to dla ciebie skończy – zagroziła, coraz bardziej wściekła.

– Pocałował cię?! – powtórzył, teraz krzycząc.

Lian wzruszyła ramionami i przyznała:

– Tak.

– Co się z tobą dzieje? – Znów nią potrząsnął. – Przez dwadzieścia sześć lat nie pozwalasz się nikomu dotknąć, a teraz wygląda na to, że może to robić każdy. Mój Boże, stworzyłem potwora! Czy można wiedzieć, co mówią na tę okoliczność zasady klasztoru Szaolin?

– Mówią tylko, że jeśli chodzi o pożądanie seksualne, trzeba się zachowywać rozsądnie. Nie uważam, żeby brakowało mi moralności. W porównaniu z tobą albo z moją byłą klientką, która co tydzień zapraszała do swojego łóżka innego mężczyznę, wciąż jestem jak święta – odpowiedziała ze złością.

– Nie wiedziałem, że święte całują się z pierwszym lepszym typem, który pojawi się w domu – mruknął uszczypliwie.

Lian uwolniła się z jego rąk i miotając oczami iskry, rzuciła wyzywająco:

– A co cię to obchodzi? Ty też mnie pocałowałeś.

– I dlatego teraz myślisz, że możesz się całować z byle kim!

Rozmowa zaczęła przybierać absurdalny obrót, a Robert wychodził z siebie. Na szczęście byli na tyle daleko od domu, żeby nikt nie słyszał ich głosów.

– Nie tylko to się wydarzyło!

– W takim razie co zaszło?! Gadaj!

Lian spuściła głowę, nie mogąc podnieść wzroku.

– Powiedział... powiedział mi, że jest we mnie zakochany – wyszeptała w końcu.

Chociaż zaledwie kilka godzin temu Robert postanowił, że ustąpi pola Francisowi Kane'owi, jej słowa wywołały w jego piersi dziwny ucisk.

– A ty? Co ty do niego czujesz?!

– Nie wiem! I przestań na mnie krzyczeć! – odpowiedziała wściekła.

Przesunął sobie długimi palcami po ciemnych włosach, próbując się uspokoić, i zapytał ponownie, tylko łagodniejszym tonem:

– Jesteś zakochana we Francisie Kanie?

– Nie mam pojęcia, co to znaczy być zakochaną. Francis to mój przyjaciel, bardzo go cenię, ale nie wiem, czy to jest miłość. Dlatego pozwoliłam, żeby mnie pocałował. – Lian wykręcała sobie palce. – Chciałam... chciałam sprawdzić, czy poczuję to samo, co z tobą.

– I jak? – Próbował udawać obojętność, lecz zauważył, że ręce mu drżą.

Lian przecząco pokręciła głową.

– Było miło, ale ani śladu tych dziwnych wrażeń, które mnie nachodzą, kiedy całuję się z tobą.

Przez chwilę Robert doświadczał prawie niepowstrzymanej potrzeby, żeby odrzucić głowę do tyłu i z rykiem triumfu walić się pięściami w pierś; zdołał się jednak opanować i nie spuszczać wzroku z tych pięknych tęczówek, w których nie było miejsca na złośliwość czy udawanie, rzekł:

– Cóż, nie ma w tym nic dziwnego, w końcu jestem pewien, że moje doświadczenie na polu kobiecych potrzeb jest znacznie większe niż tego twojego świętoszkowatego przyjaciela. – Nawet dla niego samego własne słowa brzmiały obrzydliwie zarozumiale. Jednak bez najmniejszego wyrzutu sumienia dodał: – Posłuchaj mnie dobrze, Lian. Nie możesz próbować w ciągu kilku dni nadrobić tego, co traciłaś przez wiele lat, zatem koniec z całowaniem się z każdym, kto się nawinie, żeby stwierdzić, co czujesz. To nie jest dobre dla zdrowia psychicznego.

Spojrzała na niego rozszerzonymi oczami, ale zapytała tylko:

– A ty? Pocałujesz mnie jeszcze?

– Chciałabyś, żebym cię pocałował? – szepnął ochryple.

Kiwnęła głową.

– Dobrze więc. Zrobię to znów w ramach twojej edukacji. – Zastanawiał się, kogo, u diabła, oszukuje, ale Lian w swojej niewinności najwyraźniej przyjęła to dosłownie. – To będzie kolejna lekcja. Unieś głowę.

Natychmiast zrobiła, o co poprosił, a przy tym zamknęła powieki i rozchyliła usta. Na ten widok zalała go niepowstrzymana fala czułości i obiecał sobie, że nie zrobi jej krzywdy. Będzie się cieszył tą upajającą naiwnością, ale tylko troszeczkę, nie tracąc kontroli. Jeden pocałunek i tyle.

Dziesięć minut później podniósł głowę, dysząc niczym ranny byk i popatrzył na nią, jak gdyby nie wiedział, dlaczego Lian leży na trawie, a on na niej, przygniatając ją swoim ciałem. Tym razem jej ręce nie pozostały bez ruchu, ale z entuzjazmem gładziły go po plecach i piersi i te niezdarne pieszczoty sprawiły, że się zupełnie zapomniał, za nic sobie mając dobre intencje i myśląc tylko o tym, by ją posiąść.

– To... To się zamienia w... w bardzo niebezpieczny zwyczaj – wysapał, po czym dodał: – Od dziś już więcej cię nie pocałuję.

Lian nawet nie próbowała ukryć rozczarowania i widząc to, Robert musiał się powstrzymać nadludzkim wysiłkiem, by znów się nie rzucić na jej zachęcające usta. Aby uniknąć kolejnych pokus, wstał i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej też się podnieść.

– Nie powinnaś być taka łatwa do przejrzania, kusząca jarzębino, jest mi przez to bardzo trudno. Musisz się nauczyć ukrywać swoje uczucia, nie możesz tak chodzić z sercem na dłoni. Większość kobiet to ekspertki od hipokryzji i udawania.

– Postaram się tego też nauczyć. – Słyszac to, naukowiec chciał zaprotestować, ale nie dała mu dojść do słowa: – Tak się składa, że bardzo dobrze całujesz.

Ubawiony, przyjrzał się wymownej twarzy, która się ku niemu zwracała.

– Pochlebiasz mi. Taka opinia z ust ekspertki... – odparł z kpiną.

Kąciki ust Lian uniosły się w lekkim uśmiechu zadowolenia, a psotne spojrzenie, które mu posłała, pozbawiło go tchu w piersi.

– Dobrze. Całowałam się już z dwoma mężczyznami. Dlatego mogę z pewnym znawstwem powiedzieć, że uważam twoją technikę za lepszą. Bardzo dziękuję za lekcję, Robercie Gaddi.

I zanim zdążył cokolwiek zrobić, żeby ją zatrzymać, zniknęła na zakręcie żwirowej dróżki, odprowadzana jego zdumionym spojrzeniem.

Rozdział 8

Znów przemierzali żwawym krokiem ulice Florencji i mimo że Lian wolałaby zatrzymać się i pooglądać dłużej niektóre budowle lub portale kościołów, Robert, trzymający ją mocno za łokieć, nie pozwolił na to.

– Nie wiem, czemu musimy tak pędzić! – zaprotestowała, rzucając tęskne spojrzenie na piękną marmurową fasadę kościoła Santa Croce, którą właśnie zostawiali za sobą.

– Nie mamy czasu, jest dużo do załatwienia – odpowiedział, nie puszczając jej ani nie zwalniając kroku.

– Już byliśmy na zakupach. Nie mam ochoty znów tego robić.

Lian prawie musiała biec, żeby dotrzymać kroku jego długim nogom, które mimo utykania poruszały się w szybkim tempie.

– Naprawdę jesteś wynaturzoną kobietą, panno Zhao. Powinnaś być w skowronkach! Tak czy inaczej nie zamierzam więcej dyskutować na ten temat. Za kilka tygodni masz uchościć za moją narzeczoną, a ja nie chcę narzeczonej, która całymi dniami chodzi w džinsach z włosami spiętymi w kucyk jak jakaś studentka. Chciałabyś też tak wyglądać podczas ceremonii wręczenia nagród?

Widząc, że opór na nic się nie zda, Lian nie fatygowała się z odpowiedzią i wkrótce potem Robert Gaddi zatrzymał się przed ekskluzywnym salonem piękności. Wyszła im naprzeciw dystyngowana kobieta nieco starsza od naukowca i Lian poczuła, że przewraca się jej w żołądku, kiedy kobieta przywitała się z nim jak z dobrym znajomym.

– Roberto, carissimo! Ile to już czasu.

– Angelino, co za radość znów cię widzieć!

Robert ze staroświecką galanterią pochylił się nad wierzchem jej dłoni, po czym przyciągnął ją do siebie i pocałował w oba mocno umalowane policzki. Gawędzili sobie przez chwilę, jakby Lian nie stała tuż obok, aż wreszcie naukowiec raczył zauważyć jej obecność i dokonać prezentacji.

– Angelino, przedstawiam ci pannę Zhao, wyzwanie, o którym ci mówiłem. Masz przeobrazić tę niejako nastolatkę w elegancką damę. Zostawiam ją w twoich rękach do czasu zamknięcia salonu. Pokryję koszty. Oczywiście to bardzo ważne...

Znów najwyraźniej nie licząc się z tym, że Lian jest przy tym obecna, zaczął coś szeptać do ucha znajomej.

– Rozumiem, caro.

Porozumiewawczy uśmiech, który pojawił się na czerwonych ustach kobiety, sprawił, że Lian zgrzytnęła zębami.

Robert odwrócił się, żeby sobie pójść, ale go zatrzymała, chwytając za ramię.

– Nie możesz iść beze mnie, Robercie Gaddi, jestem twoją osobistą ochroną! Pan Cassidy powiedział wyraźnie, że nie wolno mi cię odstępować ani na krok.

– Nie martw się o mnie, utrapiona czereśnio. Na zewnątrz czekają na mnie Harrelson i jego kumpel, a resztę dnia spędzę zamknięty na uniwersytecie z kolegą nudziarzem, który chce porozmawiać o paru sprawach, nie będzie mi więc groziło żadne niebezpieczeństwo.

Niecierpliwie strząsnął z siebie jej rękę i wyszedł, nie czekając na odpowiedź.

Przez witrynę salonu Lian dostrzegła plecy dwóch postawnych agentów, których Charles Cassidy wysłał do ochrony La Fortezzy, zatem nie miała innego wyjścia, jak westchnąć z rezygnacją i zwrócić się do kobiety, której ją powierzono.

– Cóż, kochana, nie musisz się martwić. Nie jestem kochanką bello Roberto – rzekła kierowniczką salonu z lekkim rozbawieniem.

Lian zauważyła, że się czerwieni jak burak, ale odpowiedziała z pozorną obojętnością:

– Kochanki pana Gaddiego nic mnie nie obchodzą. Zajmuję się tylko jego ochroną osobistą.

Kobieta, jakby tego nie usłyszała, prowadziła ją przez eleganckie wnętrza lokalu, nie przestając paplać. Zatrzymała się przed jedną z dyskretnych kabin i zaprosiła Lian gestem do wejścia.

– Kiedyś owszem, byliśmy. To znaczy kochankami. Mój drogi Roberto wie, jak zaspokoić

kobietę, bez dwóch zdań. – Szelmowsko puściła do niej oko. – Od kilku lat jestem szczęśliwą mężatką, mój mąż też jest wspaniałym kochankiem i cudownie mi się z nim żyje.

Lian mimowolnie odczuła ulgę, słysząc te słowa.

– Cóż, zobaczymy, co my tu mamy, kochana.

Pstryknęła włącznikiem i małą kabinę zalało oślepiające światło, a następnie wzięła dziewczynę pod brodę i uniosła jej twarz, przyglądając się jej badawczo.

– Bene, bene, bene, to jest to, co nazywam surową pięknoscią. Co za oko ma ten stary Roberto!

– Powtarzam pani, że Robert Gaddi jest dla mnie nikim. – Lian odsunęła jej rękę urażona.

– Lepiej nie próbuj oszukać starej Angeliny, kochana, zauważyłam, jak na niego patrzysz. Ale nie ma się czego wstydzić – dodała, widząc, że blade policzki znów zalewają się ciemną czerwienią. – Roberto Gaddi, choć kulawy, jest bell'uomo. Muszę przyznać, że to jeden z najatrakcyjniejszych mężczyzn, jakich znam. Jeden z tych udręczonych, bardzo męskich facetów, którzy nas, biedne kobiety, przyprawiają o gęsią skórę. – Angelina wybuchła wesołym śmiechem, jednocześnie sadzając Lian na wygodnym fotelu z białej skóry.

Mimo obaw dziewczyny dzień minął przyjemnie i całkiem szybko. Angelina paplała jak najęta, podczas gdy jedna z jej pracownic depilowała Lian brwi, nie zwracając najmniejszej uwagi na jej nieustające skargi. Później ta sama kosmetyczka nauczyła ją stosowania makijażu – jej zabawne wyjaśnienia oraz pikantne komentarze Angeliny sprawiły, że w kabinie raz po raz wybuchał śmiech – a następnie pod czujnym spojrzeniem szefowej ostrymi nożyczkami przycięła Lian włosy. Choć Angelina sprawiała wrażenie kobiety władczej, w głębi duszy była wspaniałą, dobrotliwą osobą i od samego początku postanowiła wziąć Lian pod swoje skrzydła.

Kiedy znajoma Roberta była zadowolona z ostatecznego rezultatu, zrobiły sobie przerwę, żeby w pobliskiej małej trattorii zjeść pyszną focaccię z pomidorami i mozzarellą z bawolego mleka, a następnie Angelina zabrała Lian do swojego ulubionego butik, gdzie wyjęła długą listę rzeczy, których zdaniem Roberta dziewczyna mogłaby potrzebować. W pewnym momencie Lian zauważyła, że właścicielka sklepu i Angelina oddaliły się nieco i zaczęły konspiracyjne szeptać. Była jednak zbyt znużona przymierzaniem ubrań, by się tym przejąć. Ustaliły, że wszystkie kupione rzeczy zostaną jak najszybciej wysłane do La Fortezzy, oprócz sukienki, którą Lian właśnie przymierzała i którą miała zostawić na sobie.

Kilka godzin później Robert wrócił po Lian, odesławszy swoich dwóch ochroniarzy z powrotem do zameczku. Wszedł do salonu piękności i rozglądając się dookoła, zapytał:

– Jak się udało, Angelino? Gdzie jest Lian?

– Spędziłyśmy fantastycznie dzień, caro. Trzeba przyznać, że Lian to słodziutka, zabawna dziewczyna. Jeśli mam być z tobą szczerą, nie pasuje do takiego konesera jak ty. Jest niewinna jak dzieciątko w żłobku.

Roberta uraziły jej słowa, ale próbował to ukryć.

– Lian to moja osobista ochrona, nie łączy nas nic seksualnego.

– Widać jak na dłoni, że jeszcze nie łączy was nic seksualnego, ale czy nie ma między wami romansu? – Przenikliwe spojrzenie przyjaciółki spoczęło na nim badawczo.

– Moja droga Angelino, do tej pory powinnaś mnie już znać nieco lepiej. Od kiedy to ja romansuję z kobietami? – Uniósł drwiąco brew.

– Odkąd rozstałeś się z Estelle, oczywiście, że nie romansowałeś z nikim, coś mi jednak mówi, że z delikatną panną Zhao mogłoby być inaczej.

Robert odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– Daj spokój, Ange, odkąd wyszłaś za Enza, wszędzie widzisz romanse, ale z przykrością cię rozczaruję: większa część światowej populacji nie ma takiego szczęścia jak ty. A teraz powiedz, gdzie jest Lian.

– Czeka na ciebie na piazza przy cappuccino. Biedaczka, wykończyły ją te zakupy.

Robert spróbował wyobrazić sobie energiczną Lian wykończoną, lecz mu się nie udało. Za to wspaniale potrafił sobie wyobrazić, jak dziewczyna fuka ze znużeniem, widząc, że musi przymierzać jedną rzecz po drugiej. Musiał przyznać, że ta kobieta bardzo się różni od pozostałych.

– Oczywiście jutro ci prześlę rachunek – dodała jego znajoma. – Ale ostrzegam: nie będzie tanio. Mam nadzieję, że uznasz rezultat za wart ceny.

– Ufam ci całkowicie, Angelino. Bardzo ci za wszystko dziękuję. – Ucałował ją w oba policzki i poszedł we wskazanym kierunku.

Bystre oczy Angeliny odprowadzały jego wysoką, postawną sylwetkę, a ona sama miała tak zadowoloną minę, że gdyby ją Robert zobaczył, wcale by mu się to nie spodobało.

Placyk był mały i pełen ruchu: dzieci bawiły się w berka na brukowanej powierzchni, spłoszone gołębie raz po raz podrywały się do lotu, na ławkach całowały się pary młodych ludzi. Robert skierował się w stronę przyjemnego tarasu, na którym liczni klienci popijali coś z kieliszków w ostatnich promieniach słonecznych tego pięknego dnia. Złociste oczy uważnie spoglądały na wszystkie siedzące tam osoby, ale nie znalazły wśród nich Lian.

Wtem jego uwagę przykuła jedna z kobiet, które wcześniej wykluczył. Ubrana była w beżową koszulową sukienkę dobrze leżącą na jej smukłym ciele i sięgającą nieco ponad kolana – dzięki czemu mógł z uznaniem przesunąć wzrokiem po odsłoniętych zgrabnych, elegancko skrzyżowanych nogach – i nowoczesne sandały w kolorze piasku, na obcasie. W końcu zdołał oderwać wzrok od tych długich nóg i jego spojrzenie powędrowało na twarz, która mimo częściowo skrywających ją dużych ciemnych okularów zdradzała urodę, podkreśloną krótkimi jasnymi włosami, dobrze wymodelowanymi z przodu i chwiejącymi się przy każdym najmniejszym ruchu właścicielki. Złote okrągłe kolczyki w jej uszach, fantazyjny naszyjnik i cicho pobrzękujący komplet cienkich bransoletek, również złotych, składały się na wrażenie, że to wyrafinowana modelka, która uciekła z okładki „Vogue’a” czy „Cosmopolitana”.

Robert, pełen niedowierzania, pomyślał, że ta piękna kobieta – która właśnie roześmiała się z czegoś, co powiedział atrakcyjny kelner, najwyraźniej wcale nieśpieszący się do obsługiwania pozostałych stolików – nie może być małą Lian. W głębi duszy wiedział jednak, że to ona. Rozpoznał te płynne gesty, ruch, którym delikatnie odgarniała złocisty kosmyk z twarzy i wtykała go sobie za ucho, nagły uśmiech, który raz po raz pojawiał się na jej kuszących ustach, odsłaniając małe białe zęby. Nie było wątpliwości: to Lian.

Naukowiec głęboko zaczerpnął powietrza i zdecydowanym krokiem ruszył w jej stronę. Udawał, że nie zwraca uwagi na przystojnego kelnera – który, zdaje się, uczył Lian wymawiania po włosku wszystkich pozycji z menu – pochylił się i lekko pocałował ją w usta błyszczące delikatnym odcieniem różu.

– Już jestem, kochanie. – A zwracając się do kelnera, rzekł: – Nie, dziękujemy, nic już nie zamawiamy.

Widząc jego mało przyjazną minę, młodzieniec natychmiast się odwrócił i poszedł obsługiwać inne stoliki.

Lian cieszyła się, że ciemne okulary skrywają jej pełne wyrazu oczy i pozwalają bez skrępowania przyglądać się mężczyźnie, który zajął miejsce obok niej. Jego pocałunek zupełnie ją zaskoczył i jak zawsze w zetknięciu z jego dotykiem puls jej gwałtownie przyspieszył.

– I co, jak oceniasz swoją narzeczoną? – Starła się, by to zabrzmiało jak w ustach wyrafinowanej kobiety, ale udało jej się sprawić tylko tyle, że Robert wygiął jedną brew w łuk.

– Nie podoba mi się, że mnie kokietujesz – odburknął.

Świeżo nabyta pewność siebie, podbudowana sukienką i nową fryzurą, prysnęła jak bańka mydlana.

– Nie podobam ci się? – Na jej widoczne rozczarowanie serce mu zmiękło. – Angelina powiedziała, że jestem bardzo ładna i że ta sukienka mi pasuje. W takim razie co za strata czasu. Mogliśmy pójść zwiedzić Palazzo Pitti albo konwent San Marco. Chciałabym zobaczyć Zwiastowanie Fra Angelica.

– Och, nie jest aż tak źle. Bez problemu ujdiesz za moją narzeczoną.

Własna podłość wprawiła go w lekkie zakłopotanie. Prawda była taka, że Lian wyglądała urzekająco; zawsze wiedział, że jest piękną, nigdy jednak nie wyobrażał sobie, że aż tak można to uwydatnić. Widząc ukradkowe zaciekawione spojrzenia rzucane przez większość otaczających ich mężczyzn, naukowiec zaczął się zastanawiać, czy się nie pomylił, przebierając kopciuszką za

księżniczkę. I te małostkowe myśli, bardziej pasujące do zazdrosnego sułtana niż do libertyńskiego Roberta Gaddiego, jeszcze mocniej osadziły mu się na sumieniu.

– Dobrze, chodźmy na kolację. Zarezerwowałem stolik w pobliskiej restauracji.

Ruszyli nieśpiesznie i przez cały czas Robert trzymał rękę opartą na jej krzyżu. Lian w zetknięciu z tą silną ciepłą dłonią coraz bardziej się denerwowała.

– Nie musisz mnie trzymać. Umiem chodzić sama.

Zrobiła ruch, by się od niego odsunąć, ale Robert jej na to nie pozwolił i z jeszcze większą siłą przyciągnął ją do swojego boku.

– Zaczniemy już teraz udawać, że jesteś moją narzeczoną, żebyś się przyzwyczaiła – rzekł zdecydowanym tonem.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Z jednej strony takie były rozkazy Charlesa Cassidy’ego, człowieka, który ją wynajął. Z drugiej jednak do tej pory zdążyła się aż za dobrze przekonać, że taka bliskość z Robertem Gaddim jest niezwykle niebezpieczna dla jej spokoju ducha.

Restauracja była mała i bardzo romantyczna – z niedużymi stolikami i nastrojowym oświetleniem płonących świec – a jedzenie wyśmienite. Naukowiec przez cały wieczór zachowywał się bardzo uprzejmie; z niespotykaną do tej pory grzecznością zasugerował Lian danie z makaronem i warzywami, które okazało się przepyszne, i w trakcie rozmowy nie poczynił ani jednej opryskliwej uwagi, mimo że pod nachmurzonymi brwiami złociste oczy wciąż spoglądały na nią z przedziwnym wyrazem. Taka układność zbijała ją z tropu, aż kiedy skończyli już deser i delektowali się każde swoim napojem – on kawą, a ona herbatką – Lian nie mogła się powstrzymać od komentarza:

– Naprawdę jesteś dziś bardzo dziwny. Zachowujesz się tak przy każdej narzeczonej?

– Niby jak? – Jeszcze bardziej namarszczył czarne brwi.

– No tak... miło, uprzejmie... Robertem Gaddim wydajesz się tylko wtedy, kiedy patrzysz, jakbyś był o coś na mnie zły.

Rozbawiła go jej uwaga i nie zdając sobie z tego sprawy, załagodził swoją odpowiedź jednym z tych pociągających uśmiechów, które w brzuchu Lian wywoływały dziwne efekty.

– A co? Wolałabyś, żebym sypał kopniakami, masochistyczna daglezjo?

W odpowiedzi tylko delikatnie wzruszyła ramionami. W trakcie kolacji Robert nie mógł nie zauważyć naturalnego wdzięku, z jakim Lian nosiła swój nowy strój. Wyglądało na to, że robi to nieświadomie – w przeciwieństwie do innych kobiet nie zerknęła w każdą mijaną lustrzaną taflę, żeby poprawić sobie włosy czy ubranie – i to nadawało jej wyjątkową naturalność. Ta młoda osóбка wychowana w tak dziwny sposób, którą mistrz znalazł na ulicy posilającą się odpadkami, miała wrodzoną elegancję, jakiej brakowało wielu damom z wyższych sfer. Znów zastanowił się nad tym, kim byli rodzice Lian Zhao, i poprzysiągł sobie, że nie spocznie, dopóki nie dowie się o niej wszystkiego.

Nagle naszła go ochota na psotę, wyciągnął więc rękę i położył ją na jej leżących na obrusie palcach. Lian próbowała je odsunąć, ale on znów jej na to nie pozwolił.

– Nie musisz być zaraz taka wystraszona. Narzeczeni co chwila dotykają się z czułością – zapewnił, opuszkami kciuka kreśląc na jej delikatnej skórze nadgarstka zapętlone wzory.

Lian zauważyła, że brakuje jej tchu, ale zdołała odpowiedzieć, panując nad drżeniem głosu:

– Denerwuję się tym.

To szczere wyznanie sprawiło, że z dumą wypiął pierś, a złociste oczy sypnęły rozżarzonymi iskrami, wpatrując się w jej tęczołki.

– Cóż, bardzo cię przepraszam. Powinnaś jednak wiedzieć, że dla wiarygodności będę zmuszony od czasu do czasu pocałować cię publicznie.

Lian odruchowo zatknęła sobie jeden z miękkich jasnych kosmyków za ucho i mimowolnie rozchyliła prowokująco usta, nieświadomie wysyłając zaproszenie. Na ten widok serce załomotało ogłuszająco w jego piersi. Mimo że ich ciała stykały się jedynie palcami na stole, skrzydełka jego arystokratycznego nosa rozchyliły się w odpowiedzi na trudny do zniesienia ładunek erotyczny tej na pozór niewinnej sceny.

– Życzą sobie państwo jeszcze czegoś?

Głos kelnera z miejsca zburzył nastrój chwili. Robert puścił jej rękę i Lian odzyskała mniej więcej normalny oddech.

Po zapłaceniu rachunku wyszli z restauracji i nie poruszając w rozmowie drażliwych tematów, nieśpiesznym spacerem zmierzali w stronę parkingu, na którym Robert zostawił samochód – nieco dalej niż ostatnim razem. Kiedy się oddalili od centrum, ulice zrobiły się bardziej odludne i ciemne, a ich kroki głośno rozbrzmiewały na chodniku.

Nagle rozległ się ogłuszający ryk silników o uszkodzonych wydechach i drogę zagroziły im trzy vespy, każda z kierowcą i pasażerem. Sześciu typków w dresach i ciemnych bluzach z kapturem zsiadło ze skuterów i stanęło przed osaczoną parą. Lian, widząc ich niezbyt pokojowe zamiary, natychmiast wysunęła się przed swojego klienta, pośpiesznie uwolniła się od sandałów na obcasie i rzuciła na ziemię torebkę.

– Jaka wyrywna! Nawet nie musieliśmy o nic prosić! – rzucił na to szyderczo jeden z oprychów.

Palce Roberta zacisnęły się na lasce, gotowe w każdej chwili rozbić głowę pierwszego zbira, który się zbliży.

– Lepiej się stąd zabierajcie, zanim któryś zostanie ranny – ostrzegł naukowiec groźnie.

Ten wyglądający na przywódcę, wielki, z wydatnymi mięśniami zaznaczającymi się pod obcisłym bawełnianym ubraniem, zarechotał głośno, a reszta poszła w jego ślady. Wtem nagła wesołość urwała się jak nożem uciał i przywódca rzekł tonem pogrożki:

– Przyjacielu, nikt nie musi zostawać tu ranny. Chcemy tylko, żebyście nam dali wszystko, co macie przy sobie cennego, chociaż... – Jego wzrok prześliznął się taksująco po smukłym ciele i odsłoniętych nogach Lian. – ...interesowałyby mnie również rozmowa na osobności z tą piękną damą.

Banda znowu ryknęła śmiechem, a kilku gorliwych wulgarnym gestem potarło sobie krocza.

– Chodź, śliczna blondyneczko, pójdiesz z tatusiem – zachęcił przywódca, kiwając na Lian palcem.

Ona jednak nie ruszyła się z miejsca. Stała z lekko ugiętymi kolanami i rękami uniesionymi na wysokość twarzy.

Widząc postawę obronną dziewczyny, Robert boleśnie odczuł w piersi obawę o to, co może się jej przydarzyć. Widział, jak Lian porusza się na treningach, tu jednak nie było udawania, a tych sześciu oprychów, wielkich jak szafy, wyglądało, jakby ją mogło zjeść na śniadanie. Bezsilny, mocniej zacisnął dłoń na lasce.

– Nico, przyprowadź mi ją. Chcę jej się przyjrzeć z bliska.

Oprych nazwany Nikiem podszedł do Lian, wyciągnął rękę, żeby ją chwycić, i od tego momentu wszystko potoczyło się w takim rytmie jak w scenach walki z filmu akcji. Zanim zbir zdążył jej dotknąć, Lian sprawiła, że zwałił się na chodnik, jęcząc z bólu.

Widząc swojego kumpla na ziemi trzymającego się za przedramię, z którego dłoń zwisała pod dziwnym kątem, reszta bandy rzuciła się na parę z rykiem wściekłości. Robert z podziwem patrzył, jak Lian obraca się wokół własnej osi niczym wir tornada, w nieprzerwanym ciągu rozdając kopniak za kopniakiem i cios za ciosem, aż czterech napastników wzięło nogi za pas i uciekło, a dwóch pozostało na wilgotnej jezdni, jeden zwijający się z bólu ze złamanym nadgarstkiem, a drugi nieprzytomny po otrzymaniu silnego ciosu w głowę.

Nie mogąc się powstrzymać, Robert otoczył Lian ramionami i z całej siły przytulił do piersi.

– Dobra robota, nieustraszona oliwko! – pogratulował jej z entuzjazmem.

Po kilku sekundach zauważył, że dziewczyna się wierci, by się uwolnić, i nieco rozluźnił bolesny uścisk. Podniosła twarz i spojrzała na niego z niepokojem, gorączkowo obmacując mu pierś i ramiona.

– Jak się czujesz, nic ci nie jest, Robercie Gaddi?

Czuł się lepiej niż dobrze, był kompletnie oczarowany sceną, w której ta drobna kobietka obroniła go niczym lwica. Ledwie miał czas pozbyć się jednego z napastników, waląc go laską w nos, gdy zaraz Lian skończyła z pozostałymi. Chciał ją objąć ponownie, gdy nagle jego oczy spoczęły na przodzie jej sukienki.

– Jesteś ranna!

Lian zerknęła w dół zaskoczona i widząc materiał rozdarty tuż nad piersią, nie mogła się powstrzymać od przekleństwa.

– Dlaczego zawsze muszą cię atakować, gdy po raz pierwszy mam na sobie nowe ubranie? – pożałowała się wściekła.

Lecz on zdawał się nawet tego nie słyszeć. Drżącymi palcami zaczął rozpinać sukienkę, co wywołało z jej strony słaby sprzeciw. Próbowwała odepchnąć jego ręce.

– Spokojnie! – rozkazał oschle. – Pamiętaj, że choć nie prowadzę praktyki w gabinecie, jestem lekarzem.

Rozchylił jej ubranie, odsłaniając ramię i lewą pierś, ukrytą we frywolnym koronkowym staniku. Nóż jednego z napastników zostawił na kremowej skórze brzydkie zadrapanie i naukowiec przyjrzał mu się z uwagą.

– Zdaje się, że to nic wielkiego. – Głębokie poczucie ulgi sprawiło, że jego słowa zabrzmiały bardziej surowo, niż zamierzał. – Opatrzę ci ranę, kiedy przyjedziemy do domu.

– Nie trzeba. Prawie wcale nie boli.

– Nie dyskutuj!

Zirytowana Lian wzruszyła ramionami. Nie rozumiała, dlaczego ten denerwujący mężczyzna wydaje się na nią taki wściekły, bądź co bądź dopiero co skutecznie go obroniła i w ogóle nie ucierpiał w napaści.

W końcu dotarli do parkingu i kilka minut później wyjechali z niego czarnym sportowym samochodem. Cisza, jaka panowała w pojeździe, stała się przytłaczająca i Lian wreszcie przerwała ją, pytając:

– To nie byli ci, którzy chcą cię zabić, prawda?

– Wyglądali na zwykłą bandę złodziei.

Pomyślał o tym, co ci „zwykli złodzieje” mogli zrobić Lian, i mocniej zacisnął ręce na kierownicy, marząc, żeby to były ich gardła. Zerknął na nią kątem oka; była taka spokojna, jakby właśnie walczyła nie z sześcioma dwa razy od niej większymi zbirami, tylko z gromadką rozkrzyczanych dzieci ze żłobka.

Nagle przypomniał sobie, jak zakłęła, kiedy odkryła, że ma podartą sukienkę, i zupełnie wbrew sobie musiał się uśmiechnąć. Trzeba przyznać, że panna Zhao jest nie tylko zabójczą bronią, lecz także niezwykle dzielną osobką i zabawną, i ładną, i... i nie wiedział, jak długo jeszcze zdoła nad sobą panować.

Jego uśmiech nie uszedł jej uwagi, ale zanim zdążyła poczuć choć odrobinę ulgi na myśl, że w rzeczywistości nie jest na nią zły, Robert ponownie ściągnął usta w grymasie niezadowolenia i wyrwało się jej westchnienie.

Krótko potem zaparkował auto na brukowanym dziedzińcu, a kiedy wysiedli, chwycił ją za ramię i bez słowa pociągnął za sobą do biblioteki. Ogień, który Nella jak zwykle rozpałała w wielkim kominku po zapadnięciu wieczoru, wciąż palił się żywo i Lian była wdzięczna za ciepło. Naukowiec bez najmniejszej kurtuazji posadził ją w fotelu i kazał jej czekać, nie ruszając się stąd, aż on wróci z apteczką.

Lian posłusznie siedziała, wpatrując się w fascynujący taniec płomieni na palenisku, a jednocześnie rozpatrywała w myślach atak, którego padli ofiarą. „Może powinnam była bardziej uważać?” – rozmyślała. Miły wieczór, który spędziła z klientem, w jakiś sposób osłabił jej czujność. W Robercie Gaddim było coś, co jej kazało zapomnieć o powodzie jej obecności u jego boku, ale obiecała sobie, że więcej już nie pozwoli, by rozpraszało to jej uwagę.

Ze smętnych rozmyślań wyrwało ją przybycie naukowca niosącego metalową skrzyneczkę z symbolem czerwonego krzyża na jednym z boków. Robert, z twarzą bardziej zaniepokojoną niż kiedykolwiek, usiadł obok niej i bez słowa, ze zręcznością, która sprawiła, że Lian zastanowiła się nad tym, ile tysięcy razy robił to już w życiu, rozpiął jej sukienkę do pasa, odkrywając ramię i pierś w biustonoszu. Choć tym razem, zauważywszy, że naukowiec ostro wciągnął powietrze, mimowolnie się zaczerwieniła.

– Spokojnie. – Próbował załagodzić emocje, mimo że jego własne palce, przemywające ranę wacikiem zamoczonym w roztworze jodu, wyraźnie drżały.

W przeciwieństwie do poprzedniego razu, teraz nie umknęła mu prowokująca, skąpo zakrywająca ciało bielizna. Odłożył wacik na stół i wstrzymując oddech, powoli ześliznął wąskie ramiączko po jedwabistej skórze jej ramienia, aż pierś, biała i delikatna, o mało nie wyskoczyła z ciepłej miseczki. Nie mogąc się opanować, jeszcze bardziej uchylił zwiewną koronkę i różowy sutek uniósł się w sterczącym wyzwaniu, któremu Robert nie potrafił się oprzeć; z jękiem ujął jej małą pierś w dłoń i przysunął ją sobie do ust.

Czując na piersi wilgoć tych zachłannych ust, Lian pomyślała, że zaraz wybuchnie i rozpadnie się na tysiące okruchów. Rozogniona, wygięła plecy i zamknęła oczy, skupiona na tym punkcie, który rozpalał jej ciało tysiącem płomieni naraz, a jednocześnie uniosła ręce i zatopiła place w ciemnych włosach, jak pragnęła tego wcześniej po tysiącokroć, i przyciągnęła go jeszcze do siebie.

Gorące usta, które zamieniły ją w bezwolną istotę, zostawiły w końcu jej pierś i powoli, bardzo powoli pięły się miękką ścieżką pocałunków przez ramię i obojczyk na szyję, ponownie krzesząc miriady iskier, wzniesających nieznany pożar między jej udami. Była tak rozpalona, zupełnie zagubiona we wszechświecie płomiennych, nowych dla niej wrażeń, który się przed nią otworzył, że ledwie miała świadomość tego, co mówi Robert.

– Lian, Lian... – jęczał udręczony z ustami przy jej gardle. – Musimy... musimy przestać.

Ale wbrew własnym słowom czuł się niezdolny do oderwania ust – które dokładnie w tym momencie zostawiały ślad leciutkich przygryzień na delikatnej skórze jej szyi – a do tego doszła jeszcze zdradziecka ręka, najwyraźniej zbuntowana przeciw rozkazom mózgu, i wsunęła się pod sukienkę, by bardzo powoli wędrować w górę nagiego uda, doprowadzając dziewczynę do szaleństwa.

Wobec tego nowego, niespodziewanego ataku oddech Lian zamienił się w nieregularne dyszenie. Robert podniósł głowę i na widok jego własnej namiętności odbijającej się w jej zarumienionej twarzy złociste kocie oczy rozbłysły dzikim pożądaniem.

– Jesteś przepiękna!

Schrypnięty męski głos przyprawił ją o gęsią skórę i tym razem usta naukowca rzuciły się na nią gwałtownie, co mocno kontrastowało z delikatnością natarczywych palców, które teraz przez bieliznę pieściły sam środek jej jestestwa. Śmiałe pieszczoty wywołały u niej mocny dreszcz i z ustami przyklejonymi do jego ust wyszeptwała:

– Robercie Gaddi...

Słyszając swoje imię wypowiedziane z taką słodyczą, bez cienia wątpliwości wiedział, że Lian właśnie oddała mu się całkowicie, i ta myśl zaślepiła go do tego stopnia, że zupełnie zapomniał o wszystkim, co nie było tą jedwabistą skórą i tymi ustami podatnymi na jego pieszczoty. Pod wpływem niemal nieopanowanego podniecenia zaczął palce o gumkę majtek i zaczął je powoli zsuwać z jej bioder.

– Signor Roberto, potrzeba czegoś jeszcze?

Głos Nelli, wyraźnie pobrzmiwający oskarżycielską nutą, wytrącił go ze stanu ślepej namiętności. Przeklinając, Robert podniósł się na przedramionach.

– Czego ty, u diabła, chcesz o tej porze, Nello?!

Rozwścieczony utkwiał spojrzenie w twarzy gospodyni, która patrzyła na niego wyzywająco.

– Chciałam tylko zapytać, czy pan i panna Zhao nie potrzebują czegoś jeszcze.

Kobieta stała twardo w drzwiach mimo niemal diabolicznego wyrazu twarzy pracodawcy.

Robert spuścił wzrok i ujrzał, że Lian, zawstydzona, opuściła sukienkę możliwie najniżej i teraz drżącymi palcami próbuje ją sobie zapiąć. Zaślepiiony gniewem wobec tak niefortunnego wtargnięcia, czując jeszcze bolesniejsze pulsowanie w kroczu, krzyknął:

– Wynos się stąd, Nello, nie twoja sprawa!

– Oczywiście, że moja sprawa, signore – odparła bardzo poważnie. – Lian jest bardzo młoda i nieobyta w świecie, nie ma też matki ani przyjaciół, którzy by nad nią czuwali. Gdyby był pan miłym chłopcem o dobrych intencjach, nie wtrącałabym się, ale zupełnie nie znam w tej chwili pańskich intencji.

– Nie muszę się z niczego tłumaczyć swojej gospodyni!

Gniew tryskający ze złocistych oczu onieśmieliłby każdego innego, ale nie Nellę, która opatrywała Robertowi ranki, gdy był mały, i tyle razy go pocieszała, przytulając do swojej obfitej piersi. Jego humory nie onieśmiały jej w najmniejszym stopniu.

– Może nie musi się pan tłumaczyć prostej gospodyni, ale chciałabym wiedzieć, gdzie się podział honor rodziny Gaddich. Zamierza pan wykorzystać niewinność dziewczyny, żeby zaspokoić swoje najniższe instynkty? Pańscy szacowni przodkowie poprzewracaliby się w grobach!

Mimo melodramatycznego tonu Robert po jej słowach odzyskał nieco opanowania, które stracił, gdy Lian znalazła się w jego ramionach. Kipiąc gniewem, zerwał się raptownie i nie kłopotząc się zapinaniem koszuli – którą w pewnym momencie jedno z nich dwojga zapewne rozpięło, odsłaniając jego ciemny tors – złapał Lian za nadgarstek, gwałtownym ruchem wywindował ją na nogi i pchnął w stronę gospodyni.

Patrzył, jak dziewczyna z opuszczoną głową, jakby nie umiała na niego spojrzeć, kieruje się wolno do drzwi, i doświadczył głębokich emocji będących przemieszeniem zakłopotania i szału. Zły o te uczucia, do których kompletnie nie był przyzwyczajony, rzucił jedną ze swoich okrutnych uwag, starając się, by zabrzmiała jak najbrutalniej:

– Dobrze, Nello, wygrałaś. Możesz już zabrać dziewczynę. Nie martw się, jest nietknięta. Nie ucierpiała od tych kilku pocałunków. Obawiam się, że teraz, by sobie ulżyć, będę się musiał udać do najbliższego domu uciech. Tak to jest, gdy mężczyzna zadaje się z dziewczynami, zawsze go zostawia w połowie.

Lian, nawet nie spojrzawszy na niego, zniknęła za drzwiami.

Rozdział 9

Klasztor Szaolin, dwadzieścia lat wcześniej

Mali nowicjusze, ubrani w szafranowe tuniki i charakterystyczne pantofle z krzyżującymi się na łydkach czarnymi tasiemkami, trenowali na wielkim kamiennym placu przed główną fasadą świątyni pod czujnym okiem mistrza Chenga.

Na podobieństwo maleńkiego wojska ćwiczyli taolu – dość skomplikowaną choreografię składającą się z długiej sekwencji ruchów, to miękkich, stylizowanych, to znów silnych, porywczych. Wśród niemal trzydziestki gładko ogolonych chłopców wyróżniała się – niczym egzotyczny kwiat na irlandzkiej łące – sześćo- czy siedmioletnia drobna dziewczynka z długim warkoczem jasnych włosów spływających z czubka głowy niczym złoty strumień.

Chociaż mieszkała w klasztorze zaledwie od nieco ponad roku, mała Lian idealnie przystosowała się do tego twardego, pełnego wyrzeczeń życia. Mistrz Cheng obserwował ją, zadowolony z elegancji i pewności, z jakimi dziewczynka raz po raz powtarzała ruchy, aby osiągnąć naturalną płynność.

Dni w klasztorze Szaolin były długie. Zaczynały się o świcie i z wyjątkiem trzech posiłków – nieodmiennie złożonych z tofu, ryżu, pikantnych warzyw i kawałka jakiegoś owocu – po których następował krótki odpoczynek, oraz kilku godzin medytacji i nauki buddyjskich sutr, wypełnione były nieustającym trenowaniem kung-fu, aż do dziesiątej w nocy. Wieczorem mali nowicjusze padali wyczerpani na twarde drewniane prycze.

Rozległ się krótki, niski okrzyk mistrza – donośny, wyjątkowy dźwięk wzmacniający przepływ energii qi, a odpowiednio wyuczony pozwalający adeptom przebijać cegły ręką lub głową łamać włócznie – i uczniowie powtórzyli go. Następnie podzielili się na pary i przygotowali się do walki.

Wei, dziewięcioletni chłopak, bardziej przy kości niż pozostali, pobiegł, by stanąć naprzeciw Lian. Mistrz ledwie dostrzegalnie zmarszczył brwi, ale się nie odezwał. Na jego znak rozpoczęła się walka. Nowicjusze, odziani w pomarańczowe tuniki, poruszali się szybko i giętko jak płomień, wymierzając przeciwnikom ciosy nasadami dłoni i podbiciem stóp.

Nauczyciel z zadowoleniem obserwował, jak dziewczynka zręcznie unika ataków Weia, który na podobieństwo wołu – co zresztą oznaczało jego imię – był dość powolny i ociężały, ale przecież groźny. Mała, nieustannie wyślizgując się niczym piskorz – zdołała wymierzyć mu kilka celnych kopniaków w bok, aż się przewrócił. Niestety, w pewnym momencie wielka ręka chłopaka zacisnęła się na jej warkoczu i pociągnęła go z dużą siłą, aż dziewczynka poleciała na ziemię, gdzie przeciwnik zaczął ją okładać tak zapalczywie, że mistrz musiał ich rozdzielić.

– Dość, Wei! To jest trening, nie walka na śmierć i życie!

Migdałowe oczy młodzika z nienawiścią spojrzały na przeciwniczkę – leżącą na ziemi i przyciskającą sobie ręce do brzucha – po czym chłopak odwrócił się na pięcie i odszedł. Mistrz Cheng z niewzruszoną miną popatrzył na pobladłą twarz Lian, na strużkę krwi ściekającą z jej rozbitej wargi, na ból odbijający się w wielkich niebieskich oczach, i rzekł tylko:

– Wracaj na swoje miejsce. Kiedy skończymy, idź do izby chorych, to cię opatrę.

Lian w milczeniu kiwnęła głową, z trudem wstała z ziemi i kulejąc, wróciła na swoje miejsce.

Godzinę później znajdowała się w klasztornej izbie chorych i mocno zaciskała usta, żeby nie krzyknąć z bólu, kiedy nauczyciel zakładał jej szwy na naderwanej skórze głowy. Potem mistrz wziął czystą ściereczkę i przemył dziewczynce rozciętą, spuchniętą wargę. Gdy wreszcie skończył, Lian nie mogła już dłużej wytrzymać i wypaliła ze złością:

– To niesprawiedliwe, mistrzu Cheng! Nie wiem, dlaczego ja też, jak wszyscy inni, nie mogę zgolić sobie włosów. Przez ten warkocz mam mniej szans!

Nauczyciela nie po raz pierwszy zaskoczyło, jak świetnie Lian zdążyła opanować mandaryński. Kiedy ją przyprowadził do klasztoru, nie знаła ani słowa z tej mowy i nie odzywała się przez ponad

trzy miesiące, aż nagle język się jej rozwiązał i zaczęła mówić ze zdumiewającą dokładnością. Właściwie najwyraźniej całkiem zapomniała swojej ojczystej mowy.

– „Bez cierpienia nie ma nauki” – przypomniał jej tylko mentor po raz enty.

– Ale dlaczego muszę cierpieć bardziej niż pozostali? To niesprawiedliwe! Nie chcę być inna!

Zamrugła mocno, żeby zatrzymać łzy; jak gdyby zupełnie zapomniała o głównej zasadzie idei Szaolin: „Uczeń nigdy się nie ogląda za siebie i nie zadaje pytań. Wypełnia jedynie polecenia”. Mistrz jednak postanowił przymknąć na to oko.

– Jeżeli nie chcesz, żeby wół cię złapał i przygniół swoją siłą, musisz być od niego znacznie szybsza. Czy ci się to podoba, czy nie, wysmukła wierzbo, jesteś inna. Nigdy o tym nie zapominaj i nie wstydz się tego. A teraz idź do kuchni i pomóż obierać warzywa na kolację. Amitabha, niech Budda ci błogosławi.

Lian, widząc, że upór na nic się nie zda, skłoniła posłusznie głowę i odpowiedziała:

– Amitabha, mistrzu.



Przyjaciel Lian Hao szukał jej wszędzie, aż w końcu znalazł ją w Lesie Pagód. Z szeroko rozstawionymi nogami stała na dwóch z tych licznych kamiennie-ceglanych budowli, wspierając na nich stopy dwa metry nad ziemią i trzymając dłonie złączone na wysokości serca.

Hao usiadł na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i przechylił głowę, by na nią popatrzeć.

– Jak długo tu jesteś?

– Nie wiem. Słońce przez ten czas przesunęło się prawie o pięćdziesiąt.

– Słuchaj, Lian, chodź ze mną na ryby!

Nie przestając patrzeć przed siebie, odparła:

– Nie mogę, Hao. Muszę trenować. Nie pozwolę, żeby Wei znów stłukł mnie przy najbliższej walce. Zostanę najsłynniejszą mniszką wojowniczką wszech czasów.

Hao pobłażliwie spojrział na jej pełną zdecydowania twarz. Doskonale rozumiał przyjaciółkę. On też postanowił zostać jednym z tych mądrych i silnych wojowniczych mnichów, o których opowiadają legendy.

– No to złaż stamtąd, poćwiczmy razem.

Uśmiechnęła się na te słowa i niewiarygodnie zręcznym ruchem wybiła się w powietrze, zrobiła salto, po czym gładko wylądowała na ziemi na podszwach.



Kilka tygodni później na placu przed świątynią rozegrała się scena sprawiająca wrażenie déjà vu. Mistrz Cheng dał znak, by uczniowie dobrali się w pary i osilek Wei stanął przed Lian z drwiącą miną na okrutnych ustach. Lian, przeciwnie, zachowała obojętność i z twarzą zupełnie bez wyrazu czekała na rozkaz nauczyciela.

Kiedy zaczęła się walka, Wei rzucił się na dziewczynkę, gotów ją zgnieść na miazgę, lecz ona zręcznie robiła uniki i walnęła go w żebra kantem dłoni. Obolały i wściekły, wymierzył jej kopniaka, który gdyby dosięgnął celu, złamałby jej rękę lub żebro. Lian jednak przygięła się do ziemi, tak że jej nawet nie musnął, i w gnieniu oka wyprostowała się ponownie.

Pozostali chłopcy, przyciągnięci pojedyńkiem znacznie wykraczającym poza granice zwykłego treningu, zaprzestali swoich walk i dopingując bijącą się dwójkę, otoczyli ją kręgiem. Wei, widząc, że rozbudził oczekiwania, zacisnął usta, aż zamieniły się w ciekłą białą linię, jeszcze bardziej zdeterminowany, by wykończyć tę nic nieznaczącą, bezbarwną kreaturę, której nienawidził od pierwszego dnia, kiedy się pojawiła w klasztorze.

Przypomniał sobie, jak zdołał ją unieruchomić poprzedniego razu, i postanowił to powtórzyć. Szybkim ruchem podniósł rękę, żeby ją złapać za warkocz, rozhuśtany prowokacyjnie na delikatnej głowie, lecz Lian była jeszcze szybsza i odsunęła się, tak że Wei pod wpływem własnego impetu stracił równowagę, co ona wykorzystała, żeby go walnąć łokciem w plecy i obalić na ziemię. Chłopak ryknął z bólu, ale natychmiast wstał i ślepy z wściekłości, rzucił się na nią ponownie. Tym razem dziewczyna

nie zrobiła uniku – mocno wparła stopy w ziemię przed nim i w ostatnim momencie, gdy wszyscy kibicujący prawie już słyszeli chrupot drobnych kości kruszonych tą ludzką masą, wybiła się w powietrze i wywinęła salto, wymierzając mu przy tym potężny cios spodem stopy w żuchwę. Wei padł na ziemię na wpół przytomny.

Zapadła głęboka cisza, lecz zaraz potem na placu rozległy się entuzjastyczne okrzyki i wiwaty – w rzeczywistości koledzy niespecjalnie lubili małego zabijakę – a dwaj najlepsi przyjaciele oszołomionego Weia podnieśli go z wysiłkiem i pomogli mu dowlec się do izby chorych.

Poczawszy od tego dnia, Lian obnosiła się ze swoim długim jasnym warkoczem jak ze sztandarem i nie wahała się potrząsać nim wyzywająco przed wrogami.



La Fortezza, Włochy, obecnie

Nella odprowadziła Lian pod drzwi jej sypialni i już miała się z nią pożegnać, gdy zatrzymała ją pełne rozpacz słowa:

– On mnie nienawidzi, Nello.

Gospodyni wepchnęła dziewczynę do pokoju, weszła z nią i zamknęła drzwi.

– Nie nienawidzi cię, Lian. Dzisiejsze zdarzenie wynika z tego, że nawet on nie jest w stanie zrozumieć swoich uczuć. Jest wystraszony.

– Wystraszony? – Lian spojrzała na nią z niedowierzaniem.

Starsza pani usiadła na stojącej w nogach łóżka ławie i posadziła dziewczynę obok siebie, otaczając ręką jej ramiona. Lian oparła twarz o obfitą pierś gospodyni i poczuła się zadziwiająco pokrzepiona.

– Uwierz mi, znam signore Roberta bardzo dobrze. Jeśli nie potrafi trzymać rąk z dala od ciebie, dziewczyny bez żadnego doświadczenia, to dlatego, że podobasz mu się bardziej, niż byłby gotów się przyznać.

Lian pokręciła głową, bynajmniej nieprzekonana. Wydawało się jej oczywiste, że Nella próbuje ją pocieszyć, ona sama wyraźnie widziała jednak nienawiść wyczynającą z tych niezwykłych złocistych oczu, gdy on z pogardą rzucił jej w twarz słowa, które ją tak zraniły.

– Nie mam pojęcia, Nello, co się ze mną dzieje, kiedy mnie dotyka – zaczęła mówić miękkim głosem. – Czuję się wtedy tak, jakbym całe życie czekała na jego pieszczoty, nie wiedząc o tym. Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie pociągał mnie w najmniejszym stopniu, ale on... jest inny. Gdy mnie całuje, nie mogę ani nie chcę się oprzeć. Uwielbiam być z nim, jakby nigdy nie było mi dość. Podoba mi się, kiedy mnie uczy rzeczy, których dotąd nie znałam, gdy mi wyjaśnia libretto z opery, lubię nawet, kiedy żartuje z mojego imienia...

Twarz Nelli złagodniała.

– Powitaj to niepokonane uczucie zwane miłością, mała Lian – powiedziała z czułością. – Ja też go doznałam, gdy po raz pierwszy spotkałam mojego męża, i mimo że będzie już dziesięć lat, jak Bóg zabrał go do siebie, nie ma dnia, bym za nim nie tęskniła. Ale nie martw się, nie ma nic złego w tym, że takie są twoje uczucia. Miłość sprawia, że stajemy się lepsi.

Lian poczuła się pokrzepiona jej słowami i dalej próbowała wyjaśnić splątane emocje, które kłębiły się jej w piersi:

– Wiem, że takiego wyjątkowego mężczyzny jak on nie może pociągać taka kobieta jak ja, ale...

– Nie mów tak, Lian! – przerwała jej Nella stanowczo. – Jesteś jedyną taką kobietą na milion i nie powinnaś o tym zapominać.

– Ale nie jestem piękna jak Estelle ani elegancka, a moja niewiedza sięga szczytów gór. Jedyne, co umiem dobrze robić, to walczyć – powiedziała strapiona.

– Bzdury! Teraz mamy do opracowania strategię. Najwyższa pora, żeby ktoś usadził dumnego Roberta Gaddiego i pokazał mu jego miejsce – stwierdziła Nella z szelmowskim błyskiem w oku.

– Tyko że nie wiem jak. – Lian, zniechęcona, wzruszyła ramionami.

– Jeżeli chcesz zdobyć tego upartego, zgorzkniałego mężczyznę, idź za radami starej Nelli, rozumiesz?

Lian kiwnęła głową i gospodyni zaczęła jej wyjaśniać swój plan.



Mimo pogroźek, które rzucił, Robert wciąż siedział w swym ulubionym fotelu w bibliotece, obracając w dłoni szklankę z whisky z lodem. Uświadomił sobie, że znów zachował się jak sukinsyn. Jest zgorzkniałym dupkiem i wyżył się na kobiecie, która nie tylko dwa razy uratowała mu życie, lecz także jest jedyną istotą piękną zarówno z zewnątrz, jak i od środka, z jaką miał do czynienia od bardzo długiego czasu.

Gdy podniósł wzrok i napotkał pełne wyrzutu spojrzenie swojej gospodyni, dał się ponieść furii przede wszystkim dlatego, że w rzeczywistości dobrze wiedział: stara Nella miała rację; tylko pozbawiony skrupułów sukinsyn wykorzystuje kobietę mającą w sobie tyle zła co nowo narodzone kocię.

A jednak, chociaż tak źle się czuł sam z sobą, w głębi duszy żałował, że mu przerwano. Jeszcze go nie opuściło to olbrzymie podniecenie, którego doznał, pieszcząc tę dziewczynę. Wystarczyło, że pomyślał o oddaniu, z jakim wyszeptala jego imię tuż przy jego ustach, i znów twardniał jak kamień.

Boże, przez tę kobietę oszaleje z pożądania!

Było jasne i nie pomagało, że ta prostoduszna biedaczka zakochała się w nim, choć – mówił sobie – koniec końców to logiczne, że młoda, niewinna kobieta jak Lian poczuła pociąg do dojrzałego, znacznie bardziej doświadczonego od niej mężczyzny. Uczennice od niepamiętnych czasów zakochują się w nauczycielach. Wiedział jednak dobrze, że coś, co na początku było niczym więcej jak przelotnym zauroczeniem, jeśli zostanie pociągnięte dalej, na dłuższą metę może się okazać bardzo niebezpieczne.

„Niebezpiecznym dla kogo?” – zapytał drwiący głosik w jego głowie, lecz Robert nie miał ochoty mu odpowiadać.

Tym razem podejść do tego poważnie, przyrzekł sobie. Nie zamierzał zbliżyć się do tej niepokojącej dziewicy bardziej, niż to potrzebne, i kiedy będzie mógł, zada się z kobietą na wyrwyki znającą zasady tej pieprzonej gry. Za kilka tygodni polecą do Oviedo i co prawda wiedział, że będzie trudno udawać parę narzeczonych i sypiać w tym samym pokoju, nie dotykając dziewczyny, ale poprzysiągł sobie, że da radę. Panna Lian Zhao jest śmiertelną pułapką, a on postanowił unikać jej za wszelką cenę. Pociągnął spory łyk whisky, lecz ani alkohol, ani powzięte mocne postanowienie nie poprawiły mu nastroju.



Po burzliwej wieczornej scenie nie natknęli się już na siebie do śniadania. Robert nie wiedział, co spodziewał się ujrzeć na twarzy Lian, ale oczywiście nie sądził, że ją zobaczy promieniejącą szczęściem. Wczesnym rankiem przyjechały pudła pełne nakupionych wczoraj rzeczy i Lian nie mogła się oprzeć – wyciągnęła z paczek nowe ubrania. Włożyła białe krótkie spodenki, dzinsową bluzę z długimi podwijanymi rękawami i płaskie sandały z brązowej skórki. Nowe uczesanie wyjątkowo dobrze podkreślało piękno jej twarzy i Robert, bardzo z siebie niezadowolony, robił, co mógł, by stłumić w sobie gorącą iskrę pożądania.

– Cześć, Robercie Gaddi, dobrze spałeś? – zapytała go z szerokim uśmiechem.

Nie tylko nie odwzajemnił uśmiechu, ale też przyjrzał się jej podejrzliwie, próbując ocenić, czy nie ma jakichś ukrytych intencji.

– Doskonale, dziękuję – skłamał cierpko. W rzeczywistości przez pół nocy przewracał się bezsennie w pościeli.

Lian skupiła uwagę na wyśmienitych bułeczkach, które Nella przygotowywała co rano i które wystawiła gotowe do zjedzenia wraz z pyszną kawą na żelaznym stole w ogrodzie. Choć był już koniec września, wciąż panowało miłe ciepło i przyjemnie się jadło śniadanie pod gołym niebem.

Roberta drażniło, że dziewczyna go tak otwarcie ignoruje; spodziewał się że Lian przyjdzie prawie zalana łzami, a oto siedziała sobie i pożerała bułeczkę za bułeczką, jakby się niczym nie przejmowała.

– Co do wczorajszego wieczoru... – zaczął, nie bardzo wiedząc, jak ubrać w słowa przeprosiny, ale nie pozwoliła mu dokończyć, przerywając gestem.

– Jest taka maksyma, którą mistrz Cheng często nam powtarzał: „Niech twoje słowa będą zgodne z twoimi myślami. Niech twoje czyny będą zgodne z twoimi słowami. Niech będzie zgoda między twoimi myślami, słowami i czynami”. Zeszłej nocy trochę myślałam o tym przed snem i uświadomiłam sobie, że nie postąpiłam właściwie. Proszę cię o wybaczenie, Robercie Gaddi.

Słyszając to, naukowiec o mało nie zerwał się z krzesła, lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Lian ciągnęła:

– Zrobiłam błąd, pozwalając ci się dotykać i pieścić, nie było w tym nic dobrego. Jak wiesz, zamierzam wstąpić do klasztoru, zachowałam się więc niewłaściwie. Kusiło mnie, żeby spróbować, jak to jest być całowaną i pieszczoną. Przyznaję, że bardzo przyjemnie, ale nie byłam szczerą ani wobec ciebie, ani wobec siebie samej. Proszę, wybacz mi.

Skoro dla niej było to tylko „całkiem przyjemne” doświadczenie, niech będzie. Wczoraj doszedł do wniosku, że Lian jest w nim szaleńczo zakochana, a teraz okazuje się, że wciąż upiera się przy tym głupim pomysle, żeby zostać mniszką.

Robert zmrużył oczy i przyjrzał się jej uważnie, szukając czegoś, co dałoby mu wyjaśnienie tej nieoczekiwanej, tak zachowawczej postawy, ale piękne niebieskie oczy odpowiedziały mu spokojnym, pogodnym spojrzeniem. W nocy, gdy się bezsennie przewracał na łóżku, czuł się udręczony odpowiedzialnością, która ciążyłaby na nim wraz z uwieszoną na jego szyi niedoświadczoną, zakochaną w nim kobietą. Snuł w głowie setki planów, jak to zdusić w zarodku, a teraz okazuje się, że niepotrzebnie się martwił. Jedynym, czego Lian szukała, poddając się jego pieszczotom, było zaspokojenie wytłumaczalnej ciekawości. Nieoczekiwane rozwiązanie jego problemów powinno mu być przynieść ulgę, ale jedyne, co czuł, to głęboki niesmak; nagle doznał nieprzyjemnego wrażenia, że został wykorzystany.

– Nie ma za co przepraszać – odparł z pozornym spokojem, choć w rzeczywistości najchętniej rzuciłby się na nią, zdarł z niej ubrania i rozciągnął ją na trawie, żeby jej pokazać „przyjemności”, jakie mogą nieść jego pieszczoty. – Mimo że niedługo będziemy musieli udawać, że jesteśmy parą zakochanych narzeczonych, postaram się nie zbliżać do ciebie bardziej, niż to konieczne.

Chłód jego złocistych oczu sprawił, że Lian miała ochotę wybuchnąć płaczem; wciąż nie wiedziała, jak jej się uda zachować zgodnie z planem Nelli i udawać, że jak dla niej poprzedniego wieczoru nie wydarzyło się nic ważnego. Gospodyni nalegała, by dziewczyna okazywała obojętność i pogodę ducha, ale sama Lian tak naprawdę wołałaby się rzucić do stóp tego mężczyzny, który patrzył na nią bez większego zainteresowania, i błagać go, żeby ją pocałował jeszcze raz.

Po raz pierwszy w życiu skłamała. Oznajmiła, że nadal zamierza złożyć klasztorne śluby, choć tak naprawdę daleka była od tego zamiaru. W jej piersi niepostrzeżenie narodziły się nieznane uczucia i choć wiedziała – mimo że Nella twierdziła coś przeciwnego – że nigdy nie zostaną odwzajemnione, nie miała też wątpliwości co do tego, że życie w klasztorze nie jest jej pisane. A ta pewność sprawiała, że jej przyszłość wydawała się coraz smutniejsza i bardziej niepewna.

Niemniej złożyła obietnicę gospodyni, toteż postarała się zapanować nad wewnętrznym zamętem i odpowiedziała ze spokojem, którego nie czuła w najmniejszym stopniu:

– Bardzo dobrze. W takim razie wszystko zostaje jak do tej pory.



Robert Gaddi dotrzymał słowa i nieliczne dni, jakie pozostały do wyjazdu do Asturii na wręczenie nagród, przebiegały w pełnym napięcia spokoju. Mimo to Lian nie umknęło przenikliwe spojrzenie, którym jego złociste oczy śledziły każdy jej najmniejszy ruch. Przyglądał się jej z uwagą, bez najmniejszej dyskrecji i choć czuła się skrępowana pod tym badawczym wzrokiem, starała się wyglądać na spokojną i pogodną. Nella powiedziała jej też, że nie zaszkodziłoby, gdyby trochę

pokokietowała Harrelsona. Tu jednak Lian nakreśliła wyraźną granicę, której nie miała najmniejszego zamiaru przekraczać, wobec czego zachowywała się tylko przyjaźnie wobec agenta FBI, gdy się pojawiał w pobliżu, i nic więcej. Nie umknęło jej jednak, że za każdym razem, gdy naukowiec zastawał ich na rozmowie, jego czoło – ostatnio i tak nieustannie nachmurzone – marszczyło się jeszcze bardziej.

Choć na pozór podjęli te same zajęcia co przedtem, napięcie, jakie między nimi powstało, stawało się meczące, dlatego gdy w końcu wsiedli do samolotu zmierzającego do Hiszpanii, Lian odetchnęła z ulgą.

Dotarli do Oviedo dość późno, zameldowali się w Hotelu Rekonkwisty i Lian ledwie zdążyła zostawić bagaż w pokoju, gdy naukowiec porwał ją, by skosztowali przekąsek w licznych gwarnych barach w centrum miasta. Agenci Harrelson i Smith przez cały czas nie odstępowali ich ani na krok, mimo to Lian nieustannie rozglądała się dookoła, wciąż czujna i napięta. Odkąd przybyli do miasta, zauważyła u siebie znajome łaskotanie na karku – skuteczny wykrywacz niebezpieczeństwa, który jej nigdy nie zawiódł.

– Wyluzuj, jesteś sztywniejsza od mojej laski. – Choć naukowiec prawie już nie potrzebował podpory, nadal się z nią nie rozstawał, jakby była jego najwierniejszym towarzyszem.

– Mam złe przeczucie – odparła Lian posępnie.

– Nie zaczynaj ze swoimi dziwactwami, tajemniczy eukaliptusie.

Słyszając, że znów przekręca jej imię, czego w ostatnich dniach zupełnie zaniechał, Lian mimowolnie uśmiechnęła się radośnie, a na ten widok on też bezwiednie odpowiedział uśmiechem.

– Dalej, spróbuj tego – zachęcił.

Nie czekając na jej pozwolenie, wsunął jej do ust widelec z kawałkiem tortilli z morskazukiem, i nie miała innego wyjścia, jak przełknąć kęs.

– Mmm! – Tylko tyle zdołała wymruczeć z pełnymi ustami i roziskrzonymi oczami.

– Właśnie.

Żartobliwie puścił do niej oko. Od wielu dni nie czuł się tak szczęśliwy i mimo że nie chciał analizować motywów swojego postępowania, wiedział, że wiele wspólnego ma z tym ta piękna blondynka, znów patrząca na niego z uśmiechem, a nie z rezerwą.

Przez cały wieczór rozmawiali, jak nigdy w ostatnim okresie, mimo to Lian stale uważała na wszystko, co działo się dookoła, i ani na chwilę nie straciła czujności. Dlatego kiedy zamknęli za sobą drzwi przestronnego apartamentu hotelowego – składającego się z sypialni, salonu i sporej łazienki – odetchnęła z ulgą.



– Będę spała na tej sofie.

– Na pewno? Możesz spać ze mną w łóżku, jest bardzo duże. Obiecuję, że nie będę ci się narzucał.

Widząc jego psotne spojrzenie, od razu odmówiła.

– Nie martw się, będzie mi tu bardzo wygodnie. Idź do łazienki, ja się rozpakuję.

Robert posłuchał i jak miał w zwyczaju, z łazienki wyszedł ubrany jedynie w spodnie od piżamy. Lian, pochylona nad swoją walizką, robiła, co mogła, by nie zwracać uwagi na jego szeroką nagą pierś, która zdawała się ją przyzywać.

– Szukasz czegoś? – Na jego ustach błąkał się łagodny uśmiech.

– Nie mogę znaleźć piżamy.

– Pomogę ci. – Pokuśtykał do własnej walizki, wyjął pakiet owinięty w bibułkę i podał go jej.

Lian, zanim zaczęła rozpakowywać zawiniątko, posłała mu nieufne spojrzenie. A kiedy ujrzała, co jest w środku, wyrwał jej się okrzyk.

– Ale...

– W ostatnim momencie przyszło mi do głowy, żeby poprosić Angelinę o nocny strój dla ciebie. Miałem dość twoich piżam.

Lian przypomniała sobie tajemnicze szept, które wymienił z przyjaciółką w salonie piękności.

Z bezwiednym zachwytem przesunęła wzrokiem po wspaniałej satynowo-koronkowej koszuli nocnej w kolorze kości słoniowej.

– Nie mogę tego włożyć – rzekła stanowczo.

– Obawiam się, droga tujo, że pozostaje ci albo ta koszula, albo spanie nago. Oczywiście, mogę ci też zaferować jedną z moich koszul.

Wnikliwie rozważyła propozycję, ale zdała sobie sprawę, że to też nie jest najlepsze rozwiązanie.

– Nie podoba mi się, że mną manipulujesz – oznajmiła, marszcząc brwi.

– Manipulacja. Co to za brzydkie słowo, skromna nieszuflko. Bynajmniej nie było to moim zamiarem – odparł z obrażoną miną.

Lian fuknęła ze złością, zacisnęła dłoń na koszuli nocnej i trzasnąwszy drzwiami, zamknęła się w łazience.

Pół godziny, później, gdy nie wychodziła, Robert niecierpliwie zapukał do drzwi.

– Wyjdź! – rozkazał.

– Nie wyjdę! Przynieś mi tu poduszkę, będę spała w wannie!

– Wychodź w tej chwili, bo wyważę drzwi! – Rozeźlony, walnął w nie pięścią.

Musiał jeszcze poczekać kilka minut, zanim uchyliły się powoli i Lian w końcu wyszła z ramionami owiniętymi ręcznikiem kąpielowym.

Naukowiec musiał się pilnować z całych sił, żeby nie parsknąć śmiechem, ale nie udało mu się ukryć rozbawionej miny. Spojrzała na niego wściekła.

– Ta nocna koszula jest gorsza niż spanie nago. Powinieneś podarować ją którejś z tych kobiet, z którymi się spotykasz.

Nie odpowiadając, szarpnął zniecierpliwiony brzeg jej ręcznika, a ponieważ wziął ją z zaskoczenia, materiał wymknął się jej z rąk. Widząc, jak stoi na środku pokoju ubrana tylko w tę seksowną koszulę sięgającą jej do kostek, z małymi, twardymi piersiami ledwie zakrytymi przez lekką koronkę, oraz z długim bocznym rozcięciem pozwalającym docenić gładkość skóry na biodrze i długiej smukłej nodze, Robert poczuł, że przechodzi mu wszelka ochota do żartów, a w ustach zasycha.

Pod tym jego bezczelnym spojrzeniem policzki Lian przybrały czerwony kolor i choć miała ochotę się skulić, by się jak najbardziej osłonić, stała wyprostowana jak struna, patrząc na niego wyzywająco.

Robert powoli obszedł ją dookoła, przyglądając się, jak satyna w kolorze kości słoniowej podkreśla jej pośladki, głęboki dekolt apetycznie odsłania plecy, a małe pięści dziewczyny zaciskają się mocno – jakby starała się powstrzymać, żeby go nie walnąć – i z jego piersi wyrwało się głębokie westchnienie.

Boże, taka piękna!

Podszedł do niej od tyłu i pochyliwszy się nad nią, szepnął jej ochryple do ucha:

– Jesteś przepiękna, Lian. – Zadowolony, zauważył gwałtowny dreszcz, który wstrząsnął jej smukłym ciałem. – Wyglądasz jak bogini Wenus, która właśnie wynurzyła się z wody. Gdybym przedtem sam nie obiecał, że tego nie zrobię, w tej chwili zsunąłbym to ramiączko i narysowałbym na twojej jedwabistej skórze ścieżkę pocałunków od ramienia aż po opuszki palców... – Ześliznął wąski pasek materiału i palcem wskazującym powiodł po skórze jej ręki.

Lian czuła, że coraz trudniej jej oddychać, ale stała spokojnie, nie robiąc żadnego ruchu, który by to przerwał; uwodzicielski głos Roberta przykuł ją do podłogi wbrew jej woli.

– Potem powtórzyłbym ten szkic na twoich plecach... – Odsunął jej gładkie włosy na bok i znów jego palec zaczął bardzo wolno przemieszczać się z białego karku porośniętego jasnym meszkiem aż po kość ogonową, ledwie zakrytą innym kawałkiem przejrzystej koronki. Po czym przycisnął własne biodra do jej pośladków tak mocno, że nawet dla niedoświadczonej Lian jego pożądanie stało się oczywiste. – Lizałbym zagłębienia obok twoich obojczyków, a potem mój język prostą linią powędrowałby między twoimi piersiami, zbadał tajemnice pępka i schodził dalej po brzuchu, nie zatrzymując się, aż dotarłby...

Opuszek jego palca zatrzymał się tuż nad trójkątem między jej nogami i Lian sapnęła głośno.

– Dlaczego mi to robisz? – Pytanie rozbrzmiało na wpół żądzą, na wpół szlochem.

I zanim zdążył jej przyjść z pomocą wyrzut sumienia, który pojawił się u Roberta na dźwięk pobrzmiwającego w jej słowach strapienia, sama z łatwością uwolniła się z jego objęć i stanęła przed nim, miotając iskry z oczu.

– Nie dotykaj mnie więcej! Co się z tobą dzieje, Robercie Gaddi? Nie masz już pod ręką innych kobiet i musisz się dobierać do tej dziwaczki Lian? Bawi cię, że się nie umiem oprzeć twoim pieszczotom? Chcesz sobie sam coś udowodnić? Zostaw mnie w spokoju! Nie jestem jednym z tych mikrobów, których reakcje badasz! W razie gdybyś nie wiedział, ja też, żałosna dwudziestosześcioletnia dziewczyna, mam uczucia!

Po jej policzku popłynęła duża łza i Lian, zniesmaczona własnym zachowaniem, gniewnie otarła ją wierzchem dłoni.

Robert patrzył na nią, nie wiedząc, co powiedzieć, zawstydzony jak jeszcze nigdy przez nikogo. Wyciągnął ręce, by znów wziąć ją w ramiona, choć tym razem jedyne, czego chciał, to przyciągnąć ją do piersi i pocieszyć, prosząc o wybaczenie. Lian jednak cofnęła się o krok i miotając oczami lodowate niebieskie błyskawice, ostrzegła go znacznie spokojniej:

– Jeśli mnie jeszcze raz dotkniesz, złamię ci nos.

Przesunął sobie nerwowo dłonią przez ciemne włosy.

– Na pewno sobie na to zasłużyłem, Lian. Na złamanie nosa i przy okazji na kopniaka w krocze. Wybacz mi. Proszę.

Przyjrzała mu się z uwagą, jakby podejrzewała, że próbuje sobie z niej zadrwić, ale choć raz niezwykle złociste oczy były zupełnie poważne.

– Możesz być spokojna – zapewnił – nie będę ci się więcej narzucał, obiecuję. Powiedz, że mi wybaczasz.

Jego wyraz twarzy, skruszony i szczerzy, rozbroił dziewczynę. Spróbowała zdobyć się na uśmiech. Widząc tę nieudaną próbę, naukowiec poczuł jeszcze mocniejszy wyrzut sumienia.

– Przyjaciele? – Uśmiechnął się z czułością.

– Dobrze, przyjaciele – zgodziła się i nieco speszona niebywałą u niego serdecznością, dodała: – Lepiej, żebym już poszła spać. Dobranoc.

Dziesięć minut później leżała na sofce w saloniku przy zgaszonym świetle, ale wcale nie śpiąca, gdy usłyszała jego głos od drzwi:

– Bez obaw, przychodzę w pokoju. Jeśli przysięgniesz, że nie rozbijesz mi nosa, podejść bliżej. Nie mogła się nie uśmiechnąć.

– Dobrze, ale nie rób nic dziwnego.

– Obiecuję.

Zbliżył się do sofki i otulił ją kocem, który przyniósł na ramieniu. Potem przykucnął obok niej i z czułością, która zdziwiła nawet jego samego, odsunął jej z czoła jasny kosmyk włosów i zatknął go jej za ucho.

– Jesteś wspaniałą dziewczyną, Lian, i nie masz się czego wstydzić, dlatego w ogóle nie zwracaj uwagi na takiego dupka jak ja. Dobranoc. – Pochylił głowę i pocałował ją po ojcowsku w czoło. – Słodkich snów, mała Lian.

Zostawił ją samą, a ona musiała kilka razy zamrugać, by powstrzymać łzy. „Co się ze mną dzieje?” – zastanawiała się, rozdrażniona własnym zachowaniem. Ona, która nigdy nie płakała, nagle zamieniała się w głupią konewkę.

Ze złością walnęła pięścią jasek, którego używała jako poduszki, i zmusiła się do oczyszczenia umysłu z myśli, ale i tak długo jeszcze nie mogła zasnąć.

Rozdział 10

Klasztor Szaolin, osiemnaście lat wcześniej

Łało jak z cebra, tak że Lian ledwie widziała wyciągniętą przed siebie rękę. Szła szybko; nie udało jej się wymknąć przed ukończeniem licznych zajęć – od samego przybycia do klasztoru mała Lian zawsze miała przydzielone różne obowiązki; tego dnia po treningu musiała porządnie zamieść świątynię, dopilnować, by na ołtarzach żarzyły się kadzidła, później zaś pomóc w kuchni przy szorowaniu ogromnych żelaznych rondli, w których gotowano jedzenie dla mnichów i nowicjuszy – a przez cały czas dręczył ją niepokój o przyjaciela.

Poprzedniego dnia mistrz Wang, którego Lian szczególnie nie lubiła, przyłapał Hao na jedzeniu czereśni, które kilka godzin wcześniej ktoś ukradł z kuchni – coś, co nie zdarzało się rzadko, ponieważ uczniowie zawsze chodzili głodni z powodu skąpych racji żywnościowych, za pomocą których mnisi usiłowali im wpoić cnotę umiarkowania – i w przeciwieństwie do innych mnichów, takich jak mistrz Cheng, zwykle przysmykających oko na takie wykroczenia, ukarał surowo jej przyjaciela.

Wtem o mało nie wpadła na jeden z drewnianych pali, na których wymierzano w klasztorze kary.

– Hao! – zawołała, starając się przekrzyczeć szum ulewy.

– Tutaj! – Ledwie usłyszała stłumioną odpowiedź.

Z twarzą zalaną deszczówką i ociekającymi włosami skierowała się w prawo i tam znalazła przyjaciela. Stał na kolejnym palu na jednej nodze, piętę drugiej trzymając ręką nad głową, ubrany tylko w obszerne szafranowe spodnie, które, przemoczone, przylegały do jego ciała. Piers miał prawie siną z zimna, a mimo wszystko od ponad godziny idealnie utrzymywał równowagę w tej samej pozycji.

– Ile ci zostało? – zawołała Lian.

– Mistrz Wang powiedział, że przyjdzie po mnie, gdy uzna, że mam już dość.

Lian była pewna, że mnich w taki deszcz nie ośmieli się wystawić nosa za drzwi, zatem zanosilo się na długą karę.

– Zostanę z tobą!

– Daj spokój, Lian, przemarzniesz!

Przyjacielowi nigdy by nie przyszło do głowy wymigać się od wymierzonej kary; nawet nie pomyślał o tym, żeby opuścić uniesioną wysoko nogę. Skoro zdecydował, że kiedy dorośnie, zostanie mnichem z Szaolin – najmądrzejszym i najsilniejszym – taka pokuta była jeszcze jedną częścią nowicjatu. Dlatego gdy czuł, że jego wychudzone ciało zaczyna słabnąć, mówił sobie, że on, Hao Liu, jest twardy jak diament, giętki jak trzcina, zwinny jak małpa, pod której znakiem się urodził, i wytrzymał jak wół, a więc się nie podda.

– Zostanę – odrzekła stanowczo. – Ja też zjadłam trochę czereśni. Zaczekam z tobą, aż przyjdzie mistrz Wang.

Bez wahania wspięła się na pobliski pal, uniosła lewą nogę, by przybrać tę samą pozycję co przyjaciel, i oczyściła głowę z myśli. Poprzez zaslonę deszczu Hao ledwie widział rozmazaną plamę jej tuniki, ale choć zaprotestował, czuł się o wiele lepiej, wiedząc, że przyjaciółka jest tu z nim.

Prawie godzinę później, kiedy ulewa przeszła w lekką mżawkę, mistrz Wang wybrał się na zewnątrz, ostrożnie omijając głębokie kałuże i bezskutecznie starając się jak najmniej ubłocić sobie buty. Dotarłszy do pala, na którym Hao niewzruszenie utrzymywał równowagę, z zaskoczeniem odkrył, że na sąsiednim palu w identycznej postawie trwa ta dziwna żółtowłosa dziewczynka, którą kolega Cheng – wbrew jego opinii – przyjął na wychowanie do klasztoru.



Gdy następnego dnia rano Robert, zaspany, szedł pod prysznic, Lian czekała na niego na tej samej sofce, na której spędziła noc, tyle że była kompletnie ubrana. Mruknął coś na powitanie, po czym głośno zamknął za sobą drzwi. Kwadrans później wyszedł z łazienki w towarzystwie kłębow gęstej pary, z mokrymi i bardzo zmierzwionymi włosami, za całe ubranie mając puszysty ręcznik owinięty wokół wąskich bioder.

Lian dalej przesuwiała paciorki swojego sznura modlitewnego, starając się nie rozpraszać widokiem okazałego brązowego torsu, ale nie mogła się oprzeć i zerknęła na niego ukradkiem, aż nagle naukowiec pociągnął rąbek ręcznika i ten zsunął się do jego stóp, wytrącając dziewczynę z równowagi widokiem męskich pośladków, tak że natychmiast odwróciła zaczerwienioną twarz.

Robert, ubierając się, zaczął mówić, zupełnie nieświadomy jej zakłopotania.

– Dziś rano mam wykład na Uniwersytecie Oviedo. Po śniadaniu spotykamy się z Harrelsonem i Smithem, po wykładzie szybko zjemy obiad i trochę odpoczniemy. Rozdanie nagród jest o osiemnastej trzydzieści.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i Lian najpierw upewniła się, że to kelner ze śniadaniem, po czym wpuściła go do środka. Przekonała naukowca, że lepiej będzie jak najmniej wychodzić z pokoju, na co on przystał niechętnie. Gdy kelner rozstawił wszystko na stole pod oknem, odprowadziła go do drzwi.

Robert rozmawiał z nią, jakby poprzedniego wieczoru nie zdarzyło się nic godnego uwagi, i Lian, pamiętając rady gospodyni, robiła to samo. Kiedy skończyli, otworzył drzwi, by ją przepuścić, i z ręką na jej krzyżu poprowadził ją do windy. Lian przypominała sobie, że ten niezwykle przejaw kurtuazji zapewne wynika wyłącznie z konieczności udawania narzeczonych. W jej myśli nie w porę wkradło się wspomnienie jego niskiego głosu szepczącego jej do ucha, jaka jest piękna.

„Co za bzdury” – upomniała samą siebie.

Nie miała złudzeń co do swojej powierzchowności; aż za dobrze wiedziała, jak wygląda. Przez całe dzieciństwo i młodość wszyscy w klasztorze, z wyjątkiem jej przyjaciela Hao, bezlitośnie naśmiewali się z jej białej skóry, z niebieskich okrągłych oczu i jasnych falistych włosów. Dlatego nie bez trudu usiłowała wyrzucić z myśli jego słowa i oddalić wspomnienie dotyku ciepłej dłoni, aby się skupić wyłącznie na pracy, którą miała przed sobą.

Gdy tylko wyszli z windy, stanęli przy nich czekający w holu dwaj postawni agenci FBI; choć znajdowali się w hotelowym westybulu, obaj mieli włożone ciemne okulary, do tego bez przerwy żuli gumę. Na ich widok Robert westchnął i pomyślał, że jeśli chcieli się wtopić w tłum, to im nie wyszło.

Harrelson, rozglądając się nieustannie dokoła, przytrzymał im drzwi, kiedy wsiadali z tyłu samochodu, po czym zamknął je i usiadł na miejscu obok kierowcy, swojego kolegi. Natychmiast ruszyli i przekraczając limit prędkości, wąską ulicą pomknęli na avenida de Galicia. Kilka minut później zatrzymali się na parkingu wydziału medycyny.

W drzwiach czekał na nich rektor uniwersytetu. Poprowadził ich do wielkiej sali wykładowej, pękającej w szwach od młodych słuchaczy. Lian rozejrzała się z niepokojem po auli; zgromadziło się wiele osób, a z tego, co widziała, rzucał się w oczy brak środków ostrożności, takich jak wykrywacze metalu czy ochroniarze. Stała pod ścianą niedaleko katedry, na której naukowiec miał wygłosić wykład, i patrzyła, jak zajmują pozycje agenci FBI. Po krótkiej prezentacji dokonanej przez rektora Robert zabrał głos.

Choć doktor Gaddi posługiwał się skomplikowanymi terminami medycznymi, wyrażał się przystępnie i prosto, tak że nawet laik bez trudu mógł śledzić tok jego wykładu. Wystarczyło, że Lian popatrzyła na zafascynowane twarze studentów, by wiedzieć, że są tego samego zdania co ona.

Po zakończeniu wykładu rozległa się burza oklasków i przyszła pora na pytania. Większość słuchaczy podnosiła ręce, a Robert każdemu z nich odpowiadał interesująco i zwięźle; od czasu do czasu okraszał odpowiedzi zabawnymi anegdotami sprawiającymi, że zebrani spijali słowa z jego ust. Na koniec wielu studentów podeszło do katedry, starając się wykorzystać okazję i zamienić z nim kilka słów.

Nie tracąc ani na sekundę czujności, Lian przysunęła się nieco bliżej do swojego klienta,

świadoma, że ewentualny zabójca teraz będzie miał najlepszą okazję. Choć musiałby być szalony, by zaatakować w tej chwili, ponieważ najprawdopodobniej zaraz by go złapano, wiedziała jednak aż za dobrze, że są ludzie, którzy widząc możliwość zrealizowania celu, w najmniejszym stopniu nie baczą na konsekwencje. W rzeczy samej szalenciec, który rzucił się na Samanthę Knowles, zbliżył się do niej, udając jej fana.

Nagle zauważyła, że do katedry stanowczym krokiem podchodzi długowłosy student w okularach o grubej czarnej oprawie. Będąc już w odległości niespełna metra, sięgnął do niedużej torby z wyświechtanego džinsu, wyjął podłużny przedmiot i wycelował go w naukowca. Lian, działając niemal instynktownie, gwałtownym ruchem złapała go za nadgarstek i ścisnęła, aż z krzykiem upuścił to, co trzymał w ręce.

Na pulpit spadł tani długopis, odbił się od drewna i stoczył na podłogę.

Chłopak odwrócił się do niej, trzymając się ręką za bolący nadgarstek.

– Cholera, uszkodziłaś mi rękę!

Lian, mamrocząc przeprosiny, schyliła się, podniosła długopis i podała go studentowi. W tym momencie Robert, któremu nie umknął żaden szczegół tego małego incydentu, skierował się do młodzieńca ze swoim najlepszym uśmiechem na ustach i zapytał z niezwykłą u niego uprzejmością:

– Życzył pan sobie czegoś?

Widząc, że zwraca się do niego bezpośrednio człowiek tak podziwiany jak w innych kręgach gwiazda piłki nożnej, student nagle zapomniał o bólu i jękając się, z trudem wydukał prośbę o autograf na egzemplarzu Genetyki człowieka Solariego.

– Z przyjemnością podpiszę. Jak się pan nazywa?

Chłopak przedstawił się, a kiedy dostał autograf, oddalił się, mocno przyciskając do piersi książkę i nie pamiętając już, że ta atrakcyjna blondynka o mało nie złamała mu nadgarstka.

– Jesteś mi coś winna, popędliwy cyprysie – szepnął jej Robert na ucho, tak aby nikt nie słyszał.

Odpowiedziała mu nieprzeniknionym spojrzeniem i wzruszeniem ramion.

Kiedy skończyli, pośpiesznie wrócili do hotelu. Naukowiec najchętniej pospacerowałby po ulicach i poznałby bliżej to piękne miasto, w którym nigdy nie był, lecz Lian przekonała go, że najlepiej będzie, jeśli zjedzą coś lekkiego w pokoju i zaczekają tam, aż przyjdzie pora wyjazdu na ceremonię. Widząc jej zaniepokojenie, Robert zgodził się, choć niechętnie.

Tak jak podczas śniadania, przy obiedzie nie opuszczał ich miły nastrój i raz po raz w pokoju rozbrzmiewał śmiech obojga. W pewnym momencie Robert, ze wzrokiem utkwionym w jej pogodniej twarzy, pomyślał, że Lian Zhao to dobra dziewczyna, i obiecał sobie, że więcej już jej nie zrani, jak wcześniej czy później robił to z każdym, z kim się zetknął.

Po jedzeniu postanowił uciąć sobie drzemkę, Lian zaś, siedząc na podłodze w swej zwyczajowej pozycji z małą w ręce, poświęciła ten czas na medytację. Potem Robert odstąpił jej łazienkę, żeby się tam przygotowała do wyjścia, podczas gdy on się ubierał w sypialni.

Pół godziny później odwrócił się, słysząc, że otwierają drzwi od łazienki. Na widok dziewczyny zupełnie zapomniał, co chciał powiedzieć, i tylko stał na środku pokoju, wpatrując się w nią z zachwytem.

Lian włożyła jedną z kreacji, które wybrała dla niej Angelina. Zwiewna szyfonowa spódnica sięgała jej nad kolana; haftowana góra z czarnego jedwabiu przylegała do jej smukłej figury, a eleganckie buty na dziesięciocentymetrowym obcasie uwydatniały ładny kształt nóg. Twarz umalowana, jak ją nauczono, pięknie wyglądała w obramowaniu jasnych włosów, a odpowiednio nałożone cienie i tusz do rzęs podkreślały olśniewający blask jej niebieskich oczu.

– Jesteś... jesteś przepiękna – zdołał w końcu wykrztusić Robert, wbijając w nią złociste tęczówki.

Słyszając to, Lian poczuła, jak po jej kręgosłupie biegnie cudowny dreszcz. Robert z wyraźnym wysiłkiem oderwał od niej wzrok i dodał:

– Lepiej już chodźmy. Harrelson czeka na nas przy drzwiach.

Władczym gestem otoczył ręką jej kibić i wyprowadził dziewczynę z pokoju.



Wkrótce dotarli do teatru Campoamor. Przed nim na placu Escandalera zgromadziły się znaczne siły hiszpańskiej policji, a za barierkami tłoczyła się publiczność przyglądająca się zaproszonym gościom, którzy niczym gwiazdy kina przechodzili po niebieskim dywanie przy dźwiękach dud i bębnow.

Widownia małego teatru była zapełniona i Lian, siedząc na jednym z foteli w pierwszym rzędzie parteru, pilnie śledziła wszystko, co się działo dookoła. Przy dźwiękach hymnu narodowego Hiszpanii, wygrywanego przez zespół dudarzy, do teatru – w którego wystroju dominowała błękitna barwa jak w herbie księstwa – weszła para książęca Asturii, a za nią nagrodzeni, którzy następnie usiedli po bokach księcia i księżnej również na niebieskich fotelach. Tytułem wstępu przemawiało kilku siedzących za stołem przedstawicieli władz księstwa, po czym rozpoczęto wręczanie nagród.

Robert Gaddi wcześniej powiedział Lian, że go nominowano do Nagrody Księcia Asturii w dziedzinie badań naukowych i technicznych wraz z dwoma innymi naukowcami: z Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych.

„Za postępy w stosowaniu przeciwciał jako narzędzi terapeutycznych, które umożliwiły rozwijanie nowych metod zapobiegania i leczenia zaburzeń odpornościowych, chorób degeneracyjnych i różnego rodzaju nowotworów”. Na zakończenie odczytywania krótkiego fragmentu uzasadnienia, wymieniono jednego po drugim trzech laureatów, a oni ruszyli po niebieskim dywanie ozdobionym złotym herbem instytucji i stanęli przed stołem na scenie, gdzie księżę Filip Burbon wręczył im dyplomy owinięte wstążkami w kolorach narodowych Hiszpanii i Asturii. Następnie wszyscy trzej zwrócili się w stronę łoża, z której ceremonię śledziła królowa Hiszpanii, i na znak uszanowania skłonili przed nią głowy.

Lian uważnie obserwowała uroczystość, a jednocześnie, patrząc na swego podopiecznego, nie mogła nie czuć wielkiej dumy. Ciemny, skrojony na miarę garnitur podkreślał jego atrakcyjną sylwetkę i dystygowane ruchy, nieskazitelnie biała koszula stanowiła żywy kontrast ze śniadą twarzą, w której iskrzyły się pełne życia złociste oczy, a elegancki krawat w kolorze stonowanej zieleni wyglądał wyjątkowo atrakcyjnie.

Jeśli Lian miała jakiegokolwiek wątpliwości co do swoich uczuć, patrząc, jak Robert po odebraniu nagrody na przekór swojemu kalectwu pozdrawia publiczność z typową dla siebie nonszalancją, dziewczyna wiedziała, że jest głęboko i nieuleczalnie zakochana w Robertcie Gaddim. W tej samej chwili obiecała sobie, że z wdzięcznością, nie myśląc o przyszłości, przyjmie to, co on zechce jej dać; nie będzie już więcej walczyła ze swoimi uczuciami, lecz weźmie z życia, co się da, by potem do końca rozpamiętywać wspomnienia. Powziąwszy to mocne postanowienie, zauważyła, że ogarnia ją przemożny spokój. Wróciła do rzeczywistości akurat na czas, by wysłuchać przemowy księcia, po której odśpiewano hymn księstwa, Asturio, ojczyzna droga, i zakończono ceremonię.

Zostali jeszcze chwilę w teatrze, rozmawiając z pozostałymi nagrodzonymi i ich małżonkami. Robert, otaczając ręką kibić Lian, przedstawił ją wszystkim jako swoją narzeczoną, a ona zauważyła, jak niektórzy ze znajomych unoszą brwi ze zdziwienia. W pewnym momencie, jakby chciał przekonać niedowiarków, pochylił się i złożył na ustach dziewczyny krótki, lecz żarliwy pocałunek, po którym zastygła jak skamieniała. Gdy się odsunął, puścił do niej tylko ukradkiem oko i dalej rozmawiał, jakby nigdy nic. Lian gwałtownie wciągnęła powietrze, czując, jak przyspiesza jej serce, mimo wszystko nie dała się rozproszyć; wciąż była bardzo napięta i miała oczy dookoła głowy. Znowu instynkt ostrzegał ją o niebezpieczeństwie.

Naukowiec, widząc jej zaniepokojenie, pogładził ją łagodnie po karku, lecz ona gwałtownie się odsunęła. Musiała całą uwagę skupić na misji, którą jej powierzył Charles Cassidy: ochraniać stojącego obok niej człowieka – tego samego, którego pieczyoty przeszkadzały jej w zebraniu myśli.

Po wyjściu z teatru wrócili do hotelu i skierowali się do salonu, w którym odbywało się przyjęcie koktajlowe. Historyczny wystrój okrągłej sali – z sufitem na wysokości kilku kondygnacji i ścianami pełnymi balkonów obłożonych jasnoszarym kamieniem, intensywnie kontrastującym z krwistoczerwonymi draperiami – trochę przypominał dziewczynie La Fortezę. W wystawnym pomieszczeniu roiło się od panów w garniturach i bardzo eleganckich pań, a w tłumie uwijał się zastęp

kelnerów roznoszących tace z napojami i przekąskami. Lian, coraz bardziej niespokojna, podeszła do Harrelsona, który krążył w ich pobliżu, starając się możliwie nie rzucać w oczy.

– Chcę, żebyście bardzo uważali – powiedziała przyciszonym głosem. – Mam dziwne przeczucie.

– Rozumiem, Lian. – Natychmiast oddalił się nieco, żeby zamieć parę słów z kolegą.

Robert, któremu jak zwykle nie umykało nic z dziejących się dookoła rzeczy, znowu do niej podszedł i zapytał cicho:

– Coś się stało, Lian?

– Niczym się nie martw, Robercie Gaddi. To twoja noc. Ciesz się nią, a my zajmiemy się resztą.

Znowu otoczył ją ręką w pasie i poszli rozmawiać z innymi nagrodzonymi naukowcami. Lian z nieobecny uśmiechem na ustach udawała, że uczestniczy w pogawędce, jednak wciąż wszystkie zmysły miała maksymalnie wyczulone.

Czekała.

W ogólnym szumie, jakim była wypełniona sala, jej słuch, wyostrzony do niemożliwości, rozróżnił dźwięk łyżeczki uderzającej o porcelanowy talerz, cichy okrzyk bólu, który się wyrwał jednej z kobiet, kiedy niechcący ktoś z obsługi nadepnął jej na stopę, szorstkie drapanie paznokci po skórze czyjejś głowy... Włoski zjeżyły się jej na karku, a oczy czujnie strzelały na prawo i lewo.

I wtedy to zobaczyła.

Na jednym z licznych balkonów, które otwierały się w ścianach nad nimi niczym ciemne usta, zauważyła prawie niedostrzegalny błysk. Zanim jej umysł zdążył przetworzyć ten sygnał, Lian wepchnęła Roberta Gaddiego pod jeden ze stołów, na których rozłożono półmiski z kanapkami. Dwa pociski, wystrzelone niespełna pięć sekund jeden po drugim, trafiły w środek stołu, rozbijając stroik z kwiatami i kieliszek. Na stojących w pobliżu ludzi posypał się deszcz płatków i okruchów szkła. Rozległy się krzyki.

Oszołomiony, na wpół ukryty pod stołem, z Lian usiłującą osłonić go własnym ciałem, Robert widział, jak trzecia kula wbija się w czerwoną wykładzinę dywanową zaledwie kilka centymetrów od jej głowy, i to go sparaliżowało. Do tej pory Harrelson i Smith stanęli już przed nimi ochronnym murem i pierwszy z nich wystrzelił kilka razy z pistoletu w stronę balkonu, z którego padły strzały zamachowca.

W salonie zapanował totalny zamęt. Większość kelnerów schroniła się pod stołami albo kuliła się na podłodze. Wszędzie dokoła rozbrzmiewały ogłuszające okrzyki paniki, lecz ponad nimi wybił się charakterystyczny głos Lian:

– Znajdźcie zamachowca! Ja się zajmę ochroną doktora Gaddiego!

Żadnemu z dwóch agentów nawet do głowy nie przyszło, by podważać jej autorytet. Skinęli tylko głowami i popędzili przez salę.

– Jesteś ranny, Robercie Gaddi? – zapytała, obmacując go gorączkowo.

Milcząc zaprzeczył ruchem głowy; wciąż nie potrafił dobyć z siebie słowa. Po chwili Lian najwyraźniej upewniła się, że nic mu nie jest, bo podniosła głowę i spojrzała na niego uważnie.

– Co ci się stało? Dobrze się czujesz?

Robert nie potrafił oderwać wzroku od tej pięknej twarzy, z której wielkie niebieskie oczy przyglądały mu się z takim zaniepokojeniem. W końcu zdołał wyartykułować schrypniętym głosem:

– Ostatnia kula o mało cię nie zabiła.

Lian podążyła za jego spojrzeniem, zobaczyła dziurę w wykładzinie dywanowej i fatalistycznie wzruszyła ramionami.

– Zdaje się, że miałam szczęście...

Zanim zdążyła dokończyć zdanie, naukowiec wciągnął ją w objęcia i przycisnął sobie do piersi z taką siłą, że ją zabolalo.

– Robercie Gaddi! – zaprotestowała, wykręcając się, ale bezskutecznie próbowała uwolnić się od duszących ją ramion.

– Mogłaś umrzeć! – zawołał z policzkiem opartym o jej miękkie jasne włosy, ani odrobinę nie zwalniając silnego uścisku.

– Cóż, to się mogło zdarzyć każdemu, kiedy strzały padają z wysoka...

Słyszając tę tak rozsądną odpowiedź, Robert nie wytrzymał i wybuchnął rozedrganym śmiechem. W tym momencie jakby do niego dotarło, że nie są sami; rozejrzał się dookoła ze zmarszczonym czołem i zobaczył, że spogląda na nich nieco z góry tłumek zaciekawionych, wystraszonych ludzi. Choć bardzo nie chciał, czuł się zmuszony wypuścić ją z objęć; Lian zwinnie podniosła się z podłogi, po czym wyciągnęła rękę, by pomóc mu wstać. Ktoś podał mu laskę i wspierając się na niej, naukowiec zauważył, że zaczyna odzyskiwać spokój.

Krótko potem agenci FBI wrócili po bezowocnym przeszukiwaniu górnych galerii hotelu.

– Snajper zdążył uciec, na balkonie nie zostało po nim ani śladu – oznajmił Harrelson z poważną miną.

Minęło kilka godzin, zanim policja, która zjawiała się wkrótce po strzałach, pozwoliła im odejść. Dopiero po północy, pobladli i wymęczeni, wspięli się schodami do swojego pokoju. W tym momencie zadzwoniła komórka Roberta i Lian, przygotowując się do snu, z sąsiedniego pomieszczenia mimowolnie słyszała rozmowę telefoniczną.

– Tak, Charles, policja właśnie nas wypuściła.

– ...

– Naprawdę?! – Jego głos zdradzał niezwykle podekscytowanie. – Wyślij mi to na laptopa, jutro rzucę okiem. Teraz jestem wykończony, za dużo emocji na moje stare serce.

– ...

– Obawiam się, że upublicznienie będzie nieuniknione, dlatego nie sądzę, żeby w najbliższych dniach odważyli się na ponowny atak. Myślisz, że mogą mnie namierzyć przez komórkę?

– ...

– Znakomicie. Zostawiam to w twoich rękach. Coś wymyślę. Zadzwonię do ciebie jutro.

Robert, w spodniach od piżamy, pojawił się w saloniku, gdzie Lian miała się właśnie położyć na sofce, i wypalił bez zastanowienia:

– Lian, chcę, żebyś tej nocy spała ze mną.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Spała z tobą? – powtórzyła jak papuga.

– Najadłem się strachu. Jeśli będę spał sam, będę miał koszmary.

Lian, rozważając propozycję, lekko przechyliła głowę swoim zwyczajowym ruchem, i nie odrywając od niego oczu, spytała:

– Robisz mnie w balona, prawda?

On jednak odpowiedział jej z pełnym powagi spojrzeniem:

– Obiecuję ci, że będziemy robili tylko to. Spali.

– Słyszałam, jak mówiłeś tamtej kobiecie z opery, że nie lubisz spać z nikim w łóżku, bo musisz wyciągnąć nogę. – Jej twarz wyrażała kompletną nieufność.

– Do licha, ligustr nas podsłuchiwał! – odparł ze znużeniem. Potem jednak przypomniał sobie, że prosi o przysługę, i dodał znacznie łagodniej: – Proszę, Lian, potrzebuję cię dziś przy sobie. Tylko na tę jedną noc. Muszę się do kogoś przytulić. Przysięgam, wciąż drzę ze strachu.

Słyszając te słowa, wypowiedziane zapalczywie i ochryple, Lian mimowolnie oblała się rumieńcem od szyi aż po czoło. Miała wrażenie, że Robert Gaddi naprawdę jej potrzebuje, a jednocześnie ją uwodzi; przypomniała sobie swoje postanowienie, które podjęła podczas wręczenia nagród, i pomyślała, że może to jest jedyna okazja, jaką kiedykolwiek ześle jej los, by mogła sprawdzić, jak to jest spać w ramionach kochanego mężczyzny. Poza tym wiedziała aż za dobrze, że nie potrafi odmówić jego prośbom, dlatego po chwili w milczeniu kiwnęła głową.

Naukowiec gwałtownie wypuścił powietrze, które do tej pory wstrzymywał w płucach, i kulejąc bardziej niż zwykle, podszedł do niej i rzekł po prostu:

– Chodź.

Poprowadził ją za rękę do sypialni i zatrzymał się przed ogromnym małżeńskim łóżem.

– Z której strony chcesz spać? – Widząc, że wzruszyła ramionami, odchylił pościel i polecił: – Wskakuj!

Lian posłusznie położyła się na materacu i przykryła się prześcieradłem po brodę, próbując zakryć możliwie najwięcej z tego, co odsłaniała niestosowna koszula nocna. Robert wyciągnął się po drugiej stronie łóżka i oparłszy się na łokciu, z perwersyjnym błyskiem w złocistych oczach przyglądał się jej beczelnie.

– Leżysz jak mumia – stwierdził rozbawiony. – Możesz się rozluźnić, nic ci nie zrobię.

Odwrociła głowę w jego stronę i nieco spokojniejsza, puściła prześcieradło, tak że zsunęło się tuż poniżej szyi.

– Nie zgasisz światła? – Mimo wysiłków w jej głosie zabrzmiała lekka nerwowość.

Naukowiec niechętnie oderwał od niej wzrok, wyciągnął rękę, wcisnął wyłącznik znajdujący się na szafce nocnej i w sypialni zrobiło się całkiem ciemno. Lian, wciąż bardzo sztywna, nasłuchiwała najlżejszych dźwięków dobiegających z drugiej strony łóżka. Nagle poczuła na nagim ramieniu ciężar jego ręki i drgnęła.

– Jeśli będziesz taka spięta, to nie zadziała – powiedział Robert jakby mimochodem.

– A co ma twoim zdaniem zadziałać?

– Żebyś spała ze mną, aby mnie pocieszyć po ciężkich przeżyciach.

– Absolutnie nie wydaje mi się, żebyś potrzebował mojego pocieszenia, Robercie Gaddi.

– Zapewniam cię, że tak właśnie jest, nieufna akacjo, wciąż czuję się przerażony. Chodź, połóż się na boku tyłem do mnie.

– Po co? – spytała podejrzliwie.

– Zdecydowanie, jeśli się będziesz zachowywać w ten sposób, to nie zadziała i w końcu tak się zdenerwuję, że mogę się zsikać w łóżku – burknął poirytowany.

– Dobrze. – Lian zrobiła, jak jej polecił.

Robert pośpiesznie otoczył ją prawym ramieniem, a ona zauważyła, że twarda naga pierś przytula się do jej pleców i ciepło jego bioder promieniuje na jej pośladki.

– Myślę... myślę... nie wiem, czy to będzie dobry pomysł – wyszeptwała, wciąż sztywna, czując to męskie ciało tak blisko swojego.

– O rany, wyluzuj. – Robert ukrył twarz w jej pachnących jasnych włosach i westchnął z satysfakcją.

Krótko potem rytm jego oddechu stał się bardziej regularny i Lian, upewniwszy się, że Robert zasnął, poczuła, jak ją zalewa dogłębne poczucie szczęścia. Leżała nieruchomo, nie mogąc zrozumieć, że mężczyzna, którego kocha, właśnie śpi obok niej, obejmując ją ramieniem, i po kilku minutach ona też pogrążyła się w głębokim śnie.

Rozdział 11

Klasztor Szaolin, czternaście lat wcześniej

Lian wspinała się po trzy stopnie kamiennych schodów świątyni naraz, nie przejmując się pełnym dezaprobaty spojrzeniem, który jej rzucił wychodzący z wnętrza starszy mnich.

– Ja już skończyłam, Hao! Jak ci idzie?

Hao, klęcząc na podłodze, z zapalem szorował kamienną świątynną posadzkę. Kiedy go zawołała, podniósł na nią wzrok i położył sobie palec na ustach, dając znak, by zniżyła głos.

– Zostały mi tylko dwie płyty – szepnął.

– No to się pośpiesz, bo się pocę – odpowiedziała tak samo cicho.

Lato tego roku było bardzo gorące, toteż zwykle po zakończeniu pracy biegli, by zanurkować w jednej z sadzawek w pobliżu świątyni.

Hao się uwinął i pół godziny później pędzili po moście z czerwonych kamieni spinającym brzegi sadzawki o zielonkawej wodzie, aż dotarli do swego ulubionego miejsca w cieniu półki skalnej. Tam rozebrali się niecierpliwie z tunik. Kilka lat wcześniej nie wahali się zdejmować wszystkich ubrań, ale odkąd Hao zaczął dojrzewać, mimo że nie wspomnieli o tym ani słowem, najwyraźniej zawarli milczącą umowę i woleli wskakiwać do wody w spodniach, a w przypadku Lian również w cienkiej bawełnianej koszuli.

Siedząc na kamieniu, dziewczynka zaczęła nacierać sobie twarz i ramiona kremem, który sporządził dla niej sam mistrz Cheng. Był to znany im rytuał, ponieważ odkąd przybyła do klasztoru, prosty gliniany garnuszek wszędzie jej towarzyszył. Niemniej w tym momencie Hao przyglądał się, jak dziewczyna starannie nakłada sobie mazistą substancję na ramiona, jakby to widział pierwszy raz. Przykucnął obok niej i przyłożył ramię do jej ręki, a kontrast w kolorze ich skóry – u niego czerwonawobrazowej nawet zimą, a u niej bardzo bladej jeszcze w lecie – stał się tym bardziej wyraźny.

– Zastanawiam się, dlaczego masz taką białą skórę.

Lian natychmiast się cofnęła i wzruszyła ramionami, nie odpowiadając. Wiedziała aż za dobrze, że jej żółte włosy i oczy w kolorze nieba czynią z niej wybryk natury wśród rówieśników, i nie lubiła, żeby jej o tym przypominać. Hao, nie dostrzegając jej zakłopotania, ciągnął swoje głośnie rozważania:

– Na pewno twoi rodzice spędzili wiele lat na medytacjach w jakiejś jaskini.

– Tak jak Da Mó?

Lian wspomniała o człowieku, bardziej znanym poza Chinami jako Bodhidarma, który przez dziewięć lat medytował we wnętrzu góry Shaoshi, aż zostawił w jaskini odcisnięty swój cień, i który nawet wyrwał sobie powieki, by nie zasnąć.

– Może – rozmyślał na głos chłopak z zadumaną miną – jeżeli ja też spędzę dużo czasu z daleka od słońca, moja skóra zrobi się biała, a oczy wyblakną jak u ciebie.

– Rób, co ci się podoba, ja idę się kąpać.

Bez dalszych słów Lian wstała i wskoczyła na główkę do głębokiej wody. Hao natychmiast zapomniał o swoich metafizycznych wątpliwościach i poszedł w jej ślady. Przez kilka godzin ze śmiechem bawili się w wodzie, a kiedy w końcu z niej wyszli, otrzepali się jak szczęśliwe szczeniaki, po czym, wyczerpani, ułożyli się na jednym z wciąż jeszcze nagranych słońcem wielkich głazów.



Oviedo, Księstwo Asturii, obecnie

Robert, gdy się obudził o świcie, leżał jeszcze przez chwilę, nie otwierając oczu i rozkoszując się cudownym uczuciem, że oto wypoczął lepiej, niż mu się zdarzyło od długiego czasu. Nagle

uświadomił sobie, że otacza ramieniem ciepłe, zdecydowanie kobiece ciało, i natychmiast przypomniał sobie, co się wydarzyło poprzedniego wieczoru. W tym momencie zauważył prawie niedostrzegalne muśnięcie palców kreślących na jego piersi skomplikowane arabeski, i postanowił udawać, że jeszcze śpi.

Lekko uchylił powieki i w słabym świetle wpadającym przez duże okno ujrzał twarz Lian opartą na boku na poduszce oraz jej sugestywny wyraz, skupiony na rysowaniu niewidocznych wzorów na jego skórze. Obserwował ją zafascynowany i po raz kolejny zauważył, jak długie i gęste ma rzęsy, jak cienki, lekko zadarty mały nos i jak namiętne usta, po których w tym momencie błąkało się zadowolenie.

Lian bardzo powoli zbliżyła się do niego odrobinę i zaczęła obsypywać jego pierś pocałunkami, a robiła to tak delikatnie, że gdyby spał, nawet nie miałby o tym pojęcia. Był już jednak porządnie rozbudzony i te łagodne pieszczoty sprawiły, że wstrzymał oddech, a jednocześnie ogarnęła go żywa ekscytacja. Zaraz potem ona się odsunęła, ale zanim zdążyła się wyplątać z pościeli, Robert złapał ją za nadgarstek i mocno przyciągnął do siebie. Zaskoczona, podniosła wzrok i widząc, że on bynajmniej nie śpi, spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, a jej policzki oblały się rumieńcem.

– Lian... – szepnął ochryple tuż przy jej ustach, po czym zaraz wychylił się do nich i złączył ze swoimi w pożądanym pocałunku.

Czując porywający dotyk tych zachłannych ust, Lian bezwiednie jęknęła cicho i jeśli Robert zamierzał przerwać, ten prowokacyjny dźwięk zburzył jego zamiary.

Zaślepiiony żądzą, wciągnął Lian w swoje objęcia i całował ją jeszcze bardziej natarczywie. Ona, nie mogąc się oprzeć, odpowiadała na jego pieszczoty, zatracając się w nich. Zauważywszy tę żarliwą reakcję, Robert zrozumiał, że już nie będzie się można wycofać. „Do diabła z konsekwencjami!” – pomyślał. Będzie się kochał z Lian, właśnie tu, w tej chwili, i postara się wykorzystać tę odrobinę samokontroli, jaka mu wciąż pozostała, aby ten pierwszym raz dziewczyny był naprawdę pamiętny.

Wierny swojej decyzji, zsunął koronkowe ramiączko i końcem języka prześliznął się po nieodkrytej skórze jej szyi i ramienia, pożądliwie delektując się słodkim, a jednocześnie słonym smakiem. Zauważył silny dreszcz, jaki wstrząsnął jej ciałem, i świadomość, że wywołał w niej pożądanie, jeszcze wzmogła jego namiętność. Powolutku przemieścił ramiączko jeszcze niżej, odsłaniając jedną z białych piersi. Następnie jego język nakreślił linię od jej obojczyka do różowego sutka, który sterczał tęsknie, i zaczął rysować na nim kółeczka.

Wilgoć jego nienasyconych ust, zamiast ugasić ogień wzniecony we wnętrzu dziewczyny, dodatkowo go podsyciła i Lian wiała się z palcami zatopionymi w jego ciemnych włosach, myśląc, że oszaleje.

To jednak był dopiero początek.

Naukowiec nie śpieszył się. Mimo że jego ciało domagało się szybkiego rozładowania, Robert Gaddi walczył z własnym przytłaczającym pożądaniem i tą powolnością, którą sam sobie narzucił, sprawiła, że jego podniecenie osiągnęło nieznane dotąd granice. Stopniowo rozebrał ją, a jednocześnie jego usta centymetr po centymetrze napawały się gładką skórą, którą materiał koszuli nocnej nareszcie odsłonił, a kiedy zauważył, że ciało Lian odpowiada niczym dobrze nastrojona gitara w rękach wirtuoza, szybko nasunął sobie prezerwatywę i podpierając się na przedramionach, żeby nie zmiażdżyć dziewczyny swym ciężarem, położył się na niej i popatrzył na nią.

Miała zaciśnięte powieki i przygryzała sobie dolną wargę, starając się powstrzymać jęki, które wyrzywały jej się z gardła.

– Lian, otwórz oczy – polecił ochryple.

Posłuchała natychmiast, a on, widząc intensywność pożądania odbijającego się w tych oczach niezdolnych do ukrycia czegokolwiek, widział, że już nie będzie się mógł dłużej powstrzymać.

– Robercie Gaddi, potrzebuję... potrzebuję... – Dyszała, z trudem wypowiadając słowa.

– Wiem, czego ci potrzeba, Lian. Potrzebujesz mnie i tylko mnie.

– Tak, Robercie Gaddi, tylko Ciebie...

Słyszając ten miękki szept, Robert rozłożył jej szerzej nogi i zaczął ostrożnie wsuwać się do jej

środku. Choć był na granicy eksplozji, zmusił się do bardzo powolnego działania, podczas gdy jego oczy, utkwione w jej źrenicach, wyłapywały najmniejszą emocję, jaka się w nich pojawiała. Kiedy wykrzył najłżejszy cień bólu, zatrzymywał się natychmiast i bez ruchu pozwalał jej się przyzwyczaić do tych nowych wrażeń.

I w końcu był w niej w środku, gdzie został ciepło powitany, i tak nagle jak błysk flesza u fotografa, poraziło go niespotykane wrażenie, że właśnie znalazł coś, czego szukał przez całe życie, nawet o tym nie wiedząc. Lecz znów przetoczyła się przez niego silna fala podniecenia i porwała z sobą te myśli, zmuszając go do rytmicznych ruchów, coraz intensywniejszych i coraz głębszych, aż ekstaza sącząca się z tych przejrzystych niebieskich oczu stała się czystym odbiciem tego, czego sam doświadczył kilka sekund później.

Potem przez dłuższą chwilę trwali w milczeniu, ciasno objęci, aż Robert, mając świadomość, że wkrótce trzeba ruszać, oderwał się niechętnie od tego przytulnego ciała, wstał, poszedł do łazienki i wrócił z zamoczonym ręcznikiem.

– Pozwól, że cię umyję.

Lian nie protestowała, mimo że kolor, który coraz intensywniej wstępował na jej policzki, wyraźnie świadczył o zakłopotaniu. Kiedy naukowiec był już zadowolony z wyniku swojej starannej pracy, przykrył dziewczynę prześcieradłem.

– Jak się czujesz? Boli cię coś?

Mimo że bolało ją całe ciało, a szczególnie pewne miejsca, które nigdy dotąd jej nie dokuczały, pokręciła przecząco głową.

– Kłamczucha.

Znowu się nad nią pochylił i złożył lekki pocałunek na jej ustach, po czym skierował się do łazienki.

Gdy wyszedł, zakomunikował jej, że idzie do sąsiedniego pokoju hotelowego, który zajmowali dwaj agenci FBI. Wykona kilka telefonów i sprawdzi coś na laptopie. Po raz pierwszy, odkąd się poznali, Lian nie oponowała na wieść, że ma go stracić z oczu, i Robert wyobrażał sobie, że jest zadowolona, mogąc na kilka minut zostać sama.

Nieco później, stojąc pod ciepłym strumieniem wody płynącej z prysznicza, Lian myślała o tym, co się właśnie zdarzyło. Słyszała często, że utrata dziewictwa jest bolesna, ale chociaż początkowo czuła lekki dyskomfort, nic jej nie przygotowało na wir emocji i wrażeń, w który wciągnęły ją jego pełne wprawy pieszczoty. Wciąż była oszołomiona, ale nie miała złudzeń; dobrze wiedziała, że mimo ogromnej czułości i ostrożności, jakimi wykazał się Robert Gaddi podczas jej inicjacji, on nie jest w niej zakochany. Jednak przysięgła sobie, że nigdy nie będzie żałowała tego, co się wydarzyło. Było cudownie i będzie to rozpamiętywała do końca samotnego, szarego życia, które rysowało się przed nią na horyzoncie.

Wycierając sobie włosy, patrzyła z determinacją na swoje odbicie, jakby się prawie spodziewała odkryć w nim coś innego niż dotąd; lecz z lustra spoglądała na nią wciąż ta sama Lian, choć oczy błyszczały jej intensywnie, a policzki były zarumienione.

„Ciekawe” – pomyślała, ponieważ czuła się zupełnie inaczej.



Agentów zdziwiły radosne powitanie ze strony naukowca i jego szeroki uśmiech. Zdecydowanie nie był to ten sam zrzędlawy człowiek, do którego się przyzwyczaili. Lecz Robert nie mógł powstrzymać euforii, która go rozsadzała. Miał ochotę odrzucić głowę do tyłu i wybuchnąć śmiechem. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak się czuł. Nie był nawet pewien, czy faktycznie kiedykolwiek doświadczył czegoś takiego w przeszłości.

Wciąż miał wryte w pamięci, jak mocno objął Lian po tym, gdy się kochali, i jak przez kilka sekund musiał tłumić w sobie płacz – on, który nie płakał od dzieciństwa. Od swojego wypadku nie uronił ani jednej łzy, nawet kiedy się dowiedział o zdradzie Estelle, ale w ciągu tych kilku sekund, gdy Lian leżała w jego ramionach, czuł się poruszony o wiele bardziej, niż umiałby to wyrazić.

Chwila poza czasem...

Widząc, jak niebezpieczny kierunek przyjmują jego myśli, przywołał się do porządku. Było

magicznie, nie dało się zaprzeczyć, ale rzekł sobie, że nie powinien też nadmiernie idealizować tego, co się wydarzyło. Niedorzeczne zdawało się przypuszczenie, że zakochał się w Lian; po prostu od miesięcy nie uprawiał seksu z kobietą i było logiczne, że dał się ponieść chuci. Niezwykle ochoczo. Przypominając sobie zapal, jaki ona wykazała mimo swego niedoświadczenia, mimowolnie uśmiechnął się z czułością.

Właśnie w tym momencie na ekranie laptopa wyświetliła się wiadomość, którą jego przyjaciel Charles wysłał poprzedniego wieczoru, i uśmiech natychmiast zniknął z twarzy naukowca.

„Jak przewidziałeś, ostatecznie okazało się to znacznie łatwiejsze, niż się wydawało”.

Pod tym zwięzłym zdaniem widniało zdjęcie ślicznej jasnowłosej dziewczynki, cztero- czy pięcioletniej, która z uśmiechem spoglądała na niego oczami Lian.

Przez kolejne minuty naukowiec z najwyższą uwagą czytał załączone przez Cassidy’ego akta. Skany starych wycinków prasowych, raporty policyjne, nawet zapis powiadomienia telewizyjnego sprzed lat. Gdy skończył, siedział przez chwilę nieruchomo, wbijając wzrok w szczęśliwą, bystrą twarz dziewczynki.

Ze stanu zamyślenia wyrwał go odgłos otwieranych drzwi i powitalne słowa agentów. Zatrzasnął laptop. Przed nim stała Lian, na pozór pogodna, ale na tyle ją już znał, by wiedzieć, że nie jest taka spokojna, jak się wydaje.

– Dzień dobry, Lian. Mała zmiana planów. Postanowiłem odłożyć nasz powrót do La Fortezzy. – Nic w jego obojętnym głosie nie zdradzało tego, co się wydarzyło przed godziną, i dziewczyna starała się udawać ten sam brak zaangażowania. – Wybierzemy się wynajętym samochodem w inne miejsce, nie podając tego do niczyjej wiadomości. Udamy, że się kierujemy na lotnisko, ale w pewnym momencie odbijemy. Charles Cassidy poczyni odpowiednie kroki, żeby nikt nas nie mógł namierzyć, a ty i ja znikniemy na kilka dni.

– Dobrze.

Słyszając tę prostą odpowiedź, wymówioną bez najmniejszej modulacji, Robert wlepił w nią wzrok z nachmurzonym czołem.

– Spakuj swoje rzeczy. Ruszamy, gdy tylko Harrelson przygotuje, co trzeba. – Zabrzmiało to bardziej szorstko, niż zamierzał, lecz ona odwróciła się bez mrugnienia i wyszła.

Pół godziny później byli gotowi. Wsiadli do luksusowego samochodu, którym do tej pory jeździli, i wyruszyli w stronę lotniska z agentem Smithem za kierownicą. Wkrótce skręcili w gruntową drogę, przy której kawałek dalej czekał na nich Harrelson ze srebrzystym samochodem zwykłego modelu. Robert i Lian przesiedli się do tego drugiego i odczekawszy, aż pierwszy wóz oddali się wystarczająco, naukowiec, z pomocą nawigacji GPS, ostrożnie poprowadził wóz płataniną drózek, i wreszcie kilka kilometrów dalej wyjechali na inną asfaltową szosę. Krążyli parę godzin podrzędnymi drogami, by wreszcie w mało uczęszczanym miejscu przekroczyć granicę z Francją.

Podczas tej długiej jazdy ledwie zamienili kilka słów. Lian czuła, że coś się kłębi w piersi naukowca; jak gdyby powrócił gniew, który dawniej wciąż nosił w sercu. Podejrzewała, że Robert żałuje tego, co się między nimi wydarzyło, ale nie pozwoliła się przygnieść ciężarowi tej nieprzyjemnej myśli. Nadciągała noc i rozpadało się na dobre, gdy Robert przerwał niewygodną ciszę.

– Poszukamy miejsca, żeby zjeść kolację i przenocować.

Akurat przy drodze pojawiła się tablica reklamująca Relais & Châteaux i naukowiec bez wahania skręcił we wskazaną stronę. Na szczęście właścicielką hoteliku okazała się bardzo miła kobieta i nie robiła im żadnych trudności. Jednak mimo że było po sezonie, dostępny miała tylko jeden pokój, który – jak ich zapewniła – będzie gotowy dla gości, gdy skończą jeść kolację. Słyszając to, naukowiec nachmurzył się jeszcze bardziej. Nie zamierzał spędzać tej nocy w jednym pokoju z Lian, nie pozostawało jednak nic innego, jak się zgodzić.

Po prostym, lecz pysznym posiłku, przy którym prawie nie rozmawiali, poszli do wskazanego pokoju. Nie był zbyt duży, ale bardzo przytulny, w kominku przyjemnie trzaskał ogień. Na widok małego małżeńskiego łóżka z mnóstwem poduszek o haftowanych powłóczkach oraz piękną kwiecistą narzutą Lian poczuła, że zaczyna się dusić.

– Pójdę na spacer – oznajmiła nagle i zanim Robert zdołał ją zatrzymać, wyszła pośpiesznie,

zamykając za sobą drzwi.

Wróciła prawie dwie godziny później, otworzyła ostrożnie drzwi i wśliznęła się bezgłośnie na paluszkach. Przy nikłym blasku żaru dogasającego w kominku szukała w walizce koszuli nocnej, ale zanim zdążyła ją znaleźć, zabrzmiał zrzędlawy głos naukowca:

– Można wiedzieć, gdzie się włóczyłaś? – Robert spuścił nogi z łóżka i kuśtykając, podszedł do niej groźnie.

Lian wzruszyła ramionami i dalej grzebała w walizce.

– Już ci mówiłam. Miałam ochotę na spacer.

– Jesteś przemoczona!

Jasne włosy rzeczywiście ociekały wodą, która spływała z mokrego ubrania, tworząc na podłodze małą kałużę.

Robert poszedł do łazienki i zaraz wrócił z ręcznikiem. Bez żadnej delikatności zaczął wycierać jej włosy.

– Aj! – zaprotestowała.

– Cicho bądź, głupie stworzenie! Jeszcze złapiesz zapalenie płuc!

Rzucił ręcznik na podłogę i zaczął jej zdejmować bluzkę.

– Sama mogę to zrobić!

Nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi i po kilku sekundach Lian była już ubrana jedynie w przemoczoną bieliznę. Jego zręczne palce łatwo znalazły zapięcie stanika i zanim zdążyła mu przeszkodzić, zdjął go, odsłaniając jej małe piersi.

Widząc złocisty blask żaru na jej bladej skórze, Robert mimowolnie zachłysnął się powietrzem, podjął jednak nadludzki wysiłek i postarał się ponownie skupić na tym, co robił.

– Nie powinienem był pozwolić, by się wydarzyło to, co się wydarzyło – powiedział. – Gdybym miał wówczas pewną informację, pewnie udałoby mi się tego uniknąć, przynajmniej tak myślę. Ale już się stało. Jednak od tej pory będę bardziej uważał, dlatego ty śpisz dzisiaj na łóżku, a ja na dywanie. – Nie przestając mówić w ten cokolwiek niejasny sposób, zahaczył palcami o gumkę jej majtek i zsunął je z bioder, po czym podniósł z podłogi ręcznik, otarł dziewczynę jeszcze trochę i zawinął w ręcznik. Potem wziął ją w ramiona i zabrał do łóżka. – Nie będzie więc pokus. Rozumiesz...?

Zanim zdążył dokończyć, Lian otoczyła ramionami jego szyję i pocałowała go namiętnie. I cała przemowa, którą Robert starannie przećwiczył, kiedy czekał na nią w łóżku, wyparowała z jego głowy. Niezdolny do stawiania oporu, zachłannie odwzajemnił pocałunek, jakby od dawna nękał go głód. Dopiero znacznie później, kiedy leżeli objęci na materacu, oboje zmęczeni i pozbawieni tchu, mógł pomyśleć o czymś innym niż gładka skóra Lian i jej słodkie pieszczoty.

– Wiesz co, Robercie Gaddi? – szepnęła Lian wtulona w jego pierś.

Robert pocałował ją w czoło i zapytał:

– Co?

– Cieszę się, że nie zostałam mniszką... – Zaraz potem zasnęła.

♥

Następnego dnia rano obudził go deszcz pocałunków na piersi. Otworzył oczy i ujrzał nachyloną nad nim jasną głowę Lian, która skrupulatnie pokrywała pocałunkami każdą wyniosłość i każde zagłębienie na jego skórze.

Ciało Roberta zareagowało natychmiast, lecz on mimo wszystko starał się powstrzymać.

– Lian...

Jej imię, wypowiedziane błagalnie schrypniętym głosem, sprawiło, że podniosła wzrok i żarliwy błysk w jego niebieskich oczach pozbawił go tchu w piersi. Robert spróbował ponownie:

– Lian, nie powinniśmy. To, co się wydarzyło między nami, nie powinno było zajść...

W rzeczywistości są pewne sprawy, o których jeszcze nie wiesz, i ja nie powinienem... Ach! – Miękkie usta na jego sutkach sprawiły, że wyrwał mu się jęk. – Nie powinienem wykorzystywać twojej niewinności.

– Cicho bądź, Robercie Gaddi! – To łagodnie wypowiedziane polecenie sprawiło, że się

przestał opierać i znowu się poddał.

Leżał nieruchomo na plecach, zupełnie bezbronny wobec muśnięć jej ust, aż ta śmiała ciekawość groziła, że zupełnie straci zmysły, wobec czego przejął kontrolę. Ściskając mocno dziewczynę w ramionach, przetoczył się z nią, by się znalazła pod jego ciałem; wówczas, wzbijając źrenice w jej oczy, rzekł szorstko:

– Wiedziałem! Zdecydowanie stworzyłem potwora...

Zanim ucichło echo zaraźliwego śmiechu, którym wybuchła Lian, Robert opadł na jej usta i całował ją, aż obojgu zabrakło tchu. Naukowiec ponownie wykazał się wyjątkową troską i zastosował wszelkie znane sobie sztuczki, żeby ją przenieść do świata wrażeń, w którym nie było innej rzeczywistości niż zachłanne usta, pełne ciekawości, zręczne palce oraz dotyk ciała złożonego z zaokrągleń i kątów tak idealnie pasujących do jego własnych.

Znacznie później jechali autostradą w ulewie i jak zwykle w ostatnich czasach, niewiele się odzywali. Tym razem jednak Lian czuła się szczęśliwa. Mimo złowieszczego nachmurzonej miny naukowca chciało jej się śpiewać. Nie wiedziała, jakie mroczne przemyślenia kłębią się w głowie mężczyzny siedzącego obok niej za kółkiem. Odkąd zapłacił w hotelu rachunek i pożegnał się z miłą właścicielką, prawie nie otwierał ust, wiedziała jednak, że bitwa zapewne rozgrywająca się w tej mocarnej piersi, którą z rozkoszą smakowała tego samego ranka, musi się toczyć własnym torem, aż Robert podejmie decyzję pozwalającą mu odzyskać utracony spokój ducha.

– Dokąd jedziemy? – zapytała w końcu.

– Do Paryża – wycedził krótko przez zęby.

– Świetnie! Nie znam Paryża.

Roberta zirytowała jej zadowolona mina i rzucił szorstko:

– Lian, musimy porozmawiać!

Na kilka sekund oderwał wzrok od drogi i zwrócił się do niej. Była taka ładna w tych swoich odwiecznych džinsach i swetrze z golfem, że go naszła ochota, by się wychylić do niej i tak ją pocałować, żeby nie mogła o niczym innym myśleć. Z zażenowaniem zauważył początek erekcji uciskającej mu od środka spodnie. Świadomy niepomamowanego podniecenia, jakie go ogarnia, ilekroć na nią popatrzy, wprawiła go w jeszcze większą wściekłość i jak zwykle wyładował się na niej.

– Nie możemy tak dłużej, Lian, to się musi skończyć! Nie możesz tak rzucać się na mnie bez przerwy!

Spoczęło na nim jej pogodne spojrzenie i wydało mu się, że dostrzega na jej ustach uśmiech rozbawienia. Na samą myśl, że mogłaby się z niego śmiać – podczas gdy on dokładnie czuje się tak źle, że ma ochotę walnąć w coś, co mu się nawinie – wściekł się jeszcze bardziej i ryknął:

– Słyszałaś, co powiedziałem?!

– Tak, Robercie Gaddi. Oczywiście, że cię słyszałam. Nie jestem jeszcze głucha, ale skoro tak krzyczysz, dużo nie brakuje, żebym przy tobie straciła słuch. – Dźwięczny chichot towarzyszący jej słowom o mało go nie doprowadził do szału.

– Nie śmieć się! To nie jest żart! – Przesunął sobie dłonią po włosach, zupełnie już teraz zmierzwionych, i dodał nieco spokojniejszym tonem: – Lian, nie możemy dłużej uprawiać seksu jak nieodpowiedzialne nastolatki. Są... są pewne sprawy, o których nie wiesz. Sprawy, które mogą odmienić twoje życie.

Jak zwykle wrzuciła na to ramionami, nie wykazując większego zainteresowania.

– Jakie sprawy?

– Jeszcze nie mogę ci powiedzieć, ale tymczasem powinniśmy zachowywać dystans – rzekł stanowczo.

– Ale ja się lubię z tobą kochać, Robercie Gaddi. Sprawiasz, że czuję... Nie umiem wyrazić tego słowami... Jakbym muskała niebo opuszkami palców. Co w tym złego? Nie proszę, żebyś się ze mną ożenił ani nic w tym stylu.

Jej szczere wyznanie sprawiło, że na czole Roberta zaperlił się pot i trudno mu było oddychać. Czuł, że spodnie mu zaraz wybuchną; ta drobna kobieta jest groźniejsza niż zapalka przyłożona do beczki z prochem.

– Mogłabyś nie mówić takich rzeczy, na Boga?!

– Dlaczego? – Lekko zmarszczyła czoło. – To przecież prawda. Nie moja wina, że jesteś takim dobrym nauczycielem, Robercie Gaddi. Gdybyś nim nie był, nie miałabym ochoty na powtórkę.

Naukowiec przesunął sobie palcem po kołnierzyku koszuli, która mimo rozpiętych kilku guzików zdawała się go dusić. Nie odrywając oczu od mokrej jezdni, ledwie widocznej za gęstą zasłoną padającej z nieba wody, rzucił ultimatum:

– Ostrzegam cię, Lian. To koniec. Więcej cię już nie dotknę i ty mnie również nie. Rozumiesz? – Jego słowa zabrzmiały z mocą we wnętrzu samochodu.

– Rozumiem, Robercie Gaddi – odpowiedziała zgodnie.

– Rozumiem? To wszystko, co masz do powiedzenia? – Zauważył, że jego gniew narasta na nowo, zupełnie nieproporcjonalnie do okoliczności.

– A co ci mam powiedzieć? Nie chcesz mnie całować ani żebym to ja cię całowała, nie chcesz pieścić zakamarków mojego ciała ani żebym ja to robiła tobie, nie chcesz, żebym błędziła językiem po...

– Dość już tego! – Ponownie przesunął sobie drżącą ręką po zmierzwionych czarnych włosach.

– Czego? – Spojrzała na niego z udawaną niewinnością.

Zwrócił głowę w jej stronę, bynajmniej nie dbając o to, że mogą mieć wypadek, i zabełkotał z wściekłością:

– Jesteś... jesteś...

Przerwała mu, nie tracąc ani odrobiny spokoju:

– To ty jesteś nieracjonalny, Robercie Gaddi. Twoje oczy mówią jedno, a usta drugie. A ja której z tych dwóch par mam wierzyć?

Jej spojrzenie, na wpół psotne, na wpół drwiące, przepełniło czarę.

Robert gwałtownie skręcił w pierwszy zjazd z autostrady, jaki się trafił. W milczeniu, z rękami zaciśniętymi na kierownicy zjechał na boczną drogę, zupełnie w tej chwili pustą. Skierował wóz na pobocze i zatrzymał raptownie. Za oknami padał deszcz tak gęsty, że się zdawało, jakby byli sami na świecie.

– Dlaczego stajemy...?

– Nie mów już ani słowa! – przerwał jej gwałtownie, po czym zgasił silnik, odpiął sobie i jej pas bezpieczeństwa, poszukał pod siedzeniem dźwigni i szarpnął ją ostro, rozkładając fotel.

W milczeniu pochylił się nad dziewczyną, by rozpiąć jej dżinsy i kilka sekund później beładnie rzucił spodnie i bieliznę Lian na tylne siedzenie.

– Robert... – próbowała protestować, ale znów bezceremonialnie jej przerwał:

– Cicho!

Rozpiął swoje spodnie i nie trując się ściąganiem ich, pośpiesznie nałożył sobie prezerwatywę i znów się nachylił nad Lian. Jakby nic nie ważyła, posadził ją sobie na łonie i tym razem – przeciwnie niż poprzednio, kiedy działał z najwyższą ostrożnością – nie obchodziło go, czy jest przygotowana czy nie. Silnym ruchem wsunął się do jej środka. Lian, owszem, była gotowa i współdziałała z każdym jego dzikim pchnięciem w podstawowym rytmie, jaki istoty ludzkie noszą w sobie od zarania dziejów.

Gdy nagła, intensywna ekstaza ogarnęła oboje jednocześnie, splotły się ich spojrzenia i czytali sobie nawzajem w źrenicach zachwyty dla tego zbliżenia. Krótco potem Lian, jakby straciła ostatnie zapasy energii, opadła na jego pierś i oparła twarz na ciepłym zagłębieniu jego gardła. Robert, wciąż pozostając w niej, mocno wziął ją w ramiona i obiecał sobie, że nie będzie jej próbował od siebie oddalić, przynajmniej do czasu przyjazdu do Paryża; postara się cieszyć tym niezwykłym związkiem, jak długo się da, nie myśląc o przyszłości.

Usłyszał, że Lian mamrocze coś przy jego szyi.

– Co mówisz?

– Mówię, że cię nie rozumiem, Robercie Gaddi.

Pełna satysfakcji salwa śmiechu, którą wydał z siebie naukowiec, zdawała się wychodzić z głębi jego piersi, aż w końcu, przyciskając dziewczynę do siebie jeszcze mocniej, zdołał wyksztusić:

– Nawet nie próbuj, zniewalający tamaryszku, ja sam siebie nie rozumiem.

Rozdział 12

Resztę drogi przebyli bez pośpiechu, tak że dotarcie do Paryża zajęło im jeszcze trzy dni. Dla Lian były to jedne z najszczęśliwszych dni w życiu; pełne magii, namiętności i śmiechu. Wiedziała, że wspomnienia z nich będzie nosiła w sercu już zawsze i nic ich nie zatrze. Postanowiła żyć chwilą i w konsekwencji usiłowała nie myśleć o pustce, jaką poczuje tego dnia, gdy przyjdzie im się pożegnać. W tym samym momencie przyrzekła sobie, że wykorzysta ten krótki czas, jaki ma przed sobą, i postara się zrobić zapasy szczęścia, by jakoś przetrwać zimę, która nieuniknienie nastąpi.

A zima zapowiadała się ciężka i mroźna jak nigdy.

Po przyjeździe do Paryża Robert pokazał zachwyconej dziewczynie główne atrakcje tego cudownego miasta, wożąc ją po nim samochodem. Zatrzymali się w luksusowym hotelu, w którym naukowiec zarezerwował miejsce. Zostawili samochód na hotelowym parkingu, a bagaże w pokoju i ruszyli na spacer. Zamówili deskę pysznych francuskich serów w jednym z typowych paryskich bistro i miło gawędząc przy posiłku, siedzieli w otoczeniu głośnego, różnorodnego tłumu studentów, turystów i paryżan.

– Kiedy skończysz swoją herbatkę, pójdziemy do kogoś z wizytą.

Lian skinęła głową, nie okazując większego zainteresowania. Ani razu nie zapytała, po co jadą do Paryża; jak Robert często zauważał, pozwalała się prowadzić. Zapłacili za posiłek, naukowiec przywołał taksówkę, a ta zabrała ich pod okazałą miejską rezydencję w dzielnicy Faubourg Saint-Germain. Lian rozejrzała się dookoła i nagle spostrzegła, że włoski jeża się jej na karku w znajomy sposób. Widząc, że niespodziewanie stężała, naukowiec otoczył ją w pasie ręką i poprowadził do eleganckiej bramy wejściowej.

Hol był przestronny i luksusowo urządzony, z marmurowymi schodami, secesyjną windą i dozorcą ubranym w popielatą liberię ze złotymi guzikami oraz czapkę z daszkiem. Zapytał ich, do kogo przyszli, a gdy Robert mu odpowiedział, najpierw zaanonsował ich przez wewnętrzny telefon, a dopiero potem wskazał dłonią windę.

– Madame Tausiet mieszka na ostatnim piętrze.

Ostatnie piętro zajmowało całą kondygnację budynku. Zatrzymali się przed okazałymi rzeźbionymi drzwiami z drewna orzechowego. Naukowiec odetchnął głęboko i mocno wcisnął guzik dzwonka.

Po chwili wpuściła ich żwawa pokojówka w czarnym stroju i białym fartuszką i poprowadziła do pokoju, który nazwała gabinetem. Był przestronny i jasny, z ogromnymi drewnianymi regałami pełnymi cennych woluminów, których – jak ocenił naukowiec już na pierwszy rzut oka – nie powstydziliby się biblioteka w La Fortezzy. Pokojówka, zanim się wycofała, zachęciła, żeby usiedli, i powiedziała, że pani ich zaraz przyjmie.

Kilka minut później do gabinetu weszła wysoka blondwłosa kobieta w wieku ponad czterdziestu lat, ubrana w stylową sukienkę ozdobioną wspaniałym sznurem australijskich pereł. Zwróciła się do Roberta z uśmiechem na twarzy.

– To zaszczyt gościć u siebie sławnego naukowca Roberta Gaddiego. – Podała mu rękę o eleganckich palcach, na których błyszczały liczne pierścionki.

– Zaszczyt jest po mojej stronie, madame Tausiet. Bardzo się zasmuciłem, kiedy zmarł pani brat. Georges Saint-Saëns był godnym podziwu człowiekiem, wzorcem do naśladowania dla nas, wówczas nastolatków, którzy zaczynali wykazywać zainteresowanie polityką.

Naukowiec przywołał na usta swój czarujący uśmiech i kobieta mimowolnie nagle zamrugnęła, a Lian z rezygnacją uświadomiła sobie, że ona też nie potrafi się oprzeć jego nieodpartemu męskiemu urokowi.

– Tak, monsieur Gaddi. Georges był jednym z tych ludzi, którzy zostawiają po sobie ślad.

Robert wykrył w jej wielkich kasztanowych oczach cień wyrzutu sumienia.

– Pozwoli pani, że przedstawię pannę Lian Zhao.

Do tej pory trzymał rękę opartą na kibici Lian, a teraz popchnął ją lekko do przodu.

– Bardzo mi miło, panno...

Patrząc na towarzyszącą sławnemu naukowcowi kobietę, której obecność do tej pory ledwie zauważyła, madame Tausiet pobladała i zatrzymała w pół ruchu rękę, którą wyciągała do uścisku. Zamiast ją podać, zasłoniła nią sobie usta, tłumiąc okrzyk.

Lian spojrzała na Roberta, nie bardzo wiedząc, co robić, ale złociste oczy wpatrywały się we Francuzkę, która w tej chwili wyglądała, jak gdyby zaraz miała zemdleć. Naukowiec zareagował natychmiast – podtrzymał ją za ramię i delikatnie poprowadził do jednej z ciemnych pluszowych sof, na której ją bezpiecznie posadził. Kilka sekund później madame Tausiet drżącą ręką dała znak Lian, by zajęła miejsce obok niej. Dziewczyna posłusznie usiadła na przepastnej sofie, trzymając nogi złączone, a ręce skrzyżowane na podołku i nieco speszona patrzyła na tę obcą kobietę, która teraz sprawiała wrażenie, że się zaraz rozplacze.

Madame Tausiet zasłoniła sobie usta końcami palców, jakby chciała ukryć drżenie warg, i w końcu wydała dźwięk, który brzmiał prawie jak szloch:

– Léa?

Lian, zmieszana, skierowała spojrzenie na naukowca i uniosła brwi w niemym pytaniu.

– Lian, sądzę, że madame Tausiet myśli, że możesz być kimś innym – wyjaśnił Robert, siedzący teraz tuż obok w fotelu i przyglądający się uważnie scenie.

– Kimś innym? – Wielkie niebieskie oczy przesuwają się z jednej osoby na drugą z wyraźną dezorientacją.

– Masz takie same oczy jak Georges. Jesteś Léa, córeczka, którą mojemu bratu porwano ponad dwadzieścia dwa lata temu.

Mimo wyraźnego wysiłku, jaki elegancka kobieta wkładała w to, żeby się nie dać ponieść emocjom, po jej policzkach popłynęły wielkie łzy, a usta zmagaly się z drżeniem, by się choć lekko uśmiechnąć. Nie mogąc się powstrzymać, madame Tausiet wzięła Lian za rękę i uściśliła ją w swoich dłoniach.

– Pani... brata?

Sądząc z wyglądu wyrazistych niebieskich tęczy, które przypominały w tej chwili osaczoną łanię, Robert wywnioskował, że Lian ma ochotę uwolnić się od ściskających ją dłoni i wybiec z pokoju, dlatego postanowił interweniować.

– Proszę posłuchać, madame Tausiet...

– Możecie mi mówić Marianne – wtrąciła.

– Dziękuję, Marianne. W rzeczywistości Lian nie pamięta nic ze swoich pierwszych czterech czy pięciu lat życia. Podejrzewam, że w tym wieku przydarzyło się jej coś na tyle traumatycznego, by wymazać kompletnie wspomnienia z tamtego wczesnego okresu.

– Moja biedna dziewczynka!

Lian patrzyła przerażona, jak kobieta podnosi jej dłoń do ust i całuje ją raz za razem, oblewając łzami. Nagle pani domu zerwała się na równe nogi.

– Mam pomysł – oznajmiła. – Przyszło mi do głowy coś, co może ci pomóc odzyskać wspomnienia!

Niczego nie wyjaśniając, Marianne Tausiet wybiegła z gabinetu i zaraz wróciła, przyciskając sobie do piersi ramkę ze zdjęciem. Ponownie usiadła obok dziewczyny i wręczyła jej portret. Lian opuściła wzrok na fotografię w srebrnej ramce, którą teraz trzymała w rękach, i ujrzała twarz ponadtrzydziestoletniego przystojnego mężczyzny o zaczesanych do tyłu jasnych włosach; jego pełne wyrazu niebieskie oczy zdawały się figlarnie odwzajemniać jej spojrzenie.

Robertowi nie umknęło, że Lian rozchyliła usta i łapczywie zaczerpnęła powietrza, jakby go jej zabrakło w płucach, po czym przyłożyła opuszki palców do szkła i w delikatnej pieśszczocie przesunęła nimi powoli po tej jakże znajomej twarzy.

– Tatus... – szepnęła.

– Tak, właśnie tak, Léo. Tatus. Tak nazywałaś swojego tatę,

Teraz już łzy płynęły strumieniami po tych wciąż gładkich policzkach, kobieta wcale ich nie powstrzymywała.

Lian ze skonsternowaną miną podniosła wzrok znad fotografii i skierowała błagalne spojrzenie na Roberta. W odpowiedzi na jej niemą prośbę naukowiec podszedł dwoma dużymi krokami, przysiadł przed nią na stoliku kawowym i ująwszy w dłonie jej ręce – teraz lodowate – włożył całą moc swoich złocistych oczu, by przeprowadzić Lian przez ten trudny moment.

– Spokojnie, Lian. Oddychaj głęboko – polecił i wbrew temu, czego można by się spodziewać, jego oschły, autorytatywny głos zdołał ją uspokoić.

Nie wypuszczając drobnych palców, które drżały w jego dłoni, Robert zwrócił się do madame Tausiet:

– Bylibyśmy wdzięczni, gdybyś nam opowiedziała, co się dokładnie zdarzyło tamtego dnia, gdy Lian czy Léa zniknęła z waszego życia.

Kobieta wyjęła z kieszeni batystową chusteczkę, wydmuchała nos i ostrożnie osuszyła sobie policzki, żeby nie zepsuć makijażu, po czym rozpoczęła opowieść.

– Minęło tyle lat, ale pamiętam do ostatniego szczegółu, jak wyglądał tamten dzień. Będzie jednak lepiej, jeżeli zacznę od początku, tak aby Léa miała jakieś pojęcie o swoim pochodzeniu. – Marianne położyła dłoń na udzie dziewczyny, jakby nie mogła się oprzeć i musiała jej dotknąć. – Widzisz, kochana, odkąd zmarli nasi rodzice, mieszkałam właśnie w tym domu z moim bratem, który był o wiele starszy ode mnie. Anne, twoja matka, chętnie przyjmowała moją obecność, mimo że młodemu małżeństwu nie jest łatwo mieć pod opieką nastolatkę. Ale twoja matka, Léo, była nietuzinkową kobietą, łagodną, wesołą, czarującą... Choć masz oczy i włosy po tacie, jesteś żywym portretem mamy, taka drobna i delikatna. Georges kochał ją do szaleństwa i kiedy zaszła w ciążę, gdy już prawie tracili nadzieję na dziecko, radość ich obojga była wręcz namacalna.

Marianne Tausiet zrobiła przerwę, żeby znowu wydmuchać nos i nieco uspokojona, dalej snuła opowieść.

– Poród okazał się skomplikowany i mimo że Georges sprowadził najlepszych specjalistów, Anne zmarła tydzień po wydaniu na świat ślicznej dziewczynki: ciebie.

Lian mocno ścisnęła rękę Roberta, a on odwzajemnił uścisk, starając się przekazać jej choć trochę pocieszenia.

– Nastąpiły straszne dni, były chwile, w których myślałam, że mój brat postrada rozum. Nigdy nie widziałam, żeby mężczyzna płakał w taki sposób. Całymi dniami nie wychodził ze swojego pokoju; leżał na łóżku w ciemności, wciąż szlochał i złorzeczył na głos. Nie wiedziałam, co robić, nie odważyłam się wejść do jego sypialni. Spróbowałam raz, ale odprawił mnie gwałtownie.

Pokręciła głową i mówiła dalej.

– Jakiś tydzień później chodziłam tam i z powrotem po korytarzu z tobą w ramionach, próbując uciszyć twój płacz, gdy nagle otworzyły się drzwi sypialni brata, a on opuścił swoją samotnię. Wyglądał okropnie. Przez cały ten czas nie mył się ani nie zmieniał ubrania, jadł niewiele, miał bardzo zaczerwienione oczy. Bez słowa podszedł do mnie i wyciągnął ręce. Przez chwilę się wahałam, lecz w końcu ustąpiłam. Do dziś pamiętam, jak niezręcznie, na wpół wystraszony, wziął cię i przytulił do piersi. I wtedy to się stało: twój płacz ucichł jak ręką odjął i chociaż znawcy twierdzą, że noworodki nie są w stanie skupić wzroku, kiedy te dwie pary niemal identycznych oczu weszły z sobą w kontakt, byłam świadkiem czegoś, co nazywają miłością od pierwszego wejrzenia. Od tej pory ojca i córkę łączyła silniejsza więź niż jakakolwiek, jaką miałam przywilej oglądać w życiu...

– Chwileczkę, Marianne. Czy mógłbym prosić o szklaneczkę likieru lub czegoś, co zawiera alkohol? – przerwał jej Robert.

Natychmiast skinęła głową i wskazała stojący w kącie pokoju barek. Naukowiec podszedł do niego, wziął szklankę i po obejrzeniu butelek nalał hojną porcję koniaku.

– Każę przynieść coś do jedzenia – zaproponowała z troską pani domu.

– Dziękuję, nie trzeba. Napij się, Lian.

Władczym gestem podał szklaneczkę wciąż drżącej dziewczynie.

– Wiesz, że nie piję alkoholu, Robercie Gaddi.

– Ale dzisiaj wypijesz. – Zdecydowanym ruchem przyłożył brzeg szkła do jej ust.

Lian z wielką niechęcią, pod przymusem otworzyła usta, a kiedy szlachetny trunk spłynął jej do

gardła, rozkaszała się.

– Dobrze! – rzekł Robert z zadowoleniem. – Jeszcze trochę.

– Nie! – Lian odsunęła twarz i otarła sobie załzawione oczy wierzchem dłoni. Choć czuła, że jej żołądek stanął w płomieniach, drink najwyraźniej przyniósł efekt. Nieco uspokojona, zwróciła się do swej nowo poznanej cioci i poprosiła: – Możemy słuchać dalej?

Marianne spojrzała pytająco na Roberta, a gdy w milczeniu skinął głową, podjęła opowieść.

– Od tamtego czasu, Léo, byłeś powodem istnienia swego ojca. Mimo jego sukcesów i błyskotliwej kariery politycznej to ty byłeś motorem napędzającym jego życie. Kiedy mógł, uciekał od swoich rozlicznych obowiązków i zabierał cię do zameczku, który nasza rodzina posiada niedaleko Bonnieux, w Prowansji. Tam spędzaliście czas we dwoje, przemierzając otaczające dom winnice.

Nagle Lian nie znajdowała się już tu, w wystawnej paryskiej rezydencji swej cioci, tylko trzymając za rękę wysokiego, silnego mężczyznę, wędrowała wzdłuż niekończących się rzędów winnych krzewów poprzywiązywanych do trejaży.

– *Patrząc, Léo, widzisz te pączki? Niedługo będą się w tych miejscach zwieszały kiście winogron.*

Tata pokazywał jej coś, co rozbudzało w niej ciekawość, lecz mała Léa nie zawsze zwracała uwagę na słowa, wystarczało jej, że słyszy pomruk jego głosu, głębokiego i kochanego. Czując dotyk tej ciepłej dłoni, w której jej małe palce znikały zupełnie, i wystawiając twarz do słabych promieni słońca, chociaż nie miała tego świadomości – jak bywa prawie zawsze – w tym momencie czuła się całkowicie i dogłębnie szczęśliwa.

Teren winnicy był urwisty, wiedziała jednak, że nic się nie stanie, jeżeli się potknie, ponieważ mężczyzna, który idzie obok niej, zawsze będzie przy niej, by ją ochronić...

– Lian, co się dzieje? Pobielałaś jak chusta.

Do terażniejszości przywróciło ją nieprzyjemne poklepywanie po twarzy i dźwięk tego innego, bardzo odległego głosu.

– Nic mi nie jest. Nic mi nie jest.

Robert ujął w dłonie jej twarz i ze zmartwioną miną wbijał wzrok w jej oczy.

– Na pewno w porządku? Możemy zostawić wyjaśnienia na później, nie śpieszy się...

– Nie! – przerwała szorstko i posłała mu błagalne spojrzenie. – Przysięgam, że nic mi nie jest. Muszę tego wysłuchać, Roberte Gaddi, zbyt wiele lat przeżyłam, nie pamiętając ojca.

Naukowiec w delikatnej pieśczości potarł jej kości policzkowe kciukami i nie odrywając wzroku od jej oczu, zapewnił z przekonaniem:

– Jeśli go zapomniałaś, to z powodu okoliczności, które cię do tego zmusiły, Lian. Nie ma w tym twojej winy. Zawsze o tym pamiętaj.

Kiwnęła głową i na jej ustach zawitał drżący uśmiech. Łagodnie odsunęła jego ręce od swojej twarzy i ponownie zwróciła się do cioci, która spoglądała na nią zatroskana.

– Daję słowo, że nic mi nie jest. Proszę, opowiadaj dalej.

Marianne odchrząknęła.

– Tamtego popołudnia właśnie wróciłam z uczelni, bo studiowałam, i byłam u siebie w pokoju, kiedy w holu rozległy się krzyki. Wypadłam na korytarz i zastałam nianię, Marie, która krzyczała i zanosila się płaczem, nie posiadając się z rozpacz, bo Léa zniknęła. Czy kiedykolwiek doznaliście takiego wrażenia, że nie wiadomo, czy to się dzieje naprawdę, czy tylko śnicie jakiś koszmar? Dokładnie coś takiego odczuwałam w tamtej chwili. Kiedy w końcu zdobyłam się na reakcję, pobiegłam do telefonu i zadzwoniłam do brata, który wtedy wygłaszał przemówienie w Zgromadzeniu Narodowym. Kiedy go powiadomiono o nieszczęściu, natychmiast skrócił swoje wystąpienie, upoważnił w swoim imieniu prezydenta republiki i przyjechał tu jak najszybciej.

Przerwała na chwilę, przygnieciona ciężarem wspomnień.

– W domu panował tumult. Ludzie biegali, krzyczeli, płakali. Na szczęście Georges był jedną z tych osób, które potrafią zachować spokój w najbardziej ekstremalnych sytuacjach, i kiedy

przyjechał, odesłał służących, którzy tylko krążyli bezradnie, nie wiedząc, co robić, po czym zamknął się ze mną i z Marie w tym właśnie pokoju. Tak jak pan zrobił przed chwilą, dał starej niani do wypicia trochę koniaku i kiedy przestała się trząść, poprosił, by szczegółowo wyjaśniła, co się wydarzyło. Marie opowiedziała, jak siedziała sobie na ławce w parku, podczas gdy Léa kręciła się jeszcze raz na karuzeli.

Słyszając to, Lian gwałtownie podniosła wzrok na naukowca i zauważyła, że prawie niedostrzegalnie skinął głową. Marianne tymczasem mówiła dalej i dziewczyna musiała się skupić na jej słowach.

– Wcześniej, po drodze do parku, wstąpiły do warzywniaka na małe zakupy. Koszyk z nimi Marie postawiła sobie koło nóg. Nagle podbiegł łobuz, wyglądający na jakieś dwanaście lat, porwał jej koszyk i uciekł. Pobiegła za nim z krzykiem, ale ludzie najwyraźniej pomyśleli, że oszalała, bo nikt się nie pofatygował, by jej pomóc. Kawałek dalej, gdy już nie miała sił biec, znalazła zawartość koszyka rozrzuconą po ziemi i w tym momencie ogarnęło ją przeczucie, że Léa jest w niebezpieczeństwie. Czym prędzej wróciła do karuzeli i serce w niej zamarło, gdy nie dostrzegła dziewczynki wśród dzieci kręcących się na kolorowych konikach. Zasnana podeszła do ławki, na której zwykle siedziała, ale tu była tylko inna niania, znana jej z kilku rozmów. Powiedziała jej, że widziała, jak Léa idzie w stronę bramy parku za rękę z jakąś dość elegancką kobietą. Kiedy Marie to usłyszała, pośpiesznie wróciła do domu, by nas powiadomić. Kiedy zrelacjonowała nam, co wiedziała, Georges od razu wysłał ją do jej pokoju i wezwał do niej lekarza, ponieważ nie podobał mu się poszarzały kolor twarzy staruszki. Potem powiadomił policję, a ta przyjechała natychmiast. Poczawszy od tego momentu mój brat porzucił karierę polityczną i skupił się na poszukiwaniu córki. Gdyby tego nie zrobił, najprawdopodobniej wybrano by go na lidera partii i wystawiono jego kandydaturę w najbliższych wyborach ogólnych. Może nawet zostałby nowym prezydentem republiki, ale jak ci już mówiłam, Léo – zwróciła się do niej ze słodkim uśmiechem – ty byłaś dla niego najważniejsza i z podjęciem decyzji nie wahał się ani sekundy.

Popatrzyła na bratanicę wymownie, zanim podjęła wątek.

– Cały swój czas i wszystkie środki finansowe poświęcił na szukanie cię. Gdyby nie jego naciski, sądzę, że policja jedynie zarchiwizowałaby sprawę jako kolejne niewyjaśnione porwanie nieletniej. Nagle jednak pod wpływem zniknięcia Léi zaczęto powiązywać wątki. Okazało się, że najwyraźniej od ponad dwóch lat w prawie wszystkich prefekturach Francji zgłaszano zniknięcia dzieci obu płci o charakterystycznych tych samych cechach wyglądu: blond włosach, bladej cerze i jasnych oczach. Aż do tamtej pory nikt nie skojarzył tych faktów, ale po przeanalizowaniu wszystkich danych było aż nadto wyraźnie widoczne, że sprawy te są powiązane. Wówczas policja doszła do wniosku, że od długiego czasu pod jej nosem odbywa się handel białymi niewolnikami. Rok później zatrzymano kobietę, która zabrała cię z parku, a następnie cierpliwie gromadząc wydobywane od niej informacje, rozpracowano organizację przestępczą, której przywódcy wywodzili się z ukraińskiej mafii, choć miała odgałęzienia we wszystkich krajach Europy. Twój tata poleciał do Chin i Filipin, gdzie tamtejsza policja zlokalizowała znaczą część porwanych dzieci; były trzymane w domach publicznych specjalizujących się w bardzo specyficznych usługach. Klientela wywodziła się w większości spośród bogatych biznesmenów z krajów arabskich i Japonii. Rozpętał się skandal na międzynarodową skalę, pisały o tym wtedy wszystkie gazety. Nie znaleziono jednak ani śladu ciebie, Léo. Georges osobiście przepytął większość zatrzymanych przestępców: Chińczyków, Filipińczyków i kilku Ukraińców, którzy organizowali transporty z Francji... Nikt nie potrafił udzielić żadnej wskazówki co do twojego miejsca pobytu, nie wiadomo było nawet, czy wciąż żyjesz, czy nie umarłaś jak tyle innych dzieci. Wyszło na jaw, że kilkoro z nich zdołało uciec, i to sprawiło, że mój brat nie tracił nadziei, że cię pewnego dnia odnajdzie. Trzymał się tej myśli do tego stopnia, że założył na twoje imię i nazwisko fideikomis, tak aby gdy się pojawisz, nie brakło ci środków finansowych do końca życia.

Marianne spojrzała na bratanicę z czułością, po czym kontynuowała swoją opowieść.

– Wracając do początku... Po sprowadzeniu do ojczyzny dzieci, które udało się odnaleźć, policja zamknęła sprawę. Niemniej twój tata nigdy się nie poddał. Wynajął detektywów z jednej z najlepszych agencji i szukał cię niestrudzenie, aż pewnego dnia jego serce dłużej już nie wytrzymało.

Marianne przerwała na chwilę i znów uniosła chusteczkę do oczu, zaraz się jednak opanowała.

– Pięć lat po twoim zniknięciu zmarł na zawał serca. Lekarz mówi o stresie, o przeciążeniu pracą, napięciu... Ale ja wiem, co się wydarzyło: mojemu bratu, twojemu tatusiowi, serce pękło z żalu.

Lian przełknęła ślinę i zapytała:

– Co się stało z Marie?

– Stare serce twojej niani też długo nie wytrzymało. Po twoim zniknięciu, choć nikt jej o nic nie obwiniał, zadreżczała się wyrzutami sumienia. Kilka miesięcy po tym, co się wydarzyło w parku, umarła w swym łóżku. Wieczorem położyła się spać i już się nie obudziła.

Kiedy Marianne Tausiet zamilkła, zapadła ciężka cisza. Lian czuła przytłaczający ciężar winy, a do tego dochodził tępy ból głowy – zdawało się jej, że czaszka jej zaraz wybuchnie.

– Bardzo dziękujemy za wszystko, Marianne – rzekł Robert, widząc, jak dziewczyna pobladła. – Obawiam się, że panna Zhao czuje się nie za dobrze. Sądzę, że będzie lepiej, jeśli zabiorę ją do hotelu, by trochę odpoczęła.

– Léa, możesz zatrzymać się tutaj, jeśli chcesz. To był również dom twojego taty i tym samym jest twój.

Słyszając tę propozycję, naukowiec stężał i nie odzywając się, czekał na odpowiedź dziewczyny.

– Bardzo dziękuję, mada...

– Léo, jestem twoją ciotką Marianne. – Kobieta patrzyła na nią błagalnie.

Lian zdobyła się na słaby przeproszający uśmiech i uniosła rękę do czoła, na próżno usiłując stłumić kłujący ból między oczami.

– Przepraszam, ciciu. Obawiam się, że to za dużo niespodzianek naraz. Muszę się jeszcze przyzwyczaić do wielu rzeczy. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wrócę do hotelu z panem Gaddim. Wciąż dla niego pracuję i mam rozkaz ani na chwilę nie zostawiać go samego. Obiecuję ci, że kiedy będę mogła, wrócę, żeby porozmawiać z tobą długo i szczegółowo.

Marianne Tausiet, zrezygnowana, odprowadziła ich do drzwi.

– Nie zapomnij o swojej obietnicy, Léo. Musimy nadrobić stracony czas. Jesteś jedynym, co mi pozostało po bracie. Ponadto chciałabym, żebyś poznała kuzynów. Masz ich dwóch.

Nie prosząc o pozwolenie, objęła ją i mocno uściskała, a dziewczyna poczuła, że kobieta ma łzy na policzkach.

Kiedy wracali taksówką do hotelu, Lian była bezustannie milcząca i Robert nie próbował przerywać ciszy. Miał wrażenie, że z tą kobietą, która – ze spojrzeniem zagubionym gdzieś w dali za oknem – zdawała się drobniejsza i bardziej podatna na zranienie niż kiedykolwiek, łączy go więź na podobieństwo pępownicy pozwalającej wyczuć najmniejsze emocje kłębiące się w jej piersi. Ból, smutek, gniew... a nade wszystko straszliwe, irracjonalne poczucie winy.

Po przybyciu do luksusowego pokoju, który naukowiec wynajął, Lian zwróciła się do niego z pytaniem:

– Miałbyś coś przeciwko temu, żeby zostawić mnie na chwilę samą, Robercie Gaddi?

Mimo że najchętniej zostałby z nią i trzymał ją w objęciach, coś w jej pozbawionej wyrazu twarzy powiedziało mu, że lepiej spełnić prośbę. Skinął więc głową i skierował się do drzwi, ale zanim wyszedł, usłyszał jeszcze:

– Obiecuję, że nie wyjdiesz z hotelu.

– W porządku, obiecuję. Napiję się czegoś w barze. Usiądę twarzą do wejścia, żeby widzieć zabójcę, w razie gdyby jakiś miał czelność się pojawić.

Znów ta żalсна próba uśmiechu na miękkich ustach dziewczyny sprawiła, że miał ochotę znaleźć się przy niej i z całych sił przycisnąć ją do siebie. Z wysiłkiem wziął się w garść i wyszedł z pokoju.

Rozdział 13

Gdy wrócił dwie godziny później, zastał Lian zwinietą w kłębek na materacu. Nawet się nie rozebrała, tyle że zdjęła buty i przykryła się ciepłym kocem leżącym w nogach łóżka. Podeszedł na paluszkach, żeby jej nie obudzić, i spostrzegł, że cała drży. Zaniepokojony położył dłoń na jej czole i stwierdził, że jest gorące.

Pośpiesznie poszukał w walizce kosmetyczki i wyjął z niej ibuprofen, który miał zawsze przy sobie. Napełnił szklankę wodą z butelki, którą znalazł w barku, i podeszedł do dziewczyny.

– Obudź się, Lian! Jesteś rozpalona, masz gorączkę.

Delikatne powieki uchyliły się wolno i w szklistych oczach załśniła dezorientacja. Robert wsunął rękę pod jej ramiona i pomógł jej się podnieść, po czym położył tabletkę na języku dziewczyny i przytknął jej do ust szklankę z wodą, by popiła lek. Następnie postawił szklankę na szafce nocnej i chciał wstać, ale Lian zarzuciła mu ręce na szyję i nie puściła go.

– Nie zostawiaj mnie, Robercie Gaddi! – poprosiła. – Przytul mnie!

– Zaczekaj chwilę.

Zdjął buty i marynarkę, położył się obok dziewczyny i objął ją ramieniem. Lian oparła policzek o jego pierś, dłonią znalazła miejsce, gdzie jego serce biło pod koszulą spokojnym, pewnym rytmem, i zaczęła mówić z tym swoim egzotycznym akcentem, który zaznaczał się mocniej, gdy pochłaniał ją temat.

Słowa wypływały z niej wzburzoną, niepowstrzymaną strumieniem. Opowiedziała mu to, co przez tyle lat spoczywało pogrzebane w jakimś zakamarku podświadomości i co nagle, na widok portretu ojca i po wysłuchaniu opowieści cioci, wydobyło się z powrotem na powierzchnię. Dawno zapomniane obrazy uzyskały taką ostrość, że – jak czuła – gdyby o nich nie powiedziała, udusiłaby się własnym udręczeniem.

Mówiła i mówiła... Upływały minuty, godziny... Aż w końcu zmęczona i prawie ochrypła, zasnęła w jego ramionach, które w tym momencie zdawały się jej jedynym pewnym schronieniem.

Zauważywszy, że pieśczoła jej oddechu na jego piersi stała się regularna, Robert przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej i z podbródkiem ukrytym w jej miękkich jasnych włosach rozmyślał o niewiarygodnym życiu tej dziewczyny, która teraz spała ufnie w jego ramionach.

Lian Zhao to kobieta godna podziwu, rzekł sobie. Wytrwała wojowniczką, która nigdy nie poddaje się wobec przeciwności. Od najmłodszych lat musiała stawiać czoło zdarzeniom, które złamałyby niejednego dorosłego, i nie tylko wyszła z tego zwycięsko, lecz także wyrosła na nietuzinkową osobę, szczodłą i pełną współczucia. I w przeciwieństwie do niego nigdy nie pozwoliła, by ją ogarnęło zgorzknienie.

Gdy los tak gwałtownie wyrwał ją z ramion bliskich i z luksusowego, wygodnego życia, które jej początkowo było pisane, zdołała podźwignąć się po tym ciosie, a ponadto wyszła z tej trudnej próby jeszcze silniejsza.

Podczas tych trzech sielankowych dni, jakie spędzili w drodze do Paryża – gdy nie brakowało ożywionych rozmów ani śmiechów z byle powodu; gdy pod wpływem impulsu zatrzymywali się w jakimś miejscu, które zwróciło ich uwagę, by zwiedzić średniowieczne miasteczko czy jakieś ruiny; gdy każdy pretekst był dobry, żeby zamknąć Lian w ramionach i namiętnie ją całować; gdy noce zamieniły się w czas czystej magii, ledwie pozwalającej im zażyć nieco snu – nawet wtedy, choć czuł się szczęśliwszy niż kiedykolwiek przez ostatnich dwadzieścia lat, nie rozpoznawał tego, co miał tuż przed nosem. Od miesięcy oszukiwał sam siebie, ale historia, którą właśnie opowiedziała mu kobieta w tej chwili śpiąca w jego ramionach, otworzyła mu oczy. Nareszcie.

Kocha Lian.

Kocha jej miękkie jasne włosy obramowujące piękną twarz, wielkie niebieskie oczy patrzące na niego z taką pogodą, ten nieco dziecięcy nos, który tak często wyzywająco zadziera. Jej delikatne, lekkie ruchy, siłę ukrytą w jej smukłym ciele, na pozór tak kruchym, nieświadomość własnej atrakcyjności, nieustannie okazywaną wrażliwość i inteligencję, a nade wszystko kocha jej niewinność.

Nie tylko niewinność ciała, ale też tę ufność, z jaką Lian patrzy na świat i widzi tylko otaczające ją piękno.

Ta drobna kobieta wydająca się zaledwie dziewczynką sprawiła, że odzyskał wiarę w ludzkość, a zwłaszcza w samego siebie. Tyle lat tarzał się w oszustwie i zgorzknieniu, Lian zaś przywróciła mu nadzieję i pod jej wpływem dostrzegł, że może się stać lepszym człowiekiem.

Jednak kiedy porównał tak rozbieżne losy ich obojga, poczuł się zawstydzony. „Nie jestem godzien całować jej stóp”, rzekł sobie. Wiedział, że Lian myśli, że jest w nim zakochana; sposób, w jaki mu się oddawała bez fałszywej skromności, bez ukrywania czegokolwiek, mówił sam za siebie. Lecz on nie może tego wykorzystywać. Już i tak źle się stało, że nie był w stanie się oprzeć i kochał się z nią, choć skłamałby jak jakiś drań, gdyby twierdził, że żałuje, iż był pierwszym mężczyzną w jej życiu. Miłość do niej to jedna z najszlachetniejszych rzeczy, jakie mu się przydarzyły, jednak wyraźnie otwierała się przed nim ścieżka, którą w tej chwili powinien podążać.

Musi się jej wyrzec.

Lian należy do szeroko znanej francuskiej rodziny. Jej ojciec był jednym z najbardziej lubianych i cenionych polityków, jakich miał ten kraj. Z tego, co dała do zrozumienia jej ciotka, Lian odziedziczyła po ojcu majątek, który zabezpieczy ją na całe życie. Dlatego trzeba się wycofać. Dziewczyna ma prawo odzyskać życie, które by prowadziła, gdyby nie została porwana i ograbiona z dwudziestu dwóch lat dzieciństwa i młodości.

On mimo swoich uczuć nie ma prawa zatrzymywać jej przy sobie, co w rzeczywistości najchętniej by zrobił. Gdyby to od niego zależało, zamknąłby się z nią w La Fortezzy i wychylał stamtąd nos tylko w razie niezbędnej konieczności. Nie chciał się nią dzielić z innymi ludźmi, nie chciał, aby ktoś lub coś zmieniło tę niezwykłą kobietę. Poglądził z czułością jej twarz. Lian spała spokojnie z policzkiem opartym o jego pierś, zupełnie nieświadoma jego posępnych myśli. Nie mogąc się powstrzymać, jeszcze bliżej przysunął ją do siebie i lekko pocałował jej miękkie włosy.

Przynajmniej raz w życiu zrobi, co należy, przyrzekł sobie niezłomnie. Tym razem nie pozwoli, by go poniósł egoizm. Za bardzo ją kocha, by ją zatrzymać przy sobie, wyrzeknie się więc jej, choć go to zdruzgotuje. Może na początku Lian nie zgodzi się z tym postanowieniem, ale wiedział, że w końcu je doceni. Dziewczyna zasługuje na coś lepszego niż rozłączyły, zgorzkniały mężczyzna.

Zasługuje na szczęście.

W tej chwili zrozumiał, że oto Lian po raz ostatni śpi w jego ramionach, i postanowiwszy wykorzystać to do ostatniej sekundy, resztę nocy spędził, czuwając nad jej snem.



Kiedy Lian się zbudziła, była w łóżku sama. Zaraz potem otworzyły się drzwi łazienki i wyszedł Robert, świeżo ogolony i elegancki jak zwykle, mimo że – sądząc po ciemnych kręgach pod oczami, których tęczęwki jeszcze mocniej błyszczały złotem – najwyraźniej przez całą noc nie zmrużył oka. Wyraz jego atrakcyjnej twarzy był nieprzenikniony i coś w jego postawie przyprawiło Lian o gęsią skórę.

– Lepiej weź prysznic, Lian, niedługo wylatujemy. Wracamy do Waszyngtonu.

Słyszac chłód w jego głosie, zrozumiała, że coś się zmieniło. Od razu wiedziała, bez najmniejszej wątpliwości, że oto w końcu przyszedł moment, którego się tak obawiała. I ze zwykłym u siebie fatalizmem poddała się bez walki. W milczeniu wyszła z łóżka i zamknęła się w łazience. Dość długo stała pod ciepłym strumieniem wody, starając się nie myśleć. Mimo głuchego bólu, jaki odczuwała, nie mogła się dla Roberta zatracić, choć właśnie tego pragnęła; wciąż miała zadanie do wykonania, a już przecież zdążyła zachować się mało profesjonalnie, mieszając obowiązki z przyjemnością. Nie pora teraz zawalać pracę – powiedziała sobie. Dlatego skończyła się czesać, wyszła z łazienki i szybko pozbierała swoje rzeczy.

– Jestem gotowa.

Robert bez słowa zmierzył ją wzrokiem z góry na dół. Tak mocno się przy tym nachmurzył jak rzadko. Lian nieświadomie wyprostowała się nieco bardziej i odpowiedziała niewzruszonym spojrzeniem.

– Lian... – zaczął, ale zaraz urwał, zaciskając usta i po kilku sekundach, w trakcie których

odniosła wrażenie, że walczy sam z sobą, rzucił nieprzyjemnym tonem: – Ruszajmy w końcu, bo się spóźnimy na ten cholerny samolot!

Podczas długiego transoceanicznego lotu niewiele rozmawiali. Robert wolałby jej wyjaśnić, jak się czuje i jakie powody stoją za podjęciem decyzji o rozstaniu z nią na zawsze, miał jednak wrażenie, że jeżeli zacznie mówić, straci całą swoją determinację, zniechęci się i zrobi dokładnie to, z czym obiecał sobie skończyć: pocałuje ją raz i drugi i sprawi, że ona przysięgnie na zawsze pozostać u jego boku.

Zerknął na nią kątem oka. Była taka piękna i spokojna jak zwykle. Gdyby nie to, że od kilku minut nie przewróciła strony, pomyślałby, że całkowicie ją pochłonęło kolorowe czasopismo linii lotniczych, które znalazła wetknięte w kieszeń siedzenia przed sobą.

„Robię to dla twojego dobra!” – krzyknął niemo, choć rozdzierało mu to wnętrze.

Najlepiej byłoby, gdyby uznała go za pozbawionego skrupułów uwodziciela, który widzi w niej tylko kolejny podbój łóżkowy. Czyste, szybkie cięcie na dłuższą metę jest mniej bolesne, mówił sobie albo przynajmniej chciał w to wierzyć.

Kiedy przybyli do Waszyngtonu, była już noc. Samolot wylądował i Robert wyjął komórkę, by z kimś porozmawiać, a tymczasem Lian brała z półki swój bagaż podręczny – małą walizkę.

– Dobrze, już jadę. – Usłyszała, jak mówi, kończąc rozmowę. – Jesteś bardzo zmęczona?

Wbrew sobie naukowiec nie mógł ukryć zaniepokojenia, patrząc na jej zmierzwiłone jasne włosy i bladość twarzy. Lecz ona spojrzała na niego nieprzeniknionym wzrokiem i pokręciła głową. Znow chciał coś powiedzieć i znow się powstrzymał, zacisnął mocno usta i z rączką walizki w jednej ręce i laską w drugiej pośpiesznie pokuśtykał przejściem między siedzeniami do wyjścia.

Mimo że jej klient sadił wielkie kroki, Lian bez widocznego wysiłku cały czas nadążała za nim, aż wyszli z budynku lotniska i wsiedli do luksusowego sportowego samochodu, który naukowiec wynajął. Zahaczyli o mieszkanie, żeby zabrać kilka potrzebnych Robertowi rzeczy, i krótko potem zostawili za sobą miasto.

Jechali już ponad pół godziny odludnymi drogami wśród gęstych iglastych lasów, aż naukowiec przerwał niewygodną ciszę.

– Jedziemy do domu Iana Doolana. Czekaj na mój raport.

Lian tylko skinęła głową na tę niespodziewaną informację i dalej patrzyła w okno, mimo że po drugiej stronie panowała nieprzenikniona ciemność.

Zirytowany jej zachowaniem, ale nade wszystko własnym, rzucił nieprzyjemnym tonem:

– Nagle zrobiłaś się niema?

Powoli obróciła głowę i zapytała bardzo spokojnie:

– Co mam mówić?

Robert, coraz bardziej zły, odparł zbyt podniesionym głosem:

– Nie wiem! Może chociaż okazałabyś zainteresowanie! Nie ma w tobie ani krzty ciekawości?

Nic cię nie obchodzi? Nigdy w życiu nie spotkałem bardziej apatycznej osoby. – Wiedział, że mówi nieracjonalnie, ale nie był w stanie się powstrzymać.

– Dobrze. Gdzie mieszka ten cały Ian Doolan?

Jej obojętna mina sprawiła, że zgrzytnął zębami.

– Koło Richmond, stolicy stanu Wirginia.

– Interesujące.

Jej ton kompletnie zaprzeczał treści wypowiedzi i Robert, nie mogąc się powstrzymać, puścił kierownicę, złapał dziewczynę za nadgarstek i ścisnął mocno.

– Nie traktuj mnie jak małego dziecka, którego humory trzeba znosić!

– Uważam, że jakiegokolwiek dziecko liczące ponad trzy lata postępowałoby bardziej racjonalnie niż ty – odpowiedziała cierpko. – Cały dzień zachowujesz się, jakby mnie tu nie było, rzucasz tylko krótkie uwagi, gdy to jest konieczne. Czego się po mnie spodziewasz? Nie wiem, co ci się stało, Roberte Gaddi. Czasami jesteś prawie miłym człowiekiem, a czasami zamieniasz się w... Jak to zawsze mówił o tobie Harrelson? – Lekko zmarszczyła delikatne brwi, próbując sobie przypomnieć. – A, tak. Palant. W autentycznego palanta.

Uśmiechnęła się, zadowolona, że przypomniała sobie słowo, którym agent FBI posługiwał się za każdym razem, gdy mówił o naukowcu. Widząc ten czarujący uśmiech, Robert zapragnął zamknąć ją w ramionach i całować do ostatniego tchu. Trudno mu było zapanować nad sobą. Pokręcił głową, w rozpaczliwym wysiłku odparcia tego impulsu; nie rozumiał, jak takie sprzeczne emocje – złość, pożądanie, uraza, żądza i miłość – mogą się równocześnie mieszać w jego piersi. A jednak taki był zawsze i taki pozostanie: walczył sam ze sobą, zachowywał się jak palant, tak jak powiedziała, rozpaczliwie pragnął ją całować i kochać się z nią jeszcze raz, a jednocześnie wiedział, że musi pozwolić jej odejść. Udręczony, gwałtownie puścił jej nadgarstek i ponownie skupił się na drodze ledwie widocznej w blasku reflektorów.

Wtem mała ręka Lian spoczęła na jego kolanie i jej ciepło przeniknęło przez cienki materiał spodni.

– Jak mawiał mistrz Cheng: „W każdej bitwie przegrywają zarówno pokonani, jak i zwycięzcy”, a ja nie chcę z tobą walczyć, Robercie Gaddi. Ty sam musisz pokonać swoje demony i w tej wojnie nikt nie może przyjść ci z pomocą – powiedziała miękko.

– Tylko tego jeszcze brakuje! Filozoficzna magnolia atakuje ponownie. – Starał się ignorować nagłą sztywność w kroczu, jaką wywołał u niego ten zwykły dotyk dłoni.

Lian wzruszyła ramionami i cofnęła rękę, a Robert, faktycznie zmagając się ostro z tymi demonami, o których wspomniała – tymi, które dokładnie w tej chwili zachłannie domagały się seksu – uznał, że najrozsądniej będzie aż do celu jechać w milczeniu.

Prawie godzinę później zaparkował samochód przed imponującym żelaznym ogrodzeniem otaczającym coś, co wyglądało na rozległy park. Zamienił kilka zdań z niewidocznym rozmówcą przez domofon, po czym brama otworzyła się gładko i podążyli wijącym się żwirowym podjazdem do okazałej rezydencji. Dwa silne reflektory oświetlały fasadę z czerwonej cegły, przedzieloną neoklasykistycznym portykiem wspartym na białych kolumnach i pozwalały dostrzec na tle pokrytego ciemnym łupkiem dachu eleganckie zarysy kilku mansard.

Naukowiec szarpnięciem wy dobył z bagażnika walizki i nie zważając na protesty Lian, wetknął sobie laskę pod pachę, do każdej ręki wziął po walizce, po czym, kulejąc, wspiał się po trzech stopniach na ganek. Zadzwoił do drzwi i zaraz potem otworzył im osobiście sam Doolan.

– Ianie – rzekł oschle Robert w ramach powitania, po czym wszedł do majestatycznego holu, a Lian trzymała się tuż za nim.

– Witaj w moich skromnych progach, Robercie. Ja też bardzo się cieszę, że znowu cię widzę – powiedział ironicznie jego stary znajomy ze studiów.

Widząc na wpół schowaną za naukowcem delikatną postać Lian, zaniemówił i lekko uniośł brwi. Robert postawił walizki na posadzce z białego marmuru i odpowiedział na nieme pytanie kolegi:

– To jest panna Zhao. Dziewczynka, którą Charles zakontraktował, żeby mi mówiła, kiedy mogę iść do ubikacji, i przypominała mi potem, że mam zapiąć rozporek – przedstawił ją sarkastycznie.

Wysoki jasnowłosy pan domu zwrócił się do niej z uprzejmym uśmiechem i mocno uściśnął jej dłoń.

– Miło mi panią poznać, panno Zhao. Znając Roberta, mogę sobie wyobrazić, że pani praca nie była piknikiem.

– Nie narzekam. – Lian nie odwzajemniła jego uśmiechu.

– W rzeczy samej kilka razy uratowała mi życie. Oczywiście nie można powiedzieć, że panna Zhao nie zna się na swojej pracy.

Jego wrogi ton sprawił, że Doolan spojrział na nią zaskoczony, widząc jednak w kocich oczach przyjaciela burzowy błysk, nie skomentował tego.

– Dobrze, chodźmy zatem do kuchni. Przygotowałem coś na kolację. Zapewne nie jedliście wiele w samolocie. Nic wielkiego, moje umiejętności kulinarne są bardzo skromne, ale akurat dziś pani Jackson ma wolne.

Poprowadził ich do przestronnej biało-czarnej kuchni wyposażonej w nowoczesny sprzęt elektryczny. Na dużej centralnej wyspie leżały rozłożone dwie podkładki z nakryciami, a Doolan zaraz

dodał trzeci komplet.

– Proszę usiąść, panno Zhao. – Kurtuazyjnym gestem wskazał jeden z wysokich stalowych stołków.

Dwaj mężczyźni też zajęli miejsca i po kilku minutach raczyli się już sałatką i serem, które przygotował gospodarz. Lian jak zwykle odmówiła wina, które jej zaproponowano, wobec czego Doolan pośpiesznie nalał jej wody do szklanki.

Lian zbyt nie uczestniczyła w ożywionej rozmowie mężczyźn. Kiedy skończyli deser, Doolan zaproponował, by przeszli do salonu. Rozsiedli się tam w wygodnych fotelach przy ogniu palącym się w imponującym kominku.

– Od kilku dni próbuję cię namierzyć, Robercie. Cassidy też nie udzielił mi informacji o twoim miejscu pobytu, a po tym, co się wydarzyło w Oviedo, bardzo się niepokoiłem.

– Charles nie wie, gdzie spędziłem te ostatnie dni. Właściwie wątpię nawet, czy jego kochani szpiedzy wiedzą, że już wróciłem do Stanów. Miałem do niego zadzwonić zaraz po powrocie, ale najpierw chciałem porozmawiać z tobą. – Zasłonił sobie usta, tłumiąc ziewnięcie. – Widzisz, Ianie, Charles i ja stwierdziliśmy, że im mniej ludzi wie, gdzie się znajduję, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że mi pošlą kulkę albo mnie wysadzą w powietrze... Tak się składa, że byłem w Paryżu.

– W Paryżu? – Znów jedna z jasnych brwi pytająco powędrowała do góry.

– Sprawy osobiste – odparł naukowiec wymijająco, po czym dodał ze swą zwyczajową ironią: – Ale nie martw się, wiedziałem, że będziesz się o mnie niepokoił, dlatego przyjechałem czym prędzej, żebyś jako pierwszy poznał najświeższe wyniki moich badań. Nie uskarżasz się, co?

Ian ruchem głowy wskazał dziewczynę, a jego rozmówca zinterpretował ten gest bez żadnego problemu.

– Możesz spokojnie przy niej mówić. Panna Zhao dobrze zna wszystkie moje... sekrety.

Jeśli próbował ją zezłościć insynuacją zawartą w tych słowach, nie udało mu się. Niebieskie oczy Lian odwzajemniły jego spojrzenie zupełnie wyprane z emocji. Robert odniósł wrażenie, że jest bledsza niż zwykle.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Bardzo dobrze.

Nie była to jednak prawda. Lian zauważyła, że w brzuchu jej się przewraca, i nagle poczuła się bardzo zmęczona. Najwyraźniej odbijała się na niej długa podróż samolotem. Naukowiec przyjrzał się jej badawczo, po czym zwrócił się z powrotem do Iana i kontynuował:

– Przejdźmy zatem do sedna. Testy naszej szczepionki wykonywane na ludziach przechodzą wszelkie moje oczekiwania. Jak wiesz, Ianie, przeprowadzane badania były zakrojone na największą do tej pory skalę, a wykazały skuteczność szczepionek na poziomie osiemdziesięciu pięciu procent w przypadku pacjentów z rakiem płuc i prostaty i dziewięćdziesięciu pięciu procent w przypadku raka piersi. Szczepionka znacząco przyczynia się również do obniżenia wystąpień rozmaitych nowotworów wątroby i pęcherza moczowego. Mając wszystkie te dane w ręku, mogę cię zapewnić, nie grzesząc wizjonerstwem, że stoimy u progu nowej epoki walki z rakiem i zapobiegania nowotworom.

W jego słowach rozbrzmiewał entuzjazm, złociste oczy błyszczały triumfem.

Ian Doolan wziął szklaneczkę whisky i powoli, z rozmysłem uniósł ją do ust. Pociągnął duży łyk i zacmokał, delektując się smakiem.

– Robi wrażenie, Robercie, gwarantuję ci, że twoje nazwisko zacznie się liczyć w nominacjach do Nobla. Widziałem, że masz ze sobą laptop. Czy jest w nim cała dokumentacja?

– Oczywiście, że nie, Ianie. Wszystko jest dobrze ukryte, jak ci już mówiłem. – Naukowiec znów zwrócił spojrzenie na Lian, która opadła karkiem na oparcie fotela i miała zamknięte oczy; była bardzo blada. – Co z tobą, Lian? Spójrz na mnie!

Posłusznie próbowała podnieść powieki, wysiłek okazał się jednak daremny – zaraz opadły z powrotem, jakby rzęsy były z ołowiu. Znów spróbowała z trudem skupić wzrok, ale choć dwaj mężczyźni znajdowali się zaledwie kilka metrów od niej, ich twarze były zamazane.

Robert, bardzo zaniepokojony, usiadł obok niej i otoczył ją w pasie ramieniem.

– Jesteś wykończona. Chodź, zaprowadzę cię do pokoju.

Lian zauważyła, że traci przytomność. Zanim odplynęła, zdążyła tylko wyszeptać:

– Uważaj... Robercie Gaddi.

Nagle jej ciało zwiotczało i zaciążyło mu w ramionach jak martwe. Robert, zupełnie skołowany, podniósł wzrok, by szukać pomocy u gospodarza, ale ten właśnie mierzył do niego ze złowieszczo wyglądającego pistoletu. Nie wierząc temu, co uparcie pokazują mu własne oczy, Robert, zdezorientowany, zapytał:

– Można wiedzieć, o co tu, u diabła, chodzi?

Nie tracąc go z celu ani na sekundę, Doolan tylko wzruszył ramionami. Robert, osłupiały, pokręcił głową. Czuł się jak w jednym z tych snów, z których nie można się przebudzić. Nagle w głowie zaświtała mu przerażająca myśl.

– Ty chyba nie...?! Otrułeś ją! – Nie mogąc w to wszystko uwierzyć, przyjrzał się opartej o jego pierś zmizerniałej twarzy, po czym znów podniósł wzrok na eleganckiego blondyna, który obserwował go beznamyślnie, i krzyknął, oszalały: – Odpowiedz, cholerny draniu, ona umrze?

– Bez obaw, Robercie. Widzę, że panna Zhao nie jest ci całkiem obojętna. Dodałem jej tylko do wody nieco flunitrazepamu. Zapewne znasz jego działanie; ma właściwości sedatywne, powoduje zwiotczenie mięśni, a potem chwilową amnezję. Mam nadzieję, że nie przedawkowałem, w końcu to ty jesteś lekarzem – rzekł lodowatym tonem. – W rzeczywistości miałem ten środek przygotowany dla ciebie, ale widzisz, nagłe pojawienie się na scenie panny Zhao wymusiło zmianę planów. Wierz mi, bynajmniej mnie to nie cieszy.

Robert jeszcze mocniej przycisnął do piersi pozbawione czucia ciało, podczas gdy jego mózg pracował na zwiększonych obrotach, próbując znaleźć jakąś drogę ucieczki, która pozwoliłaby im obojgu ująć z życiem z tej niespodziewanej pułapki.

– To znaczy, że przez cały czas to ty sabotowałeś projekt? Dwa zamachy na moje życie to twoja sprawa?

Nie opuszczając broni, Ian Doolan rozsiadł się w fotelu i spojrzał na niego bardzo poważnie.

– Faktycznie, widząc, że groźby cię nie zastraszą, wynająłem paru daremnych fachowców od brudnej roboty, ale jak wiesz, dwa razy żałośnie zawiedli, dlatego gdy zadzwoniłeś z powiadomieniem, że potajemnie, nawet bez wiedzy Cassidy'ego, wracasz do Waszyngtonu, pomyślałem, że lepiej sam zajmę się tą sprawą. Nie sądzę, że mnie to ucieszyło. Choć nie jesteśmy przyjaciółmi, znamy się od dawna i przyznaję, że cała ta sprawa jest... nieprzyjemna. – Niechętnym gestem wskazał pistoletem Lian i nagle zmienił temat. – Trudno uwierzyć, że ta młoda osóbką ochroniła cię przed zbirami.

– Tak, Lian uratowała mi życie w dwóch zamachach i nie tylko. Charles miał dobre oko, wybierając ją do tej roboty. – Nie spuszczał bursztynowych tęczy z rozmówcy, wypatrując jego najmniejszej nieuwagi. – Obsesyjnie rzuca się na mnie i osłania własnym ciałem, gdy tylko wpadnę w tarapaty.

– Cóż, nie sądzę, żeby ci to przeszkadzało. Szczerze mówiąc, też nie miałbym nic przeciwko temu, żeby się na mnie rzuciła.

Słyszac te słowa, Robert z największym trudem powstrzymał nieodpartą chęć wybicia mu pięścią jednego z tych zębów prosto z reklamy kliniki dentystycznej.

– Ale nie zagaduj mnie już, Robercie. Jeśli spróbujesz jakiegóś sztuczki, możesz być pewien, że pierwsza kulka polecí prosto w mózg panny Zhao. Uwielbiam polować. Zapewniám cię, że świetnie celuję i bardzo nie chciałbym ubabrać domu krwią; wystarczy, że będę musiał później posprzątać wasze odciski palców. – Rzucił okiem na złoty rolex, który nosił na lewym nadgarstku, i dodał: – Cóż, kończmy pogawędkę i zbierajmy się stąd. Ty niesiesz pannę Zhao.

Ruchem lufy pistoletu pokazał, że mają wstać. Naukowiec zastosował się do poleceń i ułożył Lian na tylnym siedzeniu sportowego samochodu, którym przyjechali, po czym z powrotem załadował bagaże i usiadł za kierownicą, podczas gdy Doolan, ani na sekundę nie spuszczac go z celownika, zajął miejsce pasażera.

– Dokąd jedziemy?

– Cierpliwości, Robercie. Zaraz się dowiesz.

Rozdział 14

Klasztor Szaolin, sześć lat wcześniej

Siedząc na drewnianej pryczy w swojej maleńkiej celi, Lian przełknęła ślinę i jednym gwałtownym ruchem nadgarstka obciąła sobie długi jasny warkocz. Potem położyła ostry nóż na ziemi i przewiązała sobie włosy sznurem, który też wzięła z kuchni. Drżącymi palcami pogładziła aksamitne złociste kosmyki i ponownie przełknęła ślinę, na próżno usiłując się pozbyć guli z gardła.

Wyświechtana skórzana walizeczka, którą dał jej mistrz Cheng, leżała na posłaniu, kryjąc w sobie cały doczesny majątek dziewczyny: szafranową tunikę, pantofle, kilka par bielizny i gwizdek zrobiony z kawałka bambusa, który kilka lat wcześniej podarował jej Hao.

Czuła się dziwnie, ubrana w tradycyjny strój chińskich wieśniaków: ciemne bawełniane spodnie i bluzę w tym samym kolorze, również otrzymane od mistrza. Właściwie wszystko było dziwne. Miała opuścić klasztor po raz pierwszy, odkąd do niego przybyła, czyli od ponad piętnastu lat, i przerażało ją to. Jednak jej nieprzenikniony wyraz twarzy w najmniejszym stopniu nie zdradzał wewnętrznego zamętu.

Westchnęła jeszcze raz, po czym zamknęła walizkę i poprawiła jej wysłużone mosiężne okucia. Potem mocno chwyciła rączkę i z walizką w jednej ręce i długim, zwiniętym warkoczem w drugiej zdecydowanym krokiem ruszyła do świątyni.

Chłodna atmosfera otuliła ją jak objęcia. Lekkim krokiem podeszła do ołtarza, na którym medytował kamienny Budda, zapaliła kadzidełko i krzyżując nogi, usiadła przed nim na zimnych kamiennych płytach. Trwała tak, z głową oczyszczoną z wszelkich myśli, przez ponad pół godziny. W końcu złączyła dłonie na wysokości serca, skłoniła się i wstała, by się skierować do starego Fan Danga, jak zawsze strzeżonego przez dwóch krzepkich mnichów ochroniarzy siedzących po jego bokach.

Lian przyklękła na jedno kolano i ze spuszczoną głową, ponieważ wyroczni nie wolno patrzeć w twarz, w milczeniu wręczyła mu warkocz.

– Z czym przybywasz? – Głos staruszka okazał się zaskakująco dźwięczny.

– Mnisi z Szaolin opiekowali się mną przez wiele lat. Teraz muszę odejść – głos lekko jej zadrżał – i w podzięce chcę wręczyć jedyne, co mam cennego.

– Ten gest przynosi ci zaszczyt, wysmukła wierzbo.

Staruszek dał znak dłonią i jeden z ochroniarzy wstał, żeby wziąć warkocz z rąk dziewczyny.

– Nie chcę się stąd oddalać! – Jej prośba, prawie szloch, zabrzmiała głośno w świątynnej ciszy, lecz zaraz Lian przygryzła sobie od środka wargę i mocno zamrugła, by powstrzymać łzy.

– Wzywa cię twoje przeznaczenie, wysmukła wierzbo. A tego przeznaczenia tu nie znajdziesz. Nie obawiaj się jednak. Mimo że nitki twojego życia tyle lat temu zostały splątane, wreszcie uda ci się rozsypać motek i znajdziesz swoją prawdziwą ścieżkę. A teraz idź, przeznaczenie czeka.

Lian skłoniła się z szacunkiem, dotykając czołem posadzki. Następnie wstała, znów chwyciła rączkę walizki i ze spuszczoną głową skierowała się do wyjścia. Choć niebo było zachmurzone, po przebywaniu w świątynnym półmroku musiała mocno zamrugać, oślepiona światłem dziennym.

Znalazła swojego mistrza w jego ulubionym miejscu. Siedział z zamkniętymi oczami i skrzyżowanymi nogami w cieniu jednej z najwyższych pagód. Lian usiadła na ziemi przed nim i chociaż zrobiła to zupełnie bezgłośnie, powieki starego nauczyciela uniosły się natychmiast. Jego mądre oczy przyjrzały się jej uważnie.

– Ochodzę, mistrzu Cheng, i proszę cię o błogosławieństwo.

Skinął głową, po czym powtórzył to, co mówił już ze sto razy:

– Musisz odnaleźć swoją drogę.

– Tak, mistrzu.

Pomacał się po tunice, wyjął z jej fałd swój stary sznur modlitewny z drewnianymi paciorkami

i przełożył go dziewczynie przez głowę.

– Nie będziesz sama. Zawsze będę żył w tobie.

Niezdolna wykrztusić słowa, Lian głośno siąknęła nosem.

– I zawsze pamiętaj, mała Lian: „Wszystko jest myślą i sercem”. – Dotknął sobie ręką czoła, a potem piersi.

Przez kilka minut patrzyli sobie w oczy w milczącym zjednoczeniu, po czym mistrz złączył dłonie na wysokości serca i skłonił głowę. Lian odpowiedziała tym samym, następnie wstała i znów wzięła walizkę.

– Żegnaj, mistrzu Cheng.

– Amitabha, wysmukła wierzbo.

Lian odeszła szybkim krokiem. Miała przed sobą długą drogę do Luoyangu, gdzie, jak jej wyjaśnił nauczyciel, wsiądzie do autobusu, który zabierze ją ku przeznaczeniu, w tej chwili majaczącemu na horyzoncie jako ciemna chmura. Kiedy dotarła na szczyt pierwszego wzgórza, odwróciła się, żeby popatrzeć na miejsce, które przez tyle lat było jej schronieniem, a które teraz opuszczała na zawsze.

W tym momencie gęste szare chmury wiszące nad Songshanem, jedną z pięciu świętych gór Chin, rozstały się i na ośnieżone wierzchołki padł promień słońca. Magiczne piękno tego wspaniałego krajobrazu zaparło jej dech w piersi i nagle Lian poczuła, że w jej serce na nowo wstępuje nadzieja.



Okolice Richmond, Wirginia, obecnie

Przez długą chwilę jechali w milczeniu, aż Robert je przerwał:

– Dlaczego, Ianie?

– Nie bądź naiwny, Robercie. A jak ci się wydaje? Dla pieniędzy, rzecz jasna. Nie wyobrażasz sobie, ile pewne laboratoria są gotowe zapłacić, żeby twoje badania nie ujrzały światła dziennego.

– Essen, tak? – upewnił się z oczami wbitymi w jezdnię.

Doolan wybuchnął śmiechem.

– Essen, a któż by inny? Właśnie wypuszczają na rynek nową chemioterapię obiecującą cuda, które są dalekie od spełnienia, ale zainwestowali wiele lat pracy i wiele milionów i nie chcą ich stracić, przegrywając ze szczepionką dla biedaków, którą ty wyjmiesz z rękawa.

– Wyobrażam sobie, że w następnym kroku pozbędziesz się Lian i mnie.

– Niezbyt mądrze się zachowałeś, kiedy mi powiedziałaś, że w razie gdyby coś ci się stało, w ciągu niespełna doby wszystkie dane wylądują na moim biurku. To nie w twoim stylu. – Klasnął językiem, udając żal. – Wyznam ci, że lubię żyć na poziomie, a ostatnio poczyniłem kilka niewłaściwych inwestycji. Naprawdę jest mi przykro, Robercie, to nic osobistego. Nigdy nie wydawałeś mi się jakoś szczególnie sympatyczny, ale przyznaję, że jesteś błyskotliwy i mógłbyś zajść daleko.

– Przestań mi wciskać kit, i tak nie osłodziś mi końca! – warknął Robert.

Znowu jechali w milczeniu. Gdy Robert ponownie je przerwał, było około pierwszej w nocy, od ponad dwóch godzin toczyli się ciemną szosą i nagromadzone zmęczenie sprawiało, że mu ciążyły powieki.

– Co z nami zrobisz?

Doolan, zanim odpowiedział, rozciągnął zdrętwiałą szyję na boki.

– Po rozmowie z tobą musiałem szybko zaimprovizować plan. Nikt nie wie, że wróciłeś do Stanów, nawet twój przyjaciel Charles. Skoro ty i panna Zhao nie będziecie dawać znaku życia, w końcu podniesie się alarm, sprawdzą, że przylecieliście do Waszyngtonu i wynajęliście samochód, po czym nikt już nigdy nie widział ani was, ani samochodu. Nikt też nie widział, że przyjechaliście do mnie do domu.

– Jak przystało na wyrozumiałego szefa, dałem dziś wieczór wolne pani Jackson, co często robię, dzięki czemu może sobie odwiedzać ukochaną wnosie, która najwyraźniej jest słabowitego zdrowia. W razie gdyby Charles mnie podejrzewał, choć to nieprawdopodobne, pomyślałem, żeby się pozbyć dowodów w zatoce Chesapeake. Mam jednak swoje audi zaparkowane w odludnym ustroniu nad jeziorem Kerr i kiedy ten samochód pograży się w ciemnych, zimnych wodach z wami w środku, ja wrócę sobie spokojnie swoim wozem i nikomu nie przyjdzie do głowy, że się tej nocy ruszałem z domu. Dzięki Bogu nie mam uprzykrzonych sąsiadów, którzy by podglądali, co ro...

Robert nie dał mu dokończyć zdania. Bez ostrzeżenia szarpnął kierownicą w lewo, a potem w prawo, próbując wziąć przeciwnika z zaskoczenia, lecz Doolan mocno trzymał pistolet, a pas bezpieczeństwa nie pozwolił mu polecieć na przednią szybę.

– Sukinsyn! Przestań, bo przysięgam, że ją zabiję! – Rozwścieczony, wycelował w nieprzytomną Lian, która sturlała z siedzenia na podłogę.

Na te słowa Robert natychmiast wyprostował kurs i zwolnił.

– W porządku, daj spokój. Musiałem spróbować, nie? – rzekł z udawaną pogodą, starając się załagodzić sytuację.

– Jeśli jeszcze raz zrobisz coś podobnego, przysięgam na Boga, że zajmę się twoją przyjaciółką. Lubię załatwiać sprawy czysto, ale nie myśl, że mnie powstrzyma strach przed odrobiną krwi.

Słyszając jego beznamiętny, lodowaty ton, Robert nie miał wątpliwości, że jego dawny kolega ze studiów spełni swoją groźbę. Jeszcze w czasach uniwersyteckich Ian Doolan był nieubłaganym chłopakiem, nigdy nie zostawiał żadnej obrazy bez zemsty i niestety, jak zauważył Robert, najwyraźniej niewiele się zmienił od tamtych czasów.

Znacznie później Doolan rozkazał:

– Skręć w prawo.

Robert posłuchał i samochód potoczył się po wyboistej gruntowej drodze, przecinającej zwartą masę potężnych drzew. Przez ostatnie ponad dwadzieścia kilometrów nie minęli żywej duszy i naukowiec szczerze wątpił, czy ktoś się pojawi w tym zapomnianym przez Boga zakątku, dlatego powiedział sobie, że musi coś zrobić, zanim im się skończy czas.

Kilka minut później dotarli do małej piaszczystej plaży i porywacz kazał mu się zatrzymać. Robert zgasił silnik, ale zostawił zapalone światła i siedział wpatrzony w ciemne wody jeziora, marszczące się delikatnie pod lekką nocną bryzą.

– Koniec, Robercie. – Doolan przerwał panującą w wozie gęstą ciszę, zakłócaną tylko wpadającym przez uchylone okna ćwierkaniem samców świerszczy wabiących głosem samice swojego gatunku. – Daję ci słowo, że nie podoba mi się to tak samo jak tobie, ale nie mogę inaczej. Wierz mi.

– Oczywiście, że ci wierzę, Ianie. Bardzo dobrze rozumiem, że życie milionów ludzi, a w tej chwili nawet nie myślę o własnym, nie ma dla ciebie najmniejszego znaczenia, skoro na szali leży kilka milionów dolarów – odparł naukowiec z sarkazmem.

Jego rozmówca, wciąż celując do niego z broni, przyjął te słowa z lekkim wzruszeniem ramion; najwyraźniej nie zrobiły na nim żadnego wrażenia.

– Nie wpadajmy w melodramatyczne tony, Robercie. Jest, jak jest. Potrzebuję pieniędzy i żeby je zdobyć, muszę się ciebie pozbyć, ciebie i twojej przyjaciółki. Nie podoba mi się to, ale też nie spędza mi snu z powiek.

Robert ledwie go słuchał. Jego mózg pracował na najwyższych obrotach, próbując znaleźć wyjście. Dokładnie w tym momencie, jak gdyby jakieś łaskawe bóstwo odpowiedziało na jego niewypowiedziane błagania, rozległ się charakterystyczny dźwięk wirnika śmigłowca i zaraz potem do wnętrza pojazdu wtargnęło oślepiające światło.

– Mamy wsparcie! W samą porę!

– Nie waż się ruszyć, bo strzelam! – krzyknął Doolan. Lufa pistoletu zbliżyła się na niespełna dwadzieścia centymetrów do twarzy naukowca, skutecznie gasząc jego zapal.

– Wychodźcie z pojazdu z rękami do góry!

Do dudniącego hałasu dołączył rozkaz zniekształcony przez megafon i mierzący z broni

mężczyzna zdenerwował się jeszcze bardziej. Przez chwilę Robert się obawiał, że jego były kolega niechętnie nacisnie spust.

– Spokojnie, Ianie. Opuść broń. Przegrałeś i wiesz o tym.

Robert miał nadzieję, że jego opanowany głos przyniesie skutek i uspokoi napastnika, ale stało się wręcz przeciwnie – jego słowa najwyraźniej dodatkowo rozdrażniły byłego szefa projektu naukowego.

– Zapewniam cię, że nie pozwolę się złapać. Ani myślę do końca swoich dni gnąć w więzieniu stanowym. Idziemy razem. – Otworzył drzwi na tyle, żeby wystawić nogi, i rozkazał: – Siadaj koło mnie i niczego nie próbuj.

Naukowiec posłusznie przełożył swoje długie nogi ponad lewarkiem biegów, po czym zrobił to samo z resztą ciała i wcisnął się w tę odrobinę miejsca na siedzeniu pasażera, którą zwolnił mu Doolan. Były kolega otoczył mu szyję ramieniem i przytknął mu do skroni lufę pistoletu, który trzymał w drugiej ręce.

– Teraz wychodź powoli i niczego nie próbuj, bo przysięgam, że ci łeb odstrzelę!

Byli niemal tego samego wzrostu i Doolan musiał dobrze uważać, by cały czas osłaniać się ciałem naukowca, wiedząc, że zapewne w tej chwili strzelec wyborowy mierzy do niego z karabinu.

– Rzuć broń! – padł rozkaz przez megafon.

– Odsuńcie się, bo inaczej zabiję doktora Gaddiego! – Głos Doolana zabrzmiał wyraźnie, przebijając się przez hałas helikoptera.

Śmigłowiec wisiał nad nimi tak blisko, że Robert dostrzegł wyraźnie, jak człowiek z megafonem konsultuje się z kimś przez mikrofon, po czym daje znak pilotowi, żeby podniósł maszynę nieco wyżej. „Jeśli odlecą, już po nas – myślał gorączkowo naukowiec. – Koniecznie trzeba coś zrobić”.

„Skup się, Robercie Gaddi. Skup całą swoją energię w jednym punkcie, a potem... zadaj cios!” – zabrzmiał mu w głowie głos Lian z taką wyrazistością, jakby siedziała w jego mózgu, mówiąc to samo, co tyle razy powtarzała podczas treningów.

Zamknął oczy i zapomniał o tym, co go otacza: o ogłuszającym dudnieniu śmigłowca, o zimnej stalowej lufie przyciśniętej do swojej skroni, o groźnym ciepłe człowieka stojącego za jego plecami... Nagle był tylko on i energia na podobieństwo błyszczących świetlnych wstęg, które płynęły z wszystkich zakamarków jego ciała, aby się złączyć w jednym punkcie: pięści. Nie myśląc, pozwolił, by jego ciało odprężyło się do tego stopnia, że gdyby Doolan nie podtrzymywał go mocno, osunęłoby się na ziemię.

Nagły ciężki bezwład Roberta sprawił, że Doolan się zachwiał, i naukowiec natychmiast wykorzystał tę okazję, żeby go mocno trzasnąć w rękę trzymającą pistolet. Broń poleciała łukiem i wylądowała pod samochodem. Choć dawny kolega ze studiów został wzięty z zaskoczenia, był w dobrej formie i zareagował błyskawicznie – rąbnął kolanem w kontuzjowane udo Roberta. Ból był tak potworny, że Robert, pozbawiony tchu, zgął się wpół, a Doolan wykorzystał ten jego moment słabości, by się schylić i sięgnąć pod auto po broń. Oszołomiony rozdzierającym bólem, Robert pokuśtykał do niego, lecz było już za późno – kiedy znalazł się przy nim, Doolan czekał na niego z pistoletem gotowym do strzału. Bardzo powoli, nie spuszczać wzroku z twarzy naukowca, wstał z ziemi i przez okno wycelował w nieprzytomną Lian.

– Nie ruszaj się, bo ją zabiję! – krzyknął znowu.

Robert nie miał najmniejszej wątpliwości, że nie jest to czcza groźba, i wiedział, że musi działać teraz albo nigdy, dlatego nabrał powietrza, zacisnął zęby i opierając ciężar ciała na niesprawnej nodze, drugą z całych sił wymierzył przeciwnikowi kopniak z półobrotu, wytrącając mu broń z ręki i wyrwijając z jego ust przeraźliwy okrzyk bólu.

– Wygląda na to, że masz złamanie Montegii, palancie! – wycedził naukowiec, dysząc. Pochylił się, podniósł broń i nie zrobił nic, aby pomóc przeciwnikowi, który związał się z bólu na ziemi, przyciskając sobie złamane przedramię do piersi. – Szkoda, że Lian tego nie widziała.

Robert wsadził sobie pistolet do kieszeni marynarki, otworzył drzwi samochodu, ostrożnie wyjął Lian, wziął ją na ręce i nie zwracając uwagi na piekielny ból uda, zaniósł do helikoptera, który

ponownie zniżył się ku ziemi.

– Proszę mi ją podać, doktorze Gaddi!

Ale naukowiec nie zwrócił najmniejszej uwagi na agenta, który zeskoczył ze śmigłowca, by mu pomóc, i szedł dalej do maszyny ze swoim cennym ciężarem.

W śmigłowcu czekał na niego Charles Cassidy. Natychmiast wyciągnął ręce, by przejąć od przyjaciela wciąż nieprzytomną Lian.

– Imponujące, Robercie! – zawołał szef FBI, przekrzykując ogłuszający hałas.

– Trzeba jak najszybciej zabrać Lian do szpitala. Nie wiem, ile środka sedatywnego zaaplikował jej Doolan! – odkrzyknął naukowiec.

Cassidy kilka minut rozmawiał przez mikrofon, który miał przyklejony tuż przy ustach, po czym drugi agent wysiadł z helikoptera, a ten, który był na ziemi, uniósł kciuk w geście potwierdzenia.

– Zajmą się Doolanem do czasu, aż przyjedzie policyjna furgonetka, która jest już w drodze. Wsiadaj!

Naukowiec posłusznie wspiął się na pokład, i po kilku sekundach śmigłowiec wzbił się ponad gęste drzewa porastające okolice jeziora.



Lian otworzyła oczy i rozejrzała się dookoła, zdezorientowana i oszołomiona. Nie miała pojęcia, jak się znalazła w pomieszczeniu wyglądającym na salę szpitalną. Powstrzymując mdłości, obróciła głowę i zobaczyła, że do jej lewej ręki ktoś przymocował wenflon z kroplówką wiszącą obok łóżka.

– Najwyższa pora, żebyś się obudziła, śpiąca jodło. – Basowy głos Roberta Gaddiego siedzącego przy łóżku na ewidentnie niewygodnym krześle zaskoczył ją, aż drgnęła i mdłości się nasiliły. – Minęła prawie doba, odkąd cię powaliło.

– Ja... źle się czuję i nie... nie pamiętam... – Gardło miała tak suche, że trudno jej było mówić.

– To normalne – wszedł jej w słowo naukowiec. – Dawka flunitrazepamu, którą ci podałem ten drań Doolan, byłaby zbyt duża nawet dla mnie. Na szczęście benzodiazepiny to nie barbiturany i przedawkowanie nie jest śmiertelne w skutkach. To znaczy możliwe, że będziesz się czuć senna, pojawią się lekka amnezja, mdłości czy nudności, ale potem przejdą.

Lian spostrzegła zaniedbanie swojego rozmówcy. Spodnie i koszulę miał wygniecione, jak gdyby w nich spał, na policzkach zarost powoli zamieniał się w brodę. Ciemne włosy były bardzo rozczochrane, a złociste oczy zaczerwienione. Pomyślała, że zapewne nie wypoczął w nocy.

– Wyglądasz okropnie – mruknęła.

– Odwzajemniam komplement – odparował z uśmiechem.

W rzeczywistości Lian nie wyglądała źle, raczej wręcz przeciwnie. Mimo że bardzo pobladła i miała na sobie jedną tych workowatych szpitalnych koszul w zielonym kolorze, Robert musiał raz po raz walczyć z pragnieniem, które kazało mu pochylić się nad nią i nakryć jej uwodzicielskie usta swoimi. Spędził przy jej łóżku cały dzień – wciąż na tym samym krześle, o ile nie chodził po pokoju, żeby trochę rozprostować nogi – niewiele spał i nic nie jadł. Lekarz opiekujący się Lian od jej przyjęcia do szpitala zapewnił go, że za kilka godzin dziewczyna wróci do normalności, ale dopiero kiedy Robert zobaczył, że się wybudziła, i usłyszał, jak mówi, jego zmartwienie ustąpiło.

Zbliżył do jej ust szklanekę z wodą, która stała na szafce nocnej, i pomógł jej się napić. Potem niczym troskliwa matka poprawił jej poduszki pod plecami i podciągnął przykrycie, spostrzegając, że Lian wlepia w niego rozszerzone ze zdziwienia oczy.

– Chcesz, żebym ci opowiedział, co się wydarzyło? – Odrobinę przysunął krzesło do łóżka, siadł i ujął w swe duże, ciepłe dłonie jej rękę wolną od kroplówki.

Skinęła głową w milczeniu.

– Okazuje się, z tego, co mi powiedział Charles, że od jakiegoś czasu Ian był przez nich śledzony. Prowadząc śledztwo w moich najbliższych kręgach, FBI odkryło, że tryb życia Doolana nie odpowiada jego dochodom, choć nie były one, jak to mówią, skąpe. Przegrywał duże sumy w internetowych kasynach. Gdy tylko agent obserwujący jego dom spostrzegł, że przyjechaliśmy do

niego, powiadomił Charlesa, który co prawda wiedział, że wróciłem do Stanów, ale nie miał pojęcia, dokąd się dokładnie wybrałem. A potem wiesz: cholerny kryzys, cięcia budżetowe, jak zwykle... Dlatego tyle czasu to trwało, zanim wysłali helikopter. Doolan miał w planach wpakować mi kulkę i zepchnąć nasz samochód do jeziora z nami w środku. Plan dość banalny, ale dobrze zorganizowany. Na szczęście zanim mi zrobił piercing pośrodku czoła, przybył nam na ratunek śmigłowiec z chłopakami z FBI, a potem wszystko potoczyło się jak w filmach. W końcu ci dobrzy pokonali tych złych, oczywiście dzięki dzielnemu bohaterowi, który walczył jak lew. – Puścił do niej szelmowsko oko i Lian nie umiała się powstrzymać od uśmiechu, który jednak niemal natychmiast zniknął.

– Zawiodłam cię – wymamrotała.

– Nie gadaj bzdur. Popatrz na mnie!

Lecz ona wciąż miała spuszczonego wzrok, nie umiejąc na niego spojrzeć. Robert wstał z krzesła i usiadł na skraju łóżka, wsunął palec wskazujący pod jej podbródek i zmusił ją do podniesienia głowy, jednocześnie groźnie wbijając źrenice w jej oczy.

– Posłuchaj uważnie, Lian, bo nie będę tego powtarzał. Jesteś najlepszą ochroną osobistą, jakiej można by sobie zażyczyć. Straciłem rachubę, ile razy uratowałaś mi życie.

– Ale powinnam była zdać sobie sprawę z tego, że coś mi wkropił do wody, powinnam była... – przerwała mu znekana.

Niezbyt delikatnym gestem położył jej palec na ustach.

– Nie przerywaj mi! Środek, który ci zaaplikował Doolan, jest bezwonny i pozbawiony smaku. Ponadto nawet ja nie podejrzewałbym własnego szefa projektu, czemu więc miałybyś podejrzewać go ty? Dlatego nie chcę więcej słyszeć, że mnie zawiodłaś. Zrozumiano?

Lian kiwnęła głową, ale zauważył, że nie jest przekonana. Dla takiej osoby jak ona niezdolność do walki, podczas gdy jej klient znalazł się w niebezpieczeństwie, równała się ujmie na honorze. Zbyt wielką była perfekcjonistką, by mogła sobie wybaczyć. Przez chwilę miał ochotę potrząsnąć nią za ten upór, wiedział jednak dobrze, że jeśli weźmie ją za ramiona, nie będzie się mógł powstrzymać i zamknie ją w objęciach, jak tego pragnął od momentu, gdy się wybudziła, a potem będzie ją całował do utraty tchu i nigdy nie wypuści z uścisku.

– I co teraz będzie?

Robert wzruszył ramionami, jakby go to zbytnio nie interesowało.

– Za kilka dni wyniki naszych badań zostaną opublikowane w najważniejszych czasopiśmie naukowych świata. Wyobrażam sobie, że Cassidy zaproponuje Doolanowi jakiś układ w zamian za szczegółowe zeznania i dowody jego kontaktów z firmą Essen. Uwierz mi, kiedy ta informacja wyjdzie na światło dzienne, skandal będzie miał epicką skalę. Nie chciałbym być w skórze dyrektorów tego przedsiębiorstwa.

– Czyli już nie potrzebujesz ochrony – powiedziała bardzo cichym głosem, znowu przesłaniając powiekami swe wymowne źrenice.

Robert otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i zaraz je zamknął. Wstał, pokuśtykał do okna i trwał tam przez chwilę, przyglądając się słabemu o tej potrzebie ruchowi ulicznemu. W rzeczywistości jednak nic nie widział. Z rękami założonymi za plecy, nie patrząc na Lian, rzekł ochryple:

– Obawiam się, że będę musiał się obyć bez twoich usług.

Lian przełknęła ślinę i ucieszyła się, że Robert stoi zwrócony do niej plecami, dzięki czemu nie może w jej oczach zobaczyć przykrości, jaką jej sprawiły jego słowa.

Milczenie stało się prawie bolesne, aż w końcu naukowiec znów je przerwał:

– Ja... my... – Odchrząknął głośno, po czym mówił dalej: – Zachowałem się bardzo nieodpowiedzialnie, Lian. Jestem od ciebie znacznie starszy i mam tysiąc razy większe doświadczenie. Wiem, że moje słowa są marnym wytłumaczeniem, ale nie powinienem był cię wykorzystywać.

Słyszając to, Lian wyprostowała plecy i zadarła dumnie brodę.

– Nikt mnie nie wykorzystał. Zrobiłam, co zrobiłam, bo miałam na to ochotę, i nie potrzebuję twoich tłumaczeń. Wiedziałam, że wcześniej czy później się mnie pozbędziesz. – Wzruszyła ramionami swoim zwyczajowym gestem. – Nigdy nie miałam co do tego złudzeń.

Robert odwrócił się, jakby jej słowa zapiekły go żywym ogniem. Z oczami miotającymi iskry

ponownie usiadł na łóżku, złapał ją za ramiona i potrząsnął ją lekko.

– Ani mi się waż tak mówić! – Cedził słowa przez zaciśnięte zęby z przerażającą łagodnością. – Nawet przez chwilę nie traktowałem cię jak kobiety jednorazowego użytku. I jeśli teraz mówię, że między nami koniec, to dlatego, że chcę nadal móc rano patrzeć na siebie w lustrze i nie mieć odruchów wymiotnych. Jesteś dziedziczką jednego z najbardziej lubianych i podziwianych ludzi we Francji. Kiedy wrócisz do swojej cioci, do rodziny... Co ja mówię: rodziny! Cały kraj przywita cię z otwartymi ramionami jako bohaterkę! Z fortuną, którą zostawił ci ojciec, będziesz mogła robić, na co ci tylko przyjdzie ochota: podróżować, studiować, całe dni spędzać na zakupach, jeśli taka będzie twoja wola. Ponadto jesteś piękna: będziesz miała u swoich stóp najlepsze partie świata i poznasz godnego siebie młodzieńca, który nie prowadzi hulaszczego, rozwiązłego życia i z którym zechcesz spędzić resztę swoich dni i nocy. Masz przed sobą całe życie: życie, które ci odebrano, gdy miałaś cztery lata, ale które teraz możesz odzyskać i wycisnąć z niego, co najlepsze, do ostatniej kropli, a ja nie będę łajdakiem, żeby ci w tym przeszkodzić.

Urwał raptownie, z trudem łapiąc oddech. Ten mały wykład bardziej go zmęczył niż dwadzieścia pompek. Zauważył bolesny ucisk w piersi, wiedział jednak, że przynajmniej ten jeden raz w życiu postępuje właściwie, i nie zamierzał się z tego wycofać.

– A jeśli ja nie tego chcę? – zapytała łagodnie.

– Cholera jasna, Lian! Dopóki nie spróbujesz, nie będziesz wiedziała, czy tego chcesz czy nie.

Nie zdając sobie z tego sprawy, jeszcze mocniej zacisnął palce na jej ramionach, lecz Lian się nie poskarżyła, choć wiedziała, że na drugi dzień będzie miała w tych miejscach siniaki. Patrzyła tylko na niego czystymi, pogodnymi oczami, jednakże tym razem Robert nie był w stanie odczytać jej myśli.

– Należy ci się to, Lian. Los był dla ciebie okrutny, nie pozwól, żeby trochę pożądaniami i jeden prowadzący donikąd związek pozbawiły cię jedynej okazji.

Przez kilka minut trwało milczenie.

– Dobrze – powiedziała w końcu. – Wrócę do Paryża.

Na te słowa ucisk, który Robert czuł w piersi, przeobraził się w dojmujący ból, tak przeszywający, że powietrze z trudem dopływało mu do płuc. Chciał się wycofać, błagać, żeby zapomniała o tym, co właśnie powiedział, i prosić, by została u jego boku. Żeby zrobiła z niego lepszego człowieka i pozwoliła mu odkupić liczne grzechy. A nade wszystko, żeby go pokochała pomimo tych grzechów. W tym momencie jednak wszedł lekarz, który się nią opiekował, i chwila prysła. Robert, stojąc koło łóżka z rękami w kieszeniach, powiedział sobie, że tak będzie lepiej.

Lekarz zbadał dziewczynie źrenice, ucisnął jej brzuch, zapytał, jak się czuje, i w końcu pozwolił jej się wypisać ze szpitala. Wówczas Gaddi podał Lian jej wysłużony czarny plecak, do którego jeden z ludzi Cassidy'ego zapakował trochę ubrań i innych niezbędnych rzeczy z apartamentu, po czym wyszedł z salki za lekarzem.

Lian pozbierała się powoli. Nadal kręciło jej się trochę w głowie, toteż odczekała kilka sekund, zanim się podniosła i skierowała do łazienki, by się wykąpać. Spływający na jej włosy strumień ciepłej wody rozjaśnił jej nieco w głowie – na tyle, by mogła wnikliwie przemyśleć to, co jej właśnie powiedział Robert Gaddi.

Początkowo sądziła, że naukowiec próbuje się jej pozbyć, jak to zwykle robił z kobietami, które go zaczynały męczyć, i mimo że poczuła się zraniona, nie zaskoczyło jej to. Od samego początku tego związku była pogodzona z myślą, że to, co on do niej czuje, jest tylko zwykłym seksualnym pożądaniem, dlatego z rezygnacją przyjęła, że gdy wyczerpie się czar nowości, wszystko się skończy. Niemniej pozostała część jego wywodu wprawiła ją w osłupienie i zupełnie zmieniła perspektywę sprawy. Nagle to, o czym ledwie ośmieliła się marzyć, nabrało realnego kształtu.

Robert Gaddi kocha ją do tego stopnia, że chce się z nią rozstać dla jej dobra. Nie tylko nie jest nią zmęczony, lecz wręcz zdobył się na swego rodzaju poświęcenie – niepotrzebne, ponieważ zakładał, że nie jest dla niej wystarczająco dobry. „Co za niedorzeczny człowiek” – pomyślała Lian z ciepłym uśmiechem. Wyszła spod prysznicy i wciąż pogrążona w zadumie, wytarła sobie włosy ręcznikiem.

Myślał sobie może, że ona do tej pory nie przejrzała go na wylot? Zręda, uparciuch, nieufny geniusz, zabawny, nieprzebierający w słowach, lojalny... Czy on sobie myślał, że ona nie wie, jak

zanim ją poznał, bez najmniejszych skrupułów wykorzystywał i porzucał niezliczone kobiety? Wiedziała o tym od początku, a mimo to – choć była przekonana, że stanie się jedną z nich – oddała mu się z całą świadomością. Bo go pokochała. Z jego wadami i zaletami. Nie chciała świętego, młodszego chłopaka z dobrej rodziny, chciała Roberta Gaddiego. Kogoś, kogo mogła podziwiać, śmiać się z nim, klócić, kto ją wytrącał z równowagi i doprowadzał do namiętnego szaleństwa jednocześnie. Dla niej był idealnym mężczyzną – jedynym, który sprawiał, że się czuła kobietą.

Była jednak świadoma, że kiedy doktor Gaddi coś sobie wbije do głowy, niełatwo będzie mu to wyperswadować. Najwyraźniej, wychodząc z błędnych założeń, postanowił zachować się jak dżentelmen, a ona nie mogła z tym walczyć.

„Cierpliwość jest drzewem o gorzkim korzeniu, ale owoce ma bardzo słodkie”. Wyraziście zabrzmiało jej w uszach przysłowie, które mistrz Cheng tyle razy powtarzał, kiedy była mała.

„To jest odpowiedź!” – powiedziała sobie szczęśliwa. Zaczeka. Uzbroi się w cierpliwość i kiedy on zda sobie sprawę, że postąpił jak głupiec, ona przyjmie go z otwartymi ramionami.

Pośpiesznie pozbierała swoje rzeczy i wyszła z salki z uśmiechem na ustach. Jeśli naukowiec się zdziwił, widząc ją taką zadowoloną, nie skomentował tego w żaden sposób.

W najbliższych dniach w radiu, prasie i telewizji było głośno o badaniach doktora Gaddiego i o spisku laboratoriów, którym zależało na tym, aby wyniki nie ujrzały światła dziennego. Wszyscy nagle chcieli przeprowadzać z nim wywiady i choć Cassidy uparł się, żeby Lian towarzyszyła naukowcowi jeszcze przez kilka tygodni – na licznych planach telewizyjnych i tłumnych konferencjach prasowych – ich rytm był tak gorączkowy, że ledwie znajdowali czas, by zamienić kilka słów, i co oczywiste, nie dzielili już łóżka. Robert starał się unikać jakiegokolwiek kontaktu fizycznego z Lian, nawet najbardziej niewinnego, mimo że nie umykało jej intensywne pragnienie błyszczące w złocistych oczach, które ani na sekundę nie spuszczały z niej wzroku.

W skąpym czasie wolnym, jakim dysponowała, poszła do biura FBI, by się pożegnać z Charlesem Cassidym, i za część hojnego wynagrodzenia, które otrzymała, wykupiła bilet na lot w jedną stronę do Paryża.

Kilka dni później stali naprzeciw siebie koło bramki odpraw lotu kierującego się do stolicy Francji. Lian miała wrażenie, że Robert pobladał bardziej niż zwykle, i nie mogła nic na to poradzić, że ją to cieszyło.

– Cóż, Lian – zaczął w końcu po kilku odchrząknięciach. – Chcę, żebyś wiedziała, że choć nie zawsze ci to okazywałem, wiem, że zawdzięczam ci życie, i jestem ci za to bardzo wdzięczny. I... będę za tobą tęsknił.

Uśmiechnęła się do niego słodko.

– Też będzie mi ciebie brakowało, Robercie Gaddi.

Patrząc na uniesioną ku niemu piękną twarz, Robert poczuł gulę w gardle, ale ponieważ postanowił nie okazywać emocji, próbował nadać pożegnaniu rys humorystyczny, co wydawało się najtrudniejszym zadaniem, przed jakim stał w życiu.

– Chociaż cieszę się też, że nie będziesz wiecznie uwieszona u mojej nogawki, wysmukła wierzbo.

Lian parsknęła drżącym śmiechem, choć oczy jej zwilgotniały.

– Wreszcie zwróciłeś się do mnie właściwym imieniem.

„Ostatnie powiadomienie dla pasażerów lotu trzy-cztery-siedem-sześć do Paryża. Proszę wchodzić bramką numer trzy”. Słyszac płynące z głośników wezwanie, oboje natychmiast odzyskali powagę i bez słowa spojrzeli sobie w oczy.

– Muszę...

Zanim zdążyła dokończyć, Robert porwał ją w ramiona i uściskał z taką siłą, że ją zabolalo. Po kilku sekundach wypuścił ją z objęć równie szorstkim gestem i pożegnał się krótko:

– Żegnaj, Lian.

– Żegnaj, Robercie Gaddi. I pamiętaj: „Nikt nie może uciec przed tym, co ma nadejść”.

Mocno chwyciła swój czarny plecak, zrobiła półobrót i wkrótce zniknęła w wąskim przejściu, podczas gdy Robert jeszcze próbował odszyfrować znaczenie tego lapidarnego zdania.

Rozdział 15

La Fortezza, Włochy, pięć miesięcy później

Ostatnie miesiące były wykańczające: Robert podróżował z jednego amerykańskiego wybrzeża na drugie, uczestniczył w konferencjach na prestiżowych uczelniach i wszędzie studenci traktowali go niczym gwiazdę rocka. Nawet musiał dawać dziesiątki cholernych autografów! Był wypompowany. Przybył do Toskanii przed czterema dniami z jednym celem: schronić się w La Fortezzy i nie wychylać z niej nosa do czasu, aż przyjdzie pora europejskiej trasy objazdowej, którą zorganizowała mu Agencja Żywności i Leków. Teraz jednak zdał sobie sprawę z tego, że przyjazd w to miejsce był potężnym błędem.

Dzięki temu całemu zabieganiu zdołał zepchnąć Lian Zhao, czy raczej Léę Saint-Saëns, w najciemniejszy zakamarek mózgu, z wyjątkiem tych ciągnących się w nieskończoność nocy, podczas których – bez względu na to, co robił – jej wspomnienie zawsze przy nim trwało, gotowe go dręczyć.

Teraz jednak było jeszcze gorzej. W La Fortezzy przypominał mu o niej każdy zakątek. Widział ją, jak ubrana w szafranową tunikę ćwiczy na brukowanym dziedzińcu; widział, jak siedzi ze skrzyżowanymi nogami i dłońmi wspartymi na kolanach na środku polanki nad strumykiem, gdzie jak co roku na wiosnę zakwitły tysiące stokrotek; widział ją rozpartą w skórzanym fotelu w bibliotece koło okna, czytającą jedną z tych książek podróżniczych, które tak lubiła; widział ją w jadalni, w sypialni, w swoim łóżku...

Boże, czuł, że od tego oszaleje!

Po raz kolejny podniósł do ust szklankę whisky i pociągnął spory łyk. Odkąd przyjechał, prawie nic innego nie robił, tylko pił, ale choć bardzo się starał, nigdy nie popadł w błogosławione upojenie alkoholowe, które dałoby mu chociaż kilka minut ukojenia. Mimo całego alkoholu, który w siebie wlewał w tych ostatnich dniach, jego mózg wciąż uparcie zachowywał jasność umysłu.

Nagle z ponurych rozmyślań wyrwało go lekkie pukanie do drzwi.

– Wynocha, kimkolwiek jesteś! – zawołał rozdrażniony.

Drzwi się jednak otworzyły i w progu stanęła jego korpulentna gospodyni.

– Zostaw mnie w spokoju, Nello!

Kobieta ostrożnie zamknęła za sobą drzwi, podeszła i stanęła przed nim, biorąc się pod boki i obrzucając go pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

– Od trzech dni siedzi pan tu zamknięty, signore, prawie nic nie bierze do ust i z tego, co widzę – ciemnie oczka zmierzyły go od stóp do głów z wyrzutem, zauważając wyraźne zaniedbanie i zarost pokrywający szczękę – nawet się pan nie ogarnie ani nie zmieni ubrania.

Robert zacisnął palce na szklance, jakby chciał ją zgnieść, i odburknął:

– Nie chcę tego słuchać. Zostaw mnie samego.

Gospodyni podeszła do okna, rozsunęła ciężkie zasłony i otworzyła na oścież, by wywietrzyć, po czym zaczęła strzepywać poduchy na wolnej sofie.

– Daj mi spokój, bo cię zaraz zwolnię!

Nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, Nella pochyliła się nad stolikiem kawowym i zaczęła porządkować rozrzucone na nim dokumenty i stare czasopisma. Nagle zastygła bez ruchu, patrząc na stronę wyrwaną z jednej z gazet, zgniecioną i rzuconą na stos papieru. Rozprostowała ją nieco brzegiem dłoni i przyjrzała się z ciekawością. Na pierwszym planie widniało zdjęcie atrakcyjnej pary. Prawie natychmiast rozpoznała Lian – przepiękną dziewczynę, której głęboko wcięty strój wieczorowy wspaniale podkreślał szczupłą sylwetkę – śmiejącą się z czegoś, co zapewne powiedział stojący koło niej mężczyzna, przystojny i elegancki. Podpis pod fotografią głosił: „Uroczą Léa Saint-Saëns w bardzo stosownym towarzystwie Jacques’a Belcourta, dziedzica firmy produkującej luksusowe akcesoria o tej samej nazwie”.

– Nie rozumiem, dlaczego nie pojedzie jej pan w końcu poszukać, zamiast siedzieć tu i zapijać

się jak jakiś sciocco.

Słyszając, że gospodyni nazwała go tępakiem, Robert gwałtownie podniósł głowę, jakby dostał w twarz, i odpowiedział opryskliwie:

– Miałbym jej szukać? A po co? To oczywiście, że dobrze się bawi. Nie sądzę, żeby potrzebowała kolejnego adoratora śliniącego się u jej stóp. I trochę szacunku, Nello; często o tym zapominasz, ale jestem twoim pracodawcą.

Kobieta potrząsnęła głową, zupełnie nie przejmując się jego ostatnim zdaniem.

– Dobrze pan wie, że Lian nie jest taka. Ona pana kocha.

Jej słowa podziały na niego jak cios pięścią w brzuch; postarał się jednak ukryć, jak go zabolaty, i odparł z sarkazmem:

– Na pewno, Nello. Mając do wyboru młodego przystojnego chłopaka, bogatego i z nienaganną przeszłością, oraz starego grzesznika, porywczego zrzędcę i kalekę, taka sprytna dziewczyna jak Lian z pewnością wołałaby tego drugiego.

W tym momencie Robertowi zrobiło się dogłębnie żal siebie samego i znów uniósł szklankę do ust. Jednak gospodyni, bynajmniej nie podzielając jego uczuć, zwróciła się do niego stanowczo:

– Był pan tak samo stary, grzeszny, porywczy i zrzędlivy, kiedy ona tutaj mieszkała, ale nie przeszkodziło jej to kochać pana do szaleństwa.

– Kochać mnie do szaleństwa. Ha! Nie bądź naiwna, Nello. Pociąg fizyczny to nie miłość.

Zniecierpliwiony, przesunął sobie dłonią po ciemnych włosach, wichrząc je jeszcze bardziej.

– Naprawdę pan tak uważa, signor Roberto? Że Lian chciała zwykłego bzykania? – Nella zasnuwała usta z pogardą i Robert nie miał wątpliwości, że tym razem uda się jej naprawdę go rozwścieczyć. – Powinien się pan wstydzić! Ta dziewczyna szaleje za panem i niech mnie pan nie pyta dlaczego, ponieważ sama nie mogę tego zrozumieć. Trudno pojąć, co trzeba mieć w głowie, żeby się zakochać w takim niemiłym, humorzastym człowieku! Przyznaję, że Lian jest dla pana za dobra. Nie zasługuje pan na nią, to pewne, ale serce nie zawsze wybiera najodpowiedniejszą osobę. Właściwie pan sam powinien to wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny.

Trafiony! Naukowiec zrobił znaczącą minę. Gdy Nella wpadała w gniew, umiała naprawdę celnie wymierzyć.

– Myślisz, że tego nie wiem? Dlatego nie jadę jej szukać! To jasne, że jeśli coś do mnie czuła, już o tym zapomniała. Sądząc z tych zdjęć, które się tak często ukazują we francuskich kolorowych czasopismach, Lian cudownie się bawi.

Nella uniosła ręce i spojrzała ku niebu, tym wymownym gestem dając do zrozumienia, że ubolewa nad jego beznadziejnym tokiem myślenia.

– A co ma, biedaczka, robić? Zamknąć się w swoim pokoju i płakać całymi dniami? Powinien pan znać Lian na tyle dobrze, by wiedzieć, że dziewczyna jest ponad to wszystko. Choć zapewne czuje się upokorzona, że ją pan odrzucił, bo jestem pewna, że serce jej się złamało na kawałeczki, taka kobieta jak Lian zawsze wyjdzie z tego cało.

Wbrew sobie Robert zauważył, że słowa gospodyni budzą w nim isierkę nadziei. A jeśli Nella ma rację? A jeżeli Lian naprawdę go kocha? A jeśli on w tej chwili odrzuca wszelką szansę na szczęście jak jakiś cholerny uparty idiota? Walczył zaciekle sam z sobą; nie chciał sobie robić złudzeń, żeby się potem nie dać poranić przez zdradziecką rzeczywistość. A jednak...

Porywczym ruchem odstawił szklankę z trunkiem na stolik, zwiesił głowę i zagłębił palce w rozwichrzonych włosach, a z jego gardła wydarł się pełen udręki krzyk:

– Nie wiem, co robić, Nello! Pomóż mi!

Gospodyni, poruszona, spojrzała na mężczyznę z rozpaczą mierzwiącego sobie włosy na głowie. Nie zobaczyła w nim jednak podziwianego i wychwalanego w świecie genialnego naukowca, w jakiego zamienił się z wiekiem, ale małego chłopca, który przybiegał do niej, ilekroć otarł sobie skórę albo kiedy był smutny i potrzebował pociechy.

– Powinien ją pan odnaleźć – odparła z przekonaniem.

– A jeśli mnie nie zechce? – zapytał prawie jak chłopczyk, który chciałby, żeby mama go zapewniła, że wszystko będzie dobrze.

Nella, zniecierpliwiona, znów zmarszczyła brwi.

– Nikt nigdy nie ma absolutnej pewności co do niczego; jeśli nie spróbujemy, to się nie dowiemy. Pan, signor Roberto, jest z rodu Gaddich, a Gaddi zawsze stają twarzą w twarz z wszelkimi trudnościami, jakie los stawia im na drodze. A teraz pana kolej: pora pokazać, że jest pan godzien przynależności do tej szacownej rodziny.

Mimo dramatyzmu chwili naukowiec na jej słowa nie umiał powstrzymać uśmiechu. Nie znał nikogo, kto byłby bardziej dumny z rodu Gaddich niż stara Nella, w której żyłach nie było ani kropli krwi tych ludzi.

– Dobrze – postanowił i wyprostował się na fotelu. – Pojadę do niej. Przynajmniej tyle mogę zrobić: sprawdzić, czy jest zadowolona ze swojego nowego życia.

Udał, że nie dostrzega drwiącej miny swojej rozmówczyni, i dodał:

– Ale jej nie powiadomię. Chcę, żeby to była niespodzianka.

„W ten sposób w końcu będę wiedział, czy ucieszy się na mój widok” – pomyślał.

– Bravo! – przyklasnęła mu Nella z entuzjazmem. – Skoro sprawy ruszają do przodu, lepiej, żeby pan wziął prysznic, a ja tymczasem posprzątam porządnie ten pokój. Potem podam coś do jedzenia na stoliku w ogrodzie.

Robert posłusznie wykonał polecenie z zupełnie niespotykaną u niego potulnością. Po raz pierwszy od miesiący poczuł się dziwnie spokojnie – w zgodzie sam z sobą. Wreszcie podjął decyzję i choćby Lian nie była w stanie odwzajemnić miłości, którą ją obdarzył, powiedział sobie, że przynajmniej upewni się osobiście, czy wszystko u niej w porządku.



– Nie, nie! Niewłaściwie trzymasz młotek! W ten sposób znowu pošlesz kulę nie tam, gdzie trzeba.

Lian wybuchnęła śmiechem i nie protestowała, gdy Jacques, stojący za nią, otoczył jej ciało ramionami, by jej pokazać, jak prawidłowo trzyma się młotek od krokiet.

– Widzisz, Léo – szepnął tuż przy jej uchu. – Musisz ułożyć ręce w ten sposób.

Lian gładko uwolniła się z jego objęć i trochę się odsunęła. Nawet dla kogoś o tak skąpym doświadczeniu jak ona było oczywiste, że Jacques się do niej zaleca, i to ją wprawiało w zakłopotanie. Nie żeby nie lubiła tego sympatycznego Francuza. Jacques Belcourt był atrakcyjnym i uprzejmym młodzieńcem, z którym miło spędzało się czas, nie chciała jednak, by sprawy zaszły dalej.

Jacques najwyraźniej zorientował się w jej zakłopotaniu i nic nie mówiąc, kontynuował grę, którą byli pochłonięci w ten przyjemny wiosenny poranek. Lian rozejrzała się po rozległej, starannie utrzymanej łące z licznymi metalowymi bramkami, przez które gracze przetaczali drewniane kule, i pomyślała, jak bardzo jej życie zmieniło się w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

Przede wszystkim złożyła wypowiedzenie z pracy w firmie ochroniarskiej, lecz Francis Kane – któremu bardzo się nie podobało, że traci najskuteczniejszą pracownicę, a ponadto nie porzucał jeszcze nadziei na to, że dziewczyna pewnego dnia odwzajemni jego miłość – przekonał ją, że później mogłaby tego żałować. Wobec tego uzgodnili, że Lian weźmie coś w rodzaju urlopu dziekańskiego, a rok przerwy w pracy będzie aż nadto wystarczający – zdaniem Kane’a – żeby się dobrze zastanowiła, czego chce w dalszym życiu.

Kiedy przybyła do Paryża, jej ciocia i dwaj kuzyni – osiemnasto- i dwudziestoletni, z którymi skontaktowała się już dawno – przyjęli ją z otwartymi ramionami. Następnie wszyscy troje zaczęli się z troską zastanawiać, czym kuzynce i bratanicy wypełnić wolny czas, którego miała tak dużo.

Nie trwało długo, nim podjęli decyzję. Kiedy odkryli jej pasję do sztuk pięknych i historii, przekonali ją, żeby się zapisała na kilka kursów na Sorbonie. Lian początkowo się opierała. Nie była zbyt pewna swoich możliwości i obawiała się porażki, a lęk był tym większy, że nie mogła przedstawić żadnego świadectwa na dowód, że nie jest kompletną analfabatką. Ciocia jednak zapewniła ją, że wyjaśni wszystko rektorowi, którego znała osobiście, a poza tym będąc córką Georges’a Saint-Saënsa, jednego z najwybitniejszych absolwentów tej uczelni, nie napotka najmniejszych problemów. I tak się stało.

Lian szybko zauważyła, że dzięki lekcjom, których udzielił jej Robert Gaddi podczas jej pobytu w La Fortezzy, oraz dzięki jej własnym dodatkowym wysiłkom, nadąza za pozostałymi studentami. Zaangażowała się więc w studia, zmotywowana dwoma ważnymi powodami: po pierwsze, podobała jej się ta nauka, a po drugie, im bardziej zajmowała umysł zadaniami i lekturami, tym mniej miała czasu na myślenie o wspomnianym naukowcu.

Kiedy rozeszła się wieść, że tajemnicza córka jednego z najbardziej podziwianych ludzi we Francji niejako powstała z martwych, media oszalały i zaczęły ją wręcz prześladować, chorobliwie domagając się szczegółów z jej życia. Twarz Lian często pojawiała się w plotkarskich magazynach, ponieważ ludzie chcieli ją poznać i dzięki znajomościom jej cioci zasypywano ją zaproszeniami na najróżniejsze wydarzenia i uroczystości. Na jednej z nich poznała Jacques'a i z miejsca stali się nierozłączni. Swoim zapałem i radością życia często przypominał jej drogiego Hao, dlatego lubiła się z nim umawiać.

Ale nie miała złudzeń: jej serce należało do innego.

W ciągu tych długich miesięcy, mimo że starała się nie zaprzętać sobie głowy Robertem Gaddim, on często – nieproszony – wkradał się w jej myśli. Złociste oczy, bystra inteligencja, dłonie o długich, smukłych palcach, których muśnięcia wystarczyły, żeby traciła głowę... Nie, nie mogła o nim zapomnieć, chociaż w ostatnich czasach prawie się pożegnała z nadzieją, że znów go kiedyś zobaczy.

Nagle podniosła wzrok znad trzymanego w rękach młotka i jakby wyczarowała Roberta myślami, ujrzała go dokładnie przed sobą – szedł przez trawiaste boisko, podpierając się nieodłączną laską. Najpierw pomyślała, że to złudzenie, ale gdy się zatrzymał niespełna dwa metry przed nią, pozerając ją złocistymi oczami, zamrugała kilka razy, po czym wreszcie przyjęła do wiadomości, że to się dzieje naprawdę.

– Lian... – Jej imię w jego ustach zabrzmiało jak pieszczota.

– Léa, twoja kolej!

Okrzyk Jacques'a gwałtownie wyrwał ich z tego dziwnego transu, który na chwilę sprawił, że oślepli i ogłuchli na wszystko, co nie było nimi dwojgiem.

Młodzieniec podszedł do nich, od niechcienia wymachując trzymanym w ręce młotkiem. Dostrzegłszy napięcie w ciele Lian, otoczył ją ręką w pasie i zapytał zaniepokojony:

– Coś się stało, Léo?

– Nie, oczywiście, że nie. – Z drżącym uśmiechem próbowała zdobyć się na spokojną reakcję. – Jestem tylko zaskoczona, to wszystko.

Pytające spojrzenie Jacques'a przeskakiwało od jednego do drugiego; nie dało się ukryć, że tych dwoje łączy coś niewidzialnego.

– Z kim mam przyjemność...?

Lian z wysiłkiem wzięła się w garść i przedstawiła ich obu, przekonując się z wielką ulgą, że głos jej przy tym nie drży.

– Jacques Belcourt, Robert Gaddi.

– Robert Gaddi, odkrywca szczepionki przeciwko rakowi!

W tonie młodego człowieka brzmiał czysty podziw, naukowiec jednak posłał mu lekceważące spojrzenie.

– Słuchaj, młodzieniaszku, jeśli chcesz, później dam ci autograf, ale teraz chciałbym porozmawiać z Lian. Na osobności.

Groźba czająca się w złocistych tęczęwkach bynajmniej nie była zawoalowana i Lian zauważyła, że twarz jej towarzysza czerwienieje z gniewu wobec tak pogardliwego traktowania.

– Ale...

Postanowiła interweniować, zanim sprawy przybiorą gorszy obrót.

– Jacques, proszę, wybacz doktorowi Gaddiemu. Dopiero co przebył długą drogę i jest bardzo zmęczony. – Oparła dłoń na jego przedramieniu i uśmiechając się słodko, dodała: – Czy mógłbyś, z łaski swojej, na kilka minut zostawić nas samych?

Jej towarzyszowi nie było to w smak, tym bardziej kiedy spostrzegł zdecydowanie drwiący

wyraz złocistych oczu. Zrozumiał jednak, że Lian znalazła się w bardzo niezręcznej sytuacji i zgodnie ze swym wyjątkowo dobrym wychowaniem cofnął się o krok.

– Jeśli jesteś pewna...

– Jestem pewna. Dziękuję ci, Jacques.

Młody Francuz z wyraźną niechęcią zostawił ich samych i oddalił się, ze złością machając młotkiem.

– Twój mały przyjaciel na pewno będzie się tu snuł i szpiegował, dlatego będzie lepiej, jeśli się przejdziemy w stronę tamtych topól.

Nie dając jej czasu na odpowiedź, wziął ją pod ramię i zmusił, by pośpiesznie ruszyła z nim ścieżką prowadzącą do topolowego zagajnika. Lian nie próbowała się uwolnić. Obawiała się, że w razie jej oporu Jacques, zapewne obserwujący ich z pewnej odległości, zechciałby przyjść jej z pomocą.

– Gdzie twoje maniery? – upomniała Roberta, starając się nadażyć za jego wielkimi krokami.

– To twój narzeczony? – spytał wściekłym tonem.

Zmieszała się. Wystraszająco zaskoczyło ją to, że Robert pojawił się znenacka w château jej rodziny, ale jeszcze bardziej niezrozumiałe było, że po ponad pięciu miesiącach niewidzenia się zadawał takie pytanie i jeszcze do tego był na nią zły.

W tym momencie weszli do zagajnika i grube pnie drzew wkrótce zasłoniły ich przed wścibskimi oczami, które mogłyby ich śledzić z zameczku. Robert pchnął ją szorstkim ruchem na jeden z tych pni i powtórzył pytanie:

– Powiedz mi: czy ten typ jest twoim narzeczonym?

– Nie, Jacques nie jest moim narzeczonym.

Po tej odpowiedzi ulga zalała go niczym wdzierająca się na plażę fala; mimo to nie był jeszcze usatysfakcjonowany.

– Całowałaś się z nim?

Lian zadarła nos i odparła wyniośle:

– Nie sądzę, żeby to mogło cię obchodzić, Robercie Gaddi.

Słyszac tę dziwną formę, którą zwykle się do niego zwracała, Robert nie mógł się powstrzymać od uśmiechu i mordercza wściekłość, która go przed chwilą ogarnęła na widok tak swobodnie obejmującego ją w pasie innego mężczyzny, nagle znikła.

Cofnął się o krok, by nie czuła się osaczona, i głodnymi oczami zmierzył ją od stóp do głów. Jasne, nieco zmierzwiłone włosy, teraz sięgające znacznie poniżej ramion, jak zwykle otaczały jej zachwycającą twarz, a lekka bawełniana sukienka i płaskie sandały, które miała na sobie, odsłaniały jej lekko przyrumienione słońcem ramiona i stopy. Lian doskonale pasuje do tego wiejskiego, ale eleganckiego otoczenia, zauważył. Była jeszcze piękniejsza, niż ją zapamiętał.

– Jesteś... dobrze wyglądasz – rzekł w końcu schrypniętym głosem.

Ona już wcześniej spostrzegła ciemne sińce pod jego oczami i wychudzoną sylwetkę. Mimo to pomyślała, że Robert w białej koszuli z lekko podwiniętymi rękawami i w spodniach z beżowej bawełny – ubraniu uwydatniającym szerokie ramiona i wąskie biodra – jest najatrakcyjniejszym mężczyzną na świecie.

– Dziękuję – odrzekła krótko.

– Nic więcej nie powiesz?

– Co chcesz, żebym ci powiedziała? – odparła kolejnym pytaniem, wiedząc, że go tym dogłębnie zezłości. Chciała, żeby jej w końcu wyjaśnił, dlaczego po tylu miesiącach nieodzywiania się nagle przyjechał do rodzinnego zameczku w Prowansji.

– Ja... widzisz, Lian. A może wolisz, żebym ci mówił Léa?

– Lian jest dobrze.

Robert rozejrzał się dookoła, zupełnie nie zauważając otaczającej ich urokliwej scenerii – olbrzymie drzewa, ozdobione pierwszymi plamami jasnej świeżej zieleni, dziesiątki niestrudzenie śpiewających ptaków, dywan kwiatów rozpościerający się jak okiem sięgnąć i przenikający wszystko cudowny zapach wiosny – i próbował znaleźć właściwe słowa.

– Widzisz... – odchrząknął kilka razy – chciałem się upewnić, że się dobrze miewasz, że jesteś zadowolona ze swojego nowego życia.

– Ale nie musiałeś w tym celu przyjeżdżać aż tu. Mogłeś po prostu zadzwonić.

„To oczywiste, że mi tego nie ułatwi, mała czarownica”, pomyślał Robert, krzywiąc się z udręczeniem.

– Musiałem... musiałem cię zobaczyć. – I już. Nareszcie to wykrztusił.

Lecz pogodne niebieskie oczy nie okazywały najmniejszych emocji.

– A czemu tak nagle? Minęło pięć miesięcy.

Jej chłód zaczynał mu działać na nerwy, Robert opanował się jednak całym wysiłkiem woli i odpowiedział z pozornym spokojem:

– Ponieważ przez cały ten czas wciąż o tobie myślałem.

Słyszając to, Lian zauważyła dziwną pustkę w swoim brzuchu. Chciała mu wierzyć, pragnęła mu się rzucić w ramiona i błagać, żeby ją znów pocałował. Mimo to powiedziała z lodowatym wyrazem twarzy:

– Czekałam na ciebie, Robercie Gaddi, wiele dni, ale ty się nie pojawiłeś.

Wyczuwając zawarty w tym prostym zdaniu dogłębny ból, naukowiec nerwowo przesunął sobie dłonią po włosach.

– Teraz tu jestem, Lian. Byłem głupcem, przyznaję. Uznałem, że będzie ci lepiej beze mnie, i jestem pewien, że tak jest, ale to ja mam się kiepsko bez ciebie. Potrzebuję cię, Lian. Chciałbym zawsze mieć cię przy sobie. Podczas twojej nieobecności nawet nie byłem w stanie tknąć innej kobiety, choć przyznaję, że próbowałem. – Słowa padały prędko z jego ust. Zbyt długo czekały na uwolnienie i teraz nie mógł ich już powstrzymać. – W Paryżu zdałem sobie sprawę, że cię kocham, lecz teraz wiem, że zakochałem się w tobie znacznie wcześniej. Wydałaś mi się cudem i wpadłem w panikę, gdy zrozumiałem, że mogę zniszczyć tę uroczą niewinność, dzięki której jesteś tak wyjątkowa. Dlatego zmusiłem się do rozstania. Chcę, żebyś wiedziała, że był to mój jedyny wielkoduszny gest, jaki przypominam sobie w swoim życiu. A jednak mój egoizm okazał się znacznie silniejszy i dlatego jestem tu, błagając, żebyś za mnie wyszła...

– Wyszła za ciebie! – Głos Lian zabrzmiał bardziej piskliwie niż zwykle.

– Oczywiście, że chcę, żebyś za mnie wyszła. Czego się spodziewałaś? Że na kilka miesięcy zrobię z ciebie swoją kochankę?

Szczere niebieskie oczy mówiły, że właśnie tego się spodziewała. Uświadomiwszy sobie, jak niskie miała o nim mniemanie, znów poczuł przyptyw gniewu. Złapał ją za ramiona i lekko potrząsnął.

– Chcę, żebyś została moją żoną, słyszysz? Nie zamierzam pozwolić, żeby jakiś imbecyl uważał, że ma prawo oblać cię w pasie, kiedy mu przyjdzie ochota. Chcę się z tobą związać na wszystkie możliwe sposoby. Nieważne, czy wolisz ceremonię w rycie Szaolin, jeśli takowy istnieje, czy w katolickim albo muzułmańskim, ale żebyś była moja, choćbym cię miał spoić i powlec za sobą. Teraz rozumiesz?

Podkreślił pytanie kolejnym potrząśnięciem, ale jego słowa wywołały u Lian taki szok, że nie zdobyła się na najmniejszy wysiłek, by się uwolnić od palców, które tak brutalnie wbijały się jej w ramiona.

„Chce się ze mną ożenić!” – powtarzała sobie w myślach, nie mogąc w to uwierzyć. Robert Gaddi, atrakcyjny, genialny naukowiec, którego podziwiał cały świat, i o którego klóć się kobiety, właśnie wyznał, że jest zakochany w nic nieznaczącej Lian Zhao! Nie tylko jej pragnie, ale też ją kocha! Te myśli tak ją zachwyciły, że nawet nie spostrzegła, że od dłuższej chwili patrzy na niego w milczeniu z rozchyłonymi ustami. Aż wreszcie ją puścił, zawstydzony swoją gwałtownością, i ręce opadły mu bezwładnie po bokach ciała. Złociste oczy nie mogły ukryć bólu, gdy zapytał:

– Jest już za późno, tak? Mężczyzna, z którym cię widziałem, wydaje się uczciwym typem. Mogę zrozumieć, że jesteś w nim zakochana.

Nuta porażki pobrzmiwająca w jego słowach sprawiła, że Lian w końcu zareagowała.

– Głuchy jesteś, Robercie Gaddi? Mówiłam ci, że nie jestem w nim zakochana. – Niecierpliwie tupnęła nogą.

– Teraz może i nie, ale będziesz. Jest przystojny i zdaniem twojej cioci, która mi powiedziała, gdzie cię znajdę, uroczy. To pewne, że uprzyjemni ci życie, nie będzie na ciebie krzychał ani...

Walcząc z uśmiechem cisnącym się jej na usta, Lian położyła końce palców na jego wargach, by zamilkł, i spojrzała na niego bardzo poważnie.

– Sądzę, że to moja sprawa i ani moja ciocia, ani ty nie możecie wiedzieć, w kim jestem zakochana. I zapewniam cię, że nie kocham Jacques'a Belcourta. W rzeczywistości...

Urwała w zamyśleniu i cofnęła dłoń od jego ust, by ją lekko oprzeć na jego piersi, tuż nad sercem. Ten lekki kontakt sprawił, że Robertowi oddech przyspieszył.

– Zabijasz mnie, okrutna jabłonko!

Lian zauważyła drżenie jego ciała i uśmiechnęła się zadowolona. Potem posłała mu przebiegłe spojrzenie i zapytała:

– Jeśli za ciebie wyjdę, obiecasz, że będziesz mnie traktował z delikatnością?

– Tak, obiecuję!

– Policzysz do dziesięciu, zanim mi ostro odpowiesz?

– Masz moje słowo!

– Nie będziesz się więcej naśmiewał z mojego imienia?

– To załatwione! Przysięgam, Lian, że będę wzorowym mężem, nie będę na ciebie więcej krzychał ani narzucał ci swojego zdania, będę cię zawsze słuchał...

Lian uniosła dłoń, prosząc o ciszę, i Robert natychmiast zamilkł.

– Wiesz co? – Lekceważąco uniosła brew.

– Co? – Zaniepokoił się Robert.

– Jesteś kłamczuchem, Robercie Gaddi!

I zanim zdążył zareagować, wspięła się na palce stóp, otoczyła jego szyję ramionami, zmuszając go, żeby skłonił twarz, i złożyła na jego ustach zachłanny pocałunek, od którego zakręciło mu się w głowie. Gdy doszedł do siebie po niespodziance, objął ją, jakby nigdy nie miał wypuścić, i raz po raz szeptał jej do ucha:

– Jesteś moja, moja, moja...

Epilog

Klasztor Szaolin, trzy miesiące później

W cieniu dwustu osiemdziesięciu kamiennie-ceglanych budowli tworzących Las Pagód klasztoru Szaolin stary mistrz, siedząc nieruchomo w pozycji lotosu z dłońmi opartymi na kolanach, obserwował oddalającą się parę.

Sądząc po zaborczości, z jaką wysoki brunet obejmował w pasie szczupłą jasnowłosą kobietę, która wydawała się przy nim krucha, było oczywiste, że ten człowiek nie zniósłby, gdyby oddaliła się od niego choćby na sekundę. W pewnym momencie odchyliła głowę i roześmiała się głośno, a on, jakby się nie mógł powstrzymać, wykorzystał to, biorąc ją w ramiona i całując namiętnie.

Niewielu ludzi zdołałoby zauważyć niemal niedostrzegalne drgnienie kącików ust mistrza Chenga. Gdyby ktoś go oskarżył o jakąkolwiek stronniczość względem uczniów, poczułby się śmiertelnie urażony, jeśliby zatem ten ktoś zapytał go, czy miał jakiegoś szczególnego ucznia, nauczyciel z fatalizmem wrzuciłby ramionami. Lian Zhao była najlepszą z wszystkich podopiecznych, jakich miał w życiu, i myśl o tym, że właśnie ona będzie przekazywała nauki i zasady Szaolin młodym Europejczykom we włoskim zamczku – o czym mu opowiedziała – napawała go dumą. Było jasne, że jego wysmukła wierzba znalazła wreszcie swoją własną ścieżkę.

Może nawet po pewnym czasie, gdy Lian napisze do niego, żeby mu oznajmić, że przyszedł na świat nowy maleńki uczeń, mistrz zdobędzie się na to, by wsiąść do samolotu i ich odwiedzić. Koniec końców nie miał się czego bać; choć stary, nadal był jednym z tych wojowniczych mnichów, o których opowiadają legendy. Niemal czuł błogosławieństwo mistrza, któremu była poświęcona jego ulubiona pagoda – mająca ni mniej, ni więcej niż siedem poziomów, wyraźnie mówiących o jego ziemskich dokonaniach. Lubił siedzieć w jej cieniu i medytować.

Jak powiedział podziwiany przez niego Bruce Lee, bohater jedyne filmu, jaki mistrz widział: „Kluczem do nieśmiertelności jest prowadzenie życia wartego zapamiętania”.

I był pewien, że ta podróż okaże się niezapomniana.

Dziękuję!

Dziękuję, że przeczytałaś Bonsai w Toskanii. Mam nadzieję, że Ci się podobało!

Chcesz się dowiedzieć, kiedy wyjdzie moja następna książka?

Możesz subskrybować mój newsletter na www.isabelkeats.com (będę Ci wysyłała tylko informacje na temat przyszłych wydań), śledzić mnie na Twitterze @IsabelKeats albo polubić mnie na mojej stronie na Facebooku.

Wszelkie opinie są bardzo przydatne, by pomóc innym czytelniczkom dotrzeć do moich książek. Jestem wdzięczna za wszelkie uwagi, zarówno pozytywne, jak i negatywne.